



# SZALEŃCY BOŻY

# LEGENDA O ŚW. JERZYM

Prawy i pobożny rycerz, Jerzy z Kapadocji, zatrzymał konia przed gospodą zwaną „Rajem strudzonego” i ze zdziwieniem spojrzął po panującym na ulicy zbiegowisku. Dzień nie był targowy ni świąteczny, wszakże tłumy ludzi dążyły śpiesznie w stronę rynku. Gruby i gadatliwy gospodarz „Raju”, Domicellus, zapytany o przyczynę, podniósł w górę obie dłonie.

- Nieszczęście! - krzyknął. - Królowna los wyciągnęła! Jedynaczka! Czterech książąt już zjeżdżało w swaty... i z darami! A ot, co!... Los... Stąd taka wrzawa na grodzie...

- Ni słowa nie rozumiem z tego, co mi prawisz... Jaki los?

- Możliweż, byście nie wiedzieli, panie, o bestii piekielnej, przekleństwie Syleny?

- Nie słyszałem.

- Z daleka chyba jedziecie, boć już po całym świecie o tym głośno...

- Z daleka jadę, istotnie. Powiadajże, w czym rzecz, czasu na próżne gadanie nie tracąc.

Odpiął podpinkę z zeszcłego rzemienia i zdjął z głowy ciężki hełm.

- Jużci w dwóch słowach się nie da... Uroczysko tu jest niedaleko, gdzie z dawien dawna demony pogańskie się kryły. Powiadają, że w Pustyni Libijskiej tyle ich nie najdziesz, wiewa tutaj było. Miejsce sobie ulubione obrały. Z tej racji nikt chwili spokojnej nie miał. W biały dzień praczka, żona Protusowa, widziała sprośnego koźlaczka pod grodem! Nieczyste dziewczki wiodły przy miesiącu swoje tańce i chłopców k'sobie wabiły... Aż eremita jeden zbożny, którego zwano Fulgencjusz, na kolanach się sunąc, granicę szataństwu zakreślił, kopczykami kamiennymi ją znacząc, a nad kopczykiem każdym zakłęcie krzyża czyniąc. Tak w siedemdziesiąt dwa lata obszedł uroczysko i spokojnie zasnął w Panu. Pokój jego pamięci! Diabły pogańskie, w ciasnym kręgu zawarte, zdechły powoli czy uszły... Zginęły. Wprzód przecież sztuką szatańską spłodziły bestię straszliwą, trzy stajania długą, do skończenia świata trwać mającą, która kraj nęka, a ludzi do połowy bodaj wytrzebiła...

- Jakże, nie chroni od niej granica pobożnego eremity?

- Chroni, i owszem. Ludzie sami szli. Podchodziła potwora pod granicę, nęcąc, kto jeno tamtędy przechodził, i szli...

- Nie może to być!

- Na świętego Piotra w Więzach klnę się, że nie lżę, szlachetny rycerzu. Wielu zginęło! Najlepszych, najświętobliwszych!... Poszedł cnotliwy biskup Makary z relikwiami egzorcyzmować potworę... Relikwii poniechał na kopcu, sam zasię ku bestii pobieżał... Rycerstwa wiewa chodziło! Samotrzcę i kupą... Żaden nie zdzierzył... Mieczów zabyli i poszli. Podobnież uczeni Maksencjusz oraz Pelagiusz. Gadali, że się jeno z dala przyglądną okropie, by ją w księgach uczonych opisać - a

poszli! A innych! Nie zliczy!

- Czymże mamiała, na Boga!

- Tego wam, szlachetny panie, nie powiem, jako że nikt, kto by owego Lewiatana, syna diabła i sprośnej nimfy pogańskiej, obaczył, żyw nie uszedł. Nie ostoi się jej czarom nikt, i was by zmamiała.

- Nie.

- Tak samo gadali tamci, a jeno wiatr od bestii poczuli, już ku niej pobiegli. Czym wabi, nie wiadomo: co zaś z nimi czyni, łatwo pojąć, na koście bielejące z daleka spojrzawszy.

Wrzawa na ulicy rosła.

- Miłościwy król - podjął gospodarz - społeczność w tak żalonym stanie widząc, w układy z bestią wszedł...

- Chrześcijański pan! w układy?!

- Ha, trza podleć, gdzie przeleć nie lza. By ku granicy nie podchodziła, młodkę jedną szesnastolatkę w wieczyste czasy co roku dawać obiecał... Heroldy w kapturach przez trąby to ogłosiły i bestia przystała. Mądrze zrobił miłościwy król i cały naród go chwali. Będzie dziś piętnaście lat, jak układ trwa... Dziewek i tak rodzi się niby czego dobrego; jedna na rok się straci, ani poznaku po tym nie ma w grodzie... Jeno że dziś na królownę padł los iść ku bestii na pożarcie. Chciał król córkę od prawa uchylić, ale Rada Starszych nie przystała. I słusznie... Raczcie zdjąć zbroję i spocząć, szlachetny rycerzu.

- Nie czas na to - odparł wędrowiec.

- Kum Marko, któren na kasztel chodził z innymi, już wraca! - zawołał gospodarz i pobiegł.

Rycerz włożył z powrotem ciężki hełm na młodą głowę i poszedł do konia uwiązanego przy słupie. Koń, pod srebrnymi blachami, biały był jak śnieg. Wielkie, mądre oczy przebłyskiwały przez wiziory naczółka opatrzonego w ostry grot. Rycerz podciągnął rozluźnione uprzednio popręgi.

- Nie pora jeszcze spocząć, przyjacielu mój. Przygoda nas czeka, przedziwna, największa, jaka być może. Pójdziemy. Nie zawiedziesz mnie, przyjacielu koniu! Nie chybnie się giętka pęcina. Nie zmami nas bestia straszliwa... Czymże ona wabi? Czarem. Czar działa na tych jeno, co chcą zawczasu poddać się czarowi. Niewątpliwie wabi ona czymś, co skryte jest w duszy człowieka. Wędkę zarzuca, zaś człowiek sam idzie niebacznie. Ty nie ulegniesz pokusie. Lepiej niż blachy chronić cię będzie uczciwa prostota zwierzęca. Bezgrasznyś. Nie próbowałaś owocu z drzewa wiadomości złego. Bezpiecznyś przeciw urokom. Oby pozwolił mi Bóg bodaj na ten dzień jeden stać się podobnie prostym, niewinnym, spokojnym, nie dociekającym niczego...

- Królownę wiodą! - zabrzmiało.

Podjął z piersi ryngraf miedziany z wizerunkiem Zbawiciela i ucałował gorąco. Wskoczył na

wysokie siodło, ujął w rękę kopię i nie spuszczać przyłbicy wyjechał wolno z obejścia.

Tłum objął go, oblał falą. Wszystkie głowy niosły się w stronę, skąd dochodził jękliwy wrzask surm. Po chwili ukazał się orszak. Od długich, srebrnych trąb zwieszały się czarne opony. Za trębaczami szły płaczki, wyjąc i paznokciami drąc swoje oblicza, aż krew ściekała na ich białe obleczenie. Za płaczkami, wśród drużyny milczącego ponuro rycerstwa, niesiono złotą lektykę. W lektyce sędziwi królestwo, płacząc, obejmowali ramionami jedynaczkę. Siwa głowa króla chwiała się z bólu. Tłum wznosił na jego cześć okrzyki, których nie słyszał, nieprzytomnymi oczami patrząc na swą córkę, cud wiosny. Stara królowa zawodziła na równi z płaczkami. Za lektyką paziowie nieśli pochodnie i wieńce asfodelowe, jako za pogrzebem.

Obcy rycerz jechał stępą pośród tłumu, nie zauważony przez nikogo. Szli długo. Słońce chyliło się ku zachodowi, gdy ujrzano kopczyki kamienne, wzniesione niegdyś ofiarną dłonią eremity. Na ten widok płaczki podwoiły lament. Orszak stanął. Spłakane panny służebne podprowadziły królową do tajemnej zła granicy. Przystąpiła ją, blada jak gieźło.

Wędrowny rycerz piersiami konia rozepchnął tłum, wysunął się naprzód i przejechał za nią.

W tłumie buchnęły okrzyki:

- Ktoś jest?

- Gdzie jedziesz?... Tam śmierć!

- Nie zratujesz, a sam zginiesz! Zawracaj, nieszczęsny, co sił!

Nie odwrócił głowy. Królowa matka stanęła w lektyce, błogosławiąc mu. Nie słyszał. Orszak zawrócił powoli wśród płaczliwych dźwięków trąb.

Rycerz spojrział na królową. Stała lękliwie, smukła, w długiej białej szatce. We wzroku jej dojrzał prócz lęku nie wiedzącą o sobie ciekawość przed straszną, lecz, kto wie, nęcącą może tajemnicą. Nie zwracała na niego uwagi... Gdy tak stali wśród ciszy pustkowie, z pobliskiego boru doleciał szum jak gdyby nadpływającej burzy. Koń zaczął chrapać, nastawiwszy uszy, rycerz ujął krzepciej kopię i wyteżył wzrok. Wydało mu się, że krzaki, podszycie lasu stanowiące, poruszyły się i idą ku nim. To pełzło cielsko potwora. Leniwie, niby omackiem, gadzinowe, nieskończone, szpetne. Wraz podniosło się łbisko olbrzymie, potworne, o małych, zapadłych ślepiach i szerokiej jak wierzeje paszczy, zakołysało się, stanęło. Tuż poza łbem toczyły się, kurcząc i rozciągając, zwały pierścienne cielska, obłe, brzuchate, nie bronione łuską. Wydęte boki przewalały się niezdarnie i plugawie, gdy straszny łeb zwracał się w prawo i w lewo, szukając... Dojrzał, znieruchomiał, wpił ślepią w królową. Stojący w pogotowiu rycerz spojrział na nią i ujrzął w zdumieniu, że z twarzy dziewczyny znikł strach. Stała niby urzeczona. Niepewny półuśmiech drgał na rozchylonych wargach. Naraz postąpiła parę kroków naprzód.

- Stój! - krzyknął.

Nie słyszała jego głosu, idąc naprzód coraz prędzej. Ruszył koniem w poprzek jej drogi - jęła

biec. Zerwał płaszcz z ramion i zarzucił jej na głowę. Oślepiąca, stanęła jak wryta, jęcząc i słaniając się bezradnie.

Teraz sprawiedliwy rycerz stał oko w oko z potworem. Spojrzał w iskrzące ślepie i opuścił kopię mimo woli. Bo ślepie smocze, małe i podłe na pozór, nagle rozjarzyły się, rosły, aż zapłonęły olbrzymie, przesłaniając sobą wszystko inne. Niby dwie banie ogromne z czarodziejskiego kryształu, migotały tysiącem powierzchni, z których każda jawiła się ukrytym i cudownym światem. Spojrzał rycerz raz wtóry i ujrzał w nich naraz wszystkie rzeczy ziemi, wszystkie uczucia i myśli, i nieskończenie zawile sprawy człowiecze. Nienazwane, nieprzyznawalne, nęcące, kuszące, tajemne, kłębiły się wirem barwnym, wyłaniały się i znowu zapadały w głębię. Rzeczy cenne, rzeczy ważne, i potrzebne w zwierciadle oczu smoczych jawiły się błahe, bezużyteczne i śmieszne, ustępujące miejsca słodkiej ponęcie pokusy. Za rzekomą mgłą widziadeł przebłyskiwały co moment jakoby światy dalekie, w wiecznym obrocie nieuchwytnej kolejności ukazujące się i znikające, dziwne, nieznane, ciągnące, i rycerz poczuł niezmożoną chęć spojrzenia w nie z bliska, chwycenia nici zagadki. Koń nie chciał postąpić w przód, lecz potwór przysuwał się sam i czarnoksiężskie zwierciadła były coraz bliżej. Pochylił się nad nim rycerz zaciekle, badawczo. Wtem miedziany ryngraf, na piersi jego wiszący, odbił się w oczach poczwary. Z migotliwej bani wyjrzała ku rycerzowi twarz Chrystusowa zniekształcona bluźnierczo, wykoszlawiona, przesmutna. Strwożony, zasłonił twarz dłonią. Czar prysł. Znikły ułudne światy - pozostały zwoje cielska, opasujące go już kręgiem wokół. Spiał konia i runął na bestię. Świsnęła ostra kopia, przebiła paszczę straszliwą na wskroś. Przebiła raz wtóry, raz trzeci, pękła od rozmachu. Pochwycił jasnego miecza. Wielkimi ciosami odrąbał poczwarną głowę, a gdy upadła martwa, buchająca krwią, zdjął hełm i przeżegnał się.

Obejrzał się na królową. Stała opodal niby skamieniała. Zsiadł z konia i podszedł ku niej.

- Jako martwe ścierwo leży - rzekł. - Nie będzie już szkodził nikomu. Chrystus Pan zratował nas, wolę walki dając, bo ubić go było fraszką godną dziecka.

Nie odpowiedziała, patrząc nań z ubóstwieniem i miłością. Widział jej się wielki, jedyny w całym świecie obrońca i zbawca, najpiękniejszy, najbliższy, kochania i podziwu godny. W zachwyceniu wstydliwym, uroczym, słała mu duszę pod nogi, gdy, wzięwszy konia za wodze, poszli razem ku widniejącym niedaleko kopcom kamiennym, ręką zbożnego eremity Fulgencjusza przed laty wzniesionym.

Śpi! Nie dziwota; po takiej przeprawie!... Śpi!... Uciszcie się, mili chrześcijanie... - uspokajał gruby Domicellus tłum cisnący się przed wrotami gospody.

Daremnie. Wiwatom i krzykom nie było końca. Połowa ludności syleńskiej zebrała się tutaj, połowa pobiegła jeszcze przed świtem oglądać ścierwo zabitej poczwary. Gród był odświętnie przybrany, radosny. Gruby Domicellus, zatknąwszy ręce za pas, opowiadał najbliższemu stojącemu o przebiegu walki. Słuchali z zapartym tchem.

Wtenczas potwora podniosła łbisko, jak wieżę, i kłapiąc zębami powiada: „Zaprzędam ci duszę, albo cię zjem”. A zasię rycerz: „Nie przedam!” Ona: „Przedaj!” On: „Zgiń, przepadnij! Nie przedam, bestio piekielna!...” Tak ci się sobie przemawiali, aż okropa, widząc, że go nie ustraszy,

smród wypuściła jak dym, przytomność odbierający. Lecz rycerz nozdrza sobie ręką zatkał i kopii się jął. Brzucha jej rozpruł, jelita na czysto wypuszczając, a bestia, rycząc ze strachu, uciekać zaczęła...

- Sam to wam szlachetny rycerz opowiadał? - spytał z podziwem poważny Gorgoniusz, bakałarz.

- Chcecie słuchać, słuchajcie, a nie przeszkadzajcie... - sarknął niechętnie gospodarz. - Wątpia gubiąc uciekał smok przeklęty, tedy rycerz za nim pognał i łba mieczem odciął. Dopieroż ku królownie się zwrócił: „A moją ty perełko!...” - powiada, zaś ona, klękawszy, wiarę mu przyobiecała, dank czyniła i za męża przyjąć ślubowała...

- Wiadomo, życie zratował! No, ludkowie, bezpiecznie będzie żyć przy takim królu...

- Ale i twardo - zaniepokoił się Sylwester kotlarz.

- Nieustępliwy. Smoka się nie zląkł, to Rady Starszych posłuchać nie zechce...

- Bogać tam!

- Ino patrzeć, jak z wieży zadzwonią i całe rycerstwo tu zjedzie bohatera przed oblicze króla poprowadzić. Tam i triumf, tam i zrękowiny odprawią - będzie się na co popatrzeć... Stoły już stoją przed zamkiem, a barany i woły dworscy rznąli całą noc.

- Kto mocny w żebrach, a dopchnie się bliżej, nie odejdzie dzisiaj głodny.

W ciemnej komorze, niebaczny na gwar ulicy, młody rycerz myślał o swej sprawie. Nie spał. Z otwartymi oczyma przeleżał noc całą, patrząc na jawie w sen, co się miał spełnić za chwilę. Oczy świetliste, modre jak toń jeziorowa, stały w pamięci, patrząc w głąb duszy miłośnie. Usta dziewczęce różane drżały tuż przy jego ustach... Na głos bijących jego chwałę dzwonów i surm przeżyło się i zrywało młode ciało, sławy głodne. W glorii zbawcy - bohatera niasł go na ramionach tłum przez ulice grodu. Zasłużył sobie na to wyniesienie, mógł się nim cieszyć bez sromu. Czyn spełniony nie potrzebował się wstydzic nagrody. Jakże jest piękna ona nagroda, jak słodka! Z zachwytem przeżywał ją wprzód niżli nadejście. Niby przedziwo subtelne przewijał przez ręce chwile, co nastąpić miały, ciesząc się zawczasu ich czaem przewijał bez znużenia niezliczone razy...

Aż, nasyciwszy duszę, sięgnął mimo, ku dniom dalszym. Urwało się naraz złociste przedziwo, skończyła się dola swobodnego rycerza Bożego. Jak złoty akord, bój ze smokiem wieńczył jego wolną sławę i zamykał ją. Wydało mu się, że patrzy na nią zza grobu, zamknięty w nagłym kręgu obowiązków tak różnorodnych, zawitych, wiążących. Jasność prosta, z jaką dotychczas rozcinał nieomylnie wszelkie sprawy niby mieczem, ustąpić miała dziwacznym z sumieniem zatargom, ustępstwom, słusznościom pozornym, zasługom wątpliwym. I z przerażeniem poznał naraz, że będąc dotychczas sługą wolnym Jedyne, Najpotężniejszego Pana Świata, nie lękającym się ani słuchającym nikogo krom Niego, zamieni ów zaszczyt i wielkość na niewolnictwo ciężkie i niewdzięczne.

Wzdrygał się, jak gdyby czując już na karku żelazny dźwigar panowania. Z mroków izby

światła oczu spłynęły blisko ku niemu, błagalne, łzami nalane. Rozchyliły się miłośnie w półdziecinne usta, rozdrżane serdecznym kochaniem. Wpatrzył się w nie długo, bacznie. Mocne one - przecie nie władne do tyła, by wolność duszy rycerskiej zastąpić. Słodkie - wszakże nie tyle, by radość dobrowolnej służby Największemu, Najlepszeemu, Panu wynagrodzić...

Przyodział się szybko, sprawnie, nie przyzywając nikogo. Boczna furtką, nie zauważony, wyprowadził wiernego konia z obejścia. Gdy świetny poczet rycerstwa stanął przed gospodą, a dzwony grodu rozhuczały się w triumfie - wędrowny, nie znany nikomu rycerz Boży Jerzy, daleki już był, zagubiony, w przestworze swobodnych dróg.



# PIERWSZE DARY ŚW. MIKOŁAJA

Dom ubogiego Symforiona kamieniarza stał przy głównym placu Myry, górującym wysoko nad płaskowzgórzem licyjskim. W oddali błękitniało morze. Białe żagle, podobne motylom, skupiały się wokół błyszczących w słońcu portowych ramion Andriaku. Plac był duży, nieustannie wypełniony tłumem ruchliwym i gwarnym, wieczną radość dla oczu dziecięcych stanowiącym, przeto Prakseida, Sekundus i Abdon, nędzne potomstwo ubogiego Symforiona, przesiadywali całe dni przed domem, sycąc oczy, by oszukać głód żołądka. Nagie ich ciała wystalizną kości jaskrawo wyrażały zadawnioną biedę. Zapadłe głęboko oczy wpierały się pożądliwie w nieosiągnięty nigdy przedmiot marzeń: gorące placki miodne, maczane w oliwie, grubego handlarza Gorgona, sąsiada. Gdy na cienkim trójzębie żelaznym rozdawał placki szczęśliwcom, mogącym zapłacić za nie ćwierć obola, oliwa kapała na gorącą blachę, przypalając się z sykiem, i rozkoszna woń dochodziła aż ku dzieciom, powodując łaskotanie w krzyżu i napływ śliny do wyschniętej grdyki.

Tuż za Gorgonem stara jednooka Tryscylla sprzedawała gołębie. Powiązane za nóżki parami, podlatywały wkoło niej, trzepocząc. Prócz gołębi handlowała też dziewczętami, długie chwile trawiając na szeptach z bogatą młodzieżą myreńską, do której szczyrzyła bezzębne, krzywe usta. Wróżbiarz Thalesus zapraszał ręką przechodniów do wnętrza zasnutej oponą izby, w której smrodliwych ciemnościach ukazywał w wiadrze wody przyszłe losy. Rój much brzęczał opodal nad rozłożonym mięsiwem przed kramem rzeźnika. Psy bezpańskie, płowe, wałęsały się między nogami przechodniów. Środkiem placu przelewał się ruchliwy tłum, pstro i barwnie przyodziany. Filozofowie w białych tunikach szli poważnie, rozmyślnie nie widząc przechodniów. Za nimi śpieszyli skryby. Nieraz zdarzało się, że na jednym końcu placu stawał na kamiennym podwyższeniu retor, na przeciwnym zaś sofista, do zupełnego schrypnięcia głosu starając się przekrzyczeć wzajemnie i przyciągnąć tłum do siebie. Podjudzani przez rozbawionych słuchaczy, kończyli nieraz dysputę pięściami. W dniu świąteczne przesuwwały się wśród modłów procesje diakonów i pobożnych diakonis w długich zasłonach na twarzach. Czasem wstrząsał miastem żelazny krok legij, dążących z Północy na Południe albo ze Wschodu na Zachód. Rzemienne skórznie zrudziałe były od śniegów lub popękane od gorących piasków. Drgały mocą stalowe golenie, kolana. Szczękały tarcze, władne wznieść Cezara, olśniewały w słońcu miecze, zdolne powalić wybrańca. Przed zwartym ich wężem rozstępował się z dala tłum i gród zalegała cisza. Oni zaś szli mimo, nie spoglądając na boki, zapatrzeni w daleką swą drogę, we własną rzymską nieodpartą moc.

Gdy wieczór zapadał, do wygłodniałych dzieci powracał równie jak one wychudły ojciec Symforion, cały dzień pracujący w kopalniach marmuru, w twardym trudzie zdobywający prawo do nędznego życia. Przynosił dzieciom garść fig i suchy placek jęczmienny, po czym układali się na spoczynek przed drzwiami niskiego domostwa. Plac zalegała cisza. Czerwone latarnie błyskały u drzwi winiarni. Gdy i one zgasły, maleńkie, samotne światło, ponad bazyliką jak baczne oko czuwało nad uśpionym miastem. Każdy z mieszkańców spojrzawszy w tę stronę wiedział, że to płonie lampka zatlona ku czci Matki Bożej, przed której obrazem sędziwy biskup Myry, świątobliwy Epiphanes, trawi dnie i noce na nieustannej modlitwie. Z dawna pacierzami jeno dzielił sobie czas, niewidomym od lat będąc.

Wiekowy był biskup, z łoża z trudem dźwigający się przy pomocy pilnych diakonów. Rozluźnione więzy starczego ciała z trudem przytrzymywały duszę, która lada dzień uleci. Uleciałaby

już pewno, gdyby nie troska, do ziemi wiążąca. . Podziela ją całe miasto: Nie masz biskupa następcy! Słusznie przypuszczają ludzie, że działają tu złe czary. Bo raz po raz diakoni i Rada przywodzą przed starca kapłanów co najprzedniejszych, najświętobliwszych, uczonych, prosząc, by ręce na którego z nich położył, następcą swoim mianując - na próżno, bo bezsilnie opadają starcze dłonie. Do zmartwiałego ucha Głosy tajemne, nieodparte, szepcą: Nie tego naznaczysz!!... I próżno wypatruje starzec ślepe oczy, czekając na godniejszego. Stawali już przed nim z całej Licji ludzie godni wielkiego zaszczytu, i urażeni odeszli. Wrócił do swojej pustelni, uśmiechając się wyrozumiale nad starczym dziwactwem biskupa, świętobliwy anachoreta Hierofanus. Odszedł uczony teolog Baladon. Lud szemrał niezadowolony. Lada dzień biskup zemrze i trza będzie chyba do dalekiej Aleksandrii słać, do tamtejszego kościoła. Skołatany, serdecznie bolejący nad tym stanem rzeczy Epiphanes czuwał nocami, w modlitewnym wysiłku daremnie starając się rozeznąć, od kogo pochodził wiążący dłoń jego Głos. Był to głos Boga? Nie byłże to - o udręko! - głos demona?! Wspierając utrudzone, rozeschłe ciało o klęcznik, modlił się starzec bezsenny.

Z pięknego swego domu, na przeciwnym końcu placu tuż przy domku kamieniarza stojącego, patrzył uparcie w światelko migocące w komnatce biskupa - Mikołaj, syn Euzebiuszowy. Młody był, brzydki i nieśmiały. Dziwaczna nieśmiałość pętała go od dziecka niby sieć. Stronił od ludzi, których lękał się w cichym swym sercu. Bezpiecznym byłby i wolnym gdzieś na dalekiej pustyni, los zaś uczynił go dziedzicem wielkiego majątku, z którym nie wiedział, co począć. Noce jego były bezsenne i nużące ciężką troską. Nie chciał bogactwa, a jakby je rozdać, nie wiedział. Nieśmiałość kleiła mu wargi, gdy pragnął rozważnej porady starszyny. Zawezwać ubogich, niech biorą? Ścierpnął i skulił się w sobie na myśl, że ogłoszono by go dobroczyńcą i wyniesiono w triumfie na plac. Zbierała ochota rzucić wszystko i nocą ujść z domu, lecz wstrzymywała myśl o chciwym krewniaku, który przyjdzie, dom opuszczony zajmie i twardą dłonią zacięży nad niewolnikami. Udarował ich wolnością - oni przedsię padli mu do nóg, błagając, by im pozostać pozwolił... I plątał się bezradnie wśród swych bezużytecznych dóbr, których podjąć i dobroczynnym potokiem między ludzkość skierować nie umiał.

Świt błysnął, różowiąc góry. Ranny wiew odświeżył skołataną głowę. Stroskany młody bogacz spojrział z ganku w dół, gdzie kamieniarz Symforion ziewał, powstając do pracy. Dzieci spały, nagie, skulone pod chłodem nocy, podobne do sinych trupków. Nagły ból ścisnął serce Mikołaja.

Zaprawdę - pomyślał - wszystko na świecie jest lżejsze i do zniesienia łatwiejsze niż niedola małych dzieci. Współczującym okiem ogarnąć można każdy ból i pójść swoją drogą spokojnie, jeno nie cierpienie dziecka. Człek dojrzały zna przyczynę i powody swego bólu. Człek dojrzały zapaśnikiem jest świadomym - dzisiaj leży powalony, kto wie zaś, czyli sam nie tłoczył przeciwnika wczoraj? Któż odgadnie, jaki odwet gotuje mu jutro? Lecz krzywda dziecka cięższa jest niż świat. Niewinne oczy, zachodzące łzami z bolesnym zdziwieniem nad złem, palące są i niezapomniane jak wyrzut Boga samego. Niewinność Chrystusowa mieszka w drobnym ciałku nie znającym grzechu ni jego przyczyny. Kto miłuje Chrystusa, miłować musi ponad wszystko inne - dzieci. Przez nie dojdzie ku Niemu najłatwiej. Biada życiu, które krzywdzi małych! Szczęśliwy, kto krzywdę dzieciną nagrodzi...

Stukot oddalających się śpiesznie sandałów obudził w nocy Praksedę, córkę Symforiona. Ciemna postać w naciągniętym głęboko kapturze mignęła w zdziwionych oczach dziewczynki.

Odwróciła się na drugi bok, by zasnąć ponownie, gdy zapach bliski, nęcący poderwał ją na nogi. Instynktem głodnego zwierzęcia wyczuła jadło w pobliżu. Sięgnęła ręką - znalazła. Ze zdławionym piskiem zdziwienia kopnęła w chude żebra braci. Na wpół przytomni ze snu, rzucili się na nią, na zdobycz. Nie mówili nic. W mroku nocnym, węchem i dotykiem raczej niż oczami rozpoznawali, zachłystując się spazmem rozkoszy, z widzenia jeno znajome mięsiwo pieczone w szafranie, węgorki tłuste w oliwie i placki, lepkie od miodu, wonne od korzeni. Jedli żarłocznie, pomrukując z rozkoszy, jak to czynią zwierzęta, aż gdy szczęki im ustały, a kałdunki po raz pierwszy w życiu stały się pełne i ciężkie, przebudzili śpiącego opodal ojca. Ubogi kamieniarz, ostrożnym człowiekiem będąc, nie zadowolił się samym faktem radosnym. Nasyciwszy głód, zapragnął wiedzieć, skąd spadły dary nieznane. Lecz Praksesta nie umiała nic powiedzieć. Obudziła się, bo nieznajomy człowiek biegł przez plac. Poczwała placki, bo leżały tuż obok... Zatlwszy olejny kaganek, Symforion podjął ostrożnie resztę zapasów, by skryć je w izbie przed okiem zawistnych sąsiadów i - radość odjęła mu mowę; oto jeszcze lniana szatka w sam raz dla Praksesty, i opończe ciepłe, wielbłądzie, dla chłopców, i woreczek dzwoniący, a w nim... Ach! ach! a!... Przyciskając go oburącz do piersi, nędzarz dygotał jak liść. Nie będą już nigdy głodni! Ukląkł, bijąc pokłony Stwórcy, a także i bogom, nie wiedział bowiem, kto mu ten dar zesłał. Dziękował więc we łzach Jezusowi i Jowiszowi zarazem, Najświętszej Pannie i Afrodycie. Naraz pomyślał, że niechybnie okradziono kogoś w mieście, i złodziej, spłoszony, zdobycz swą przy nich podrzucił. Wszakże dziewczyna uciekającego słyszała. Zgarnął oburącz skarb, przenosząc go w głąb ciemnej nory, zwanej domem, przykazując srogo dzieciom nic nikomu o zdarzeniu nie opowiadać, natomiast pilnie słuchać, gdy obwoływacz stratę ogłosi. Lecz obwoływacz nie ukazał się wcale na placu, na którym dwóch retorów potykało się na słowa od straży rannej do schyłku dnia - aż słuchacze, zakładający się o to, który przetrzyma, wodę im z winem podawali dla pokrzepienia.

Ubogi dotychczas kamieniarz nie wiedział, co o tym myśleć. Nie wiedział również, że następnej zaraz nocy dzieci uboższego jeszcze niż on Nazariusza także sam skarb przy ubogim swoim posłaniu znalazły i że równie jak on ostrożny Nazariusz zalecił dzieciom milczenie. Z kolei bogatymi się zbudziły małe córki starej Darii, wdowy niemocą ruszonej, potem Rustykus i Klemens, sieroty po Tymoteuszu, tragarzu. Wtedy przestano się już ukrywać i wieść huknęła wśród ludzi, że dobroczynny demon nawiedza miasto w nocy, rozdaje królewskie dary. Zapewne obdzielili z kolei wszystkich mieszkańców?

Z radosnym wzruszeniem myśleli bogaci kupcy, jakie skarby tajemniczy gość musi zachowywać dla nich, skoro tak hojnie obdziela nędzarzy, niewartych spojrzenia. Kimże był? Aniołem? Demonem dobrym? Gdy nie kwapił się iść z darami pomiędzy bogaczy, gotowi go byli ogłosić duchem piekieł, czartem, i dary na ogień skazać. Że znajdowały się jednak pomiędzy nimi misternie z drzewa lub kamienia rzeźbione wyobrażenia Baranka albo Gołębiczy, musiano uznać niebiańskie pochodzenie dobroczyńcy. Tymczasem nie mijała noc, by ktoś z ubogich, dzieci mających, obdarowanym nie został. W mieście nie mówiono już o niczym innym, z grozą, zawiścią, uniesieniem i błogosławieństwem lub oczekiwaniem. Bądź co bądź, podnosiło to ogromnie znaczenie grodu. Myra dotychczas szczyciła się, że wylądował w niej kiedyś Paweł z Tarsu, Apostoł narodów, a przejeżdżał cesarz Hadrian, obwożący po całym świecie fraszobliwą, niespokojną duszę. Do tych odwiedzin przybywały nowe, nierównie wszakże znaczniejsze.

Nikt dotąd nie widział tajemniczego przybysza. Zjawiał się, gdzie się go nie spodziewano, i -

rzuciwszy do wnętrza domu lub przed progiem tłumok z darami - zniknął bez śladu. Niektórzy zaręczali, że widzieli świetlisty rąbek nękanej szaty i rozpoznawali Archanioła Gabriela. Inni stwierdzali, że pojawieniu się Geniusza towarzyszył nagły wichur, a wraz z nim schodził na głowy mieszkańców, klejąc im oczy nieprzemyślonym snem. Więc grube przekupki, omijane dotychczas przez Ducha, kiwały frasobliwie głowami, zapewniając, że nieczyste to muszą być moce.

Wśród ogólnego zaniepokojenia prawie niepostrzeżenie przechodziła inna sprawa, zaszczytu miastu nie przynosząca, nie ogadana ani roztrząsana jakby należało przez gawieź rynkową. Oto Mikołaj, syn Euzebiuszowy, po którym słusznie spodziewać się było można statku i pobożnej obyczajności, zostawszy dziedzicem nie tyle majątku, zamknął się przed ludźmi, by wieść życie gorszące i haniebne. Co dzień wieczorem (opowiadali z żalem niewolnicy) młody pan wymykał się z domu, by wrócić dopiero o świcie. Przepadał bez wieści i darmo próbowano go śledzić. Pozornie niezręczny, nabierał chytrych węża, gdy chodziło o zmylenie śladów. Raz wyzwoleniowi imieniem Jonas udało się go dostrzec: W ciemnej opończy i kapturze szczelnie nasuniętym na głowę wałęsał się po najgorszej, odległej dzielnicy miasta. Czego tam szukał?... Co więcej, starszy wyzwoleniec Theobaldus, zaufany nieboszczyka Mikołajowego jca, zajrzał kiedyś ukradkiem do skarbcza domowego i z przerażeniem zauważył w nim znaczny ubytek. Mikołaj trwonił fortunę, z trudem zbieraną przez pobożnego a zapobiegliwego Euzebiusza! Niewątpliwie hołdował grzesznym miłośnikom greckim, przez Kościół najsurowiej potępionym.

Starsi mężowie starali się nakłonić świątobliwego Epiphanesa, by grzesznika do siebie zawezwał i powagą biskupią poprawę życia nakazał, lecz starzec obojętny był na te namowy.

- Zali kto go na grzechu zdybał? - zapytywał.

Darmo było dzieciniałemu ślepcowi tłumaczyć, iż niepotrzebny jest widok grzechu samego, tam gdzie ogólne, niezbite o winie trwa przekonanie. Na koniec więc dawni przyjaciele i towarzysze nieboszczyka Euzebiusza, Markus Ancilla, najbogatszy kupiec w mieście, zapalczywy Chrystofor, żeglarz, i łagodny Lucius, trzymający gospodę w Andriaku, zesłali się, by synowi przyjaciela sumienie roztrząsnąć. Dość długo stukali kołatką u wrót, zanim niewolnik otworzył i dostojników do atrium wprowadził. Markus trącił znacząco Chrystofora w bok, i obaj smutnie pokiwali głowami, rozglądając się dokoła.

Wykwintne niegdyś mieszkanie wiało opuszczeniem. Na zapyłonym marmurze tabliczek nie zapisał się od dawien dawna żaden gość. Jedynie przed obrazem Najświętszej Dziewicy, umieszczonym w miejscu, gdzie pogańskimi czasy stał ołtarzyk bóstw domowych, płonęła lampka oliwna, jak dawniej.

Na odgłos kroków odwrócili głowy. Mikołaj stał przed nimi, schylając się w kornym ukłonie. Nieśmiała jego twarz wyrażała najwyższe zakłopotanie, szerokie usta uśmiechały się niepewnie, a z całej postawy bił lęk nieczystego sumienia. Obrzucili go surowo badawczym wejrzeniem, siadając wygodnie na ławie.

- Mikołaju, synu Euzebiuszowy - zagaił rzecz Markus Ancilla z powagą - jako przyjaciele ojca twego pobożnej pamięci przyszedłszy cię spytać, co czynisz?

- Zgorszenie miastu dajesz, którego ścierpieć nie możemy - przerwał porywczo Chrystofor.

- Zbawienie duszy narażając - westchnął Lucius, składając ręce na wydatnym brzuchu.

- Noce poza domem spędzasz - podjął surowo Ancilla - majątek nikczemnie marnujesz. Nie po to ojciec twój zapobiegliwie go gromadził...

- Hańbisz się! tajnej rozpuście oddajesz!

- Powiadają już, żeś wiary świętej odstąpił, do pogańskich praktyk bezecnych należąc...

Mikołaj potrząsnął głową przecząco.

- Oby tak nie było!... Dokąd zatem chodzisz nocami?

- Gadaj nam zaraz, a szczerze...

- W imieniu gminy żądamy!...

A gdy oskarżony milczał uparcie, mnąc kraj sukni w drżących palcach, w sercu poważnych mężów wezbrał słuszny gniew.

- Biada ci, nieszczęśniku, który w szpony szatanów popadłeś! - zagrzmiął Chrystofor. - Biada ci! Ratować będziem twą duszę, z wolą czy bez woli, obaczysz!

Wyszli wzburzeni, otrzepując na progu starannie sandały. Mikołaj stał bez ruchu. Wyzwoleniec odprowadził ich do drzwi.

- Nie tak nas tu niegdyś przyjmowano - sapnął doń gniewnie Chrystofor. - Na taki zar nawet kropli wina nie podałeś, Symforonie!

- Nie mamy wina w domu, dostojny panie! - szepnął wyzwoleniec.

- Nie ma wina?! Cóż podajecie do stołu?

- Mleko kozie - westchnął sługa. - Młody pan prząsnymi plackami, figami i mlekiem żyje, a my z nim - dokończył żałośnie.

- Słyszeliście, szlachetni przyjaciele? - zagadnął za wrotami towarzyszy Markus Ancilla. - W nocy fortunę trwoni na rozpustę, w domu zasię służbę głodzi...

- Czary to pogańskie! Czary! Tesalijskie jędze go zmamiły. - Widziały praczki onegdaj podle gaju, któreń ku wybrzeżu schodzi, korowód owych czarownic, przy miesiącu tańce swoje sprawujących...

- Uchowaj Boże! - wzdrygnął się z lękiem Lucius.

- Na świętego Walentego męczennika! W gaju?! Toćże tam Mikołaja, rzekomo wracającego z Andriaku, widziano!

- Baczycie?!

- Nie tylko dla pamięci cnotliwego Euzebiusza, lecz dla spokoju całego miasta, które za sprawą jednego apostaty nawiedzone przez demony być może, należy swawolę Mikołaja grzesznika ukrócić - stwierdził uroczyście Chrystofor.

Weszli do winiarni, gdzie znajomi zwartym kołem otaczali Serwiliusza owocarza. Geniusz dobroczynny nawiedził jego dom tej nocy. Mała Lucylla zdążyła zobaczyć, gdy zniknął, długi szmat barwnej materii. Dziecko, jak to dziecko, upierało się, że była to sakwa z kwiecistego bławatu zeszyta, z której Geniusz wytrząsnął swe dary, niewątpliwie zaś musiał to być kraj szaty lub skrzydła.

Lecz trzech mężowie słuchali tego obojętnie. Co tam Geniusz! Dotąd nie był u nich i u innych, co najprzedniejszych. Nierównie więcej pochłaniała ich uwagę sprawa Mikołaja. Obiecali sobie roztoczyć bacny nadzór nad grzesznikiem.

Jakoż w parę dni później już go wykryli, przemykającego się nocą pod ścianami.

- Mikołaju! Mikołaju! stój!...

Słyszac wołanie, porwał się uciekać. Skoczyli za nim. Wnet przyłączyli się do nich sąsiedzi, zwabieni hałasem. Mikołaj pędził jak jeleń, daremnie starając się zmylić pogoń w zawiłej płataninie uliczek. Tłum, krzycząc i grożąc, biegł za nim. Gorliwsi kamieniami sięgali. Zbudziło się całe miasto.

Równocześnie zaś nieczuły z dawna na gwary zewnętrzne, w rozmyślaniach dusznych zatopiony, sędziwy biskup Epiphanes roztworzył szeroko w ciemność niewidome oczy. Wrzawa rozbudzonego miasta biła w okna, nie dochodząc doń. Daleki o całe światy od wrzaskliwych ludzi z dołu, uniósł się, zasłuchany w Głosy tajemne, Boskie, zza krawędzi świata dochodzące, których dźwięk tak jest odległy, iż czterdzieści lat ciszy straszliwej pustyni zaledwie nieraz wystarczy, aby je uchem pochwycić. Nakaz, tyle lat oczekiwany, przyszedł nareszcie i bił weń rozkazująco, mocno, nieodparcie. Przyłożył dłonie do czoła, by uciszyć szum, wypełniający suchą czaszkę niby morską konchę, i treść nakazu rozeznąć. Zapragnął wstać i pójść, choć nie wiedział jeszcze, dokąd. Nie było nikogo w pobliżu. Diakoni zbiegli na dół, zwabieni krzykiem na placu, przeto sam dźwignął z wysiłkiem zniedołężniałe ciało. Drżącymi rękoma zmacał biskupie swe szaty. Włożył na głowę infułę. Podpierając się laską - krzywulą, schodził po schodach, wiedziony czuciem nieomylnym.

Głosy śpiewały wokoło i w nim. Rozeznawał je teraz wyraźniej; ptaszęcym chórem dzwoniły: Naznacz go! Naznacz go! Naznacz go i spocznij rad...

Szedł ciemną nawą kościoła, szczęśliwy, wyciągając w ciemności ramiona ku temu, kogo głos zwiastował!... - Nareszcie będzie mógł spocząć!... Czuł już wieczną wiosnę duszy, ku której wyzwolić się osiągnie prawo. Odrzuci larwę cielesną starości, jak łachman przykry, zetlały...

Zachwiał się nagle, bo człowiek uciekający upadł mu do nóg bezwładnie. Rozświergotały się

Głosy, rozjaśniła się twarz starca. Niezbitcie czując, iż trzyma w ramionach następcę, nie pytał, kim był ów człowiek ani skąd się wziął. Nie wiedział, że równocześnie wtargnął do kościoła groźny i wzburzony tłum. Blask pochodni rozświecał głęboką noc bazyliki. W tym świetle ujrzano starca, jak radosnymi rękami zdejmował z głowy infułę, tyle lat na głowie ciężącą, i wciskał na głowę zbiega. Z szyi krzyż, z ręki laskę pasterza, krzywulę. W gorączce szczęśliwej zsuwał z sękatego palca pierścień, drżącą ręką szukał dłoni, na którą ametyst nasunie. A ustroiwszy, odwrócił go twarzą ku wyjściu i wznosił wysoko błogosławiące dłonie nad głową wybrańca. Nie słyszał gniewnego szemrania. Tłum, zaskoczony, nie chciał ustąpić bynajmniej. Omyłka świątobliwego ślepcy była zbyt widoczna i gorsząca. Szacunek wstrzymywał, rozsądek nakazywał przeciwdziałać rychło. Ruszono naprzód stanowczo. A w tejże chwili, współprzutomny ze wstydu i przerażenia, Mikołaj upuścił zawiniątko, kurczowo dotąd przy piersi trzymane. Upadło z szelestem na ziemię. Okrągłe placuszki z miodu, radość dzieci, potoczyły się po stopniach aż pod nogi tłumy.

- Sakwa Geniusza! - wykrzyknęła ze zdumieniem mała Lucylla, córka owocarza.

# OPIEKUN BOŻYCH STWORZEŃ

Niełatwo było przejezdnym dopytać drogi do dawnego arcybiskupa gnieźnieńskiego Bogumiła, od dziesiątka lat pustelnika. Wiedziano po grodach, że siedzi podle Uniejowa na jednym z licznych ostrowów, ale na którym? Jak doń dojechać przez lasy i bagna? Przyjeżdżali w nadziei, że uniejowianie dojazd wskażą, tu jednak spotykał ich zawód. Pytani drapali się w kudły, udając, iż nie wiedzą, o co chodzi. Biskup? Biskup? Na ostrowie? Tępo kręcili głowami, dając pozór doskonałej niewiedzy. Zniecierpliwieni goście odjeżdżali z niczym.

Dopiero gdy tętent ucichł na gościńcu, uśmiech zadowolenia krasił twarze, ścierając wyraz tępoty. Nie wydadzą lada komu drogi do ojca Bogumiła. Nie wydadzą!

Tak było, ilekroć przejeżdżał człowiek konny, czyli znaczny, względnie znacznego wysłaniec. Niech no jednak na gościńcu pojawi się kmięć wiodący kulawego wołu, chorą krowę, niosący niemocne dziecko - jeszcze gęby nie otworzył, a już wskazywano ścieżkę. Że tędy najlepsze dojście do pustelni.

Ścieżka gęsto zdeptana wiła się lasem, omijając wykroty i mokradła, ginęła w paprociach wielkich na chłopa, dochodząc wreszcie do twardego brzegu rzeki. Naprzeciw, o strzelenie z łuku, ciemniała kępa starych olch, jaworów, topoli. Białodrzewy maczały w wodzie zwisające nisko gałęzie. To był ostrów Bogumiłowy. Tutaj, gdy z brzegu krzyknięto: Dajcie przewóz w imię Chrystusa Pana! z gąszczu drzew wychodził siwy pustelnik, odczepiał ukrytą pod gałęziami krypę i pędził ją rażno ku wołającemu, noc była czy dzień, lato czy zima, jednako skwapliwy i przyjazny. Bywały szarugi, że nie daj Boże; psa wygnąć na dwór gospodarz szkodzi, liście lecą jak zamieć, deszcz siecze wodę kosymi strugami, a on wita uśmiechnięty, rad odwiedzinom. Dopieroż chore dziecko czy bydlatko umieszczał ostrożnie w krypie i pchał ją do ostrowu z powrotem. Na kępie w gąszczu stała chata, własnoręcznie przez eremitę wzniesiona, z przybudówką stanowiącą kaplicę. W niej przed drewnianym ołtarzem pustelnik odprawiał codziennie mszę świętą i spowiadał ludzi.

Uśmiech, jakim witał przybywających, nie był przymuszony. Dawny biskup, lekarz dusz i ciał, czuł się doskonale szczęśliwy. Daleko zostały lata rozterki, gdy wyniesiony na arcybiskupstwo gnieźnieńskie nie czuł się zdolny sprostać stawianym mu wymaganiom. Lata ówczesne były latami zamętu, ośmiu poważnych książy rozdzierało między siebie Polskę i arcybiskup gnieźnieński winien był stanąć po stronie jednego z nich przeciw pozostałym. Oczekiwano, że on, Bogumił, złotousty kaznodzieja, pójdzie w ślady poprzednika, Jakuba ze Żnina, co wygnał Władysława II, dybiącego na młodszych braci. Tego się od niego domagano, on zaś nie chciał stawać po stronie niczyjej, bo wszyscy ci Piastowicze zdawali mu się równie grzeszni, jedyną zaś rzeczą godną miłosierdzia i obrony - kraj i naród, o których nie myślał nikt. Wówczas, w czasie dusznej męki, gdy leżał krzyżem w katedrze, modląc się o drogę, napływały doń słowa: „...ducam eum in solitudine et loquar ad cor eius...” zawiodę go na puszcę i będę mówił do serca jego... Powtarzał z uniesieniem te słowa, nęcące jak pokusa. Poił się nimi sekretnie, hodował w sobie, aż na koniec oznajmił wszem wobec, że pragnie złożyć swą godność, by żyć samotnie na puszczy.

Zdumienie było powszechne, oburzenie wielu silne. Pozostali biskupi poczytywali Bogumiła za tchórza, hańbę rycerskiego rodu Porajów, z którego pochodził. Przedkładaniom, namowom nie było



końca. Wszystko nadaremnie. „...ducam eum in solitudinem.”

Choć eremita gmatwał za sobą ślady, by go nie odnaleziono, rozeszła się wprędce wieść, że na którymś ostrowiu siedzi i chatę z bierwion buduje. Mówiono o tym w kapitułach gnieźnieńskiej, krakowskiej, wrocławskiej, poznańskiej. Póki lato, dobrze mu eremitę udawać - uśmiechali się kanonicy. - Obaczym, rychło przybieży do najbliższego klasztoru, gdy pluchy jesienne nadejdą... Ale zimy przechodziły i mijały srogie, nie wypłaszając pustelnika z obranej przezeń kryjówki. Tyle że co dwa miesiące pukał do furty ojców cystersów, prosząc o wino mszalne i opłatki. Mąki ni kaszy ofiarowanej brać nie chciał, powiadając, że ludzie przynoszą mu jadła do zbytku.

Prawda, że ludzie schodzili do niego licznie. Zrazu z ciekawości, wprędce z dusznej potrzeby, bo nie zdarzyło się jeszcze w puszczy, by kto o Bogu mówił, jak mówił Bogumił. Prawdziwie Bogu miły. A cóż dopiero, gdy się okazało, że Pan dał mu moc poznawania każdej choroby i znajdowania dla niej słusznego lekarstwa. To już istne ciągi szły przez cały rok, z siół i posiółków, zza Kalisza, spod Poznania. Po kilka dni szli nieraz ludzie, dźwigając na plecach chorego lub wiodąc chore bydłątko. I zawsze Bogumił poradził.

Dziw, jakie miał serce dla wszelkiej żywiny. Takie samo, jak dla ludzi. Gniewał się bardzo na widok wołu z karkiem tak obtartym jarzmem, aż gniła śmierdząca rana. „Odpowiesz za to, bracie, przed Panem na sądzie” - mawiał do niedbałego gospodarza. „Gdyby ten wół mógł przemówić - powiadał jeszcze - zawstydziliby was, chrześcijany. Bo Pan nasz nie dał bydłociu żadnej obietnicy, a przecie uczciwe jest i wierne, i do ostatniego tchu posłuszne. Nam obiecano przyszlą chwałę i wielkie nagrody, a wieleż w sercach lęgnie się złości i pychy?... Hej, wyprzedziłyby nas zwierzęta, gdyby im Pan duszę, jako nam, dał! Wyżej wzniesie się orzeł niż myśl chciwa, co tylko własnej korzyści patrzy, wdzięczniejszy od człowieka skowronek, miłszy słowiczek, a gdzie dusza wierniejsza niż pies swemu panu wierny? Zbawiciel także miłował wszelkie stworzenie. Nie rzekł do Piotra: Paś skopy moje, albo: Paś bydło moje, jeno z czułością: Paś baranki moje... A dzieciątkiem będąc, sam ptaszki z gliny lepił i życie im dawał, jako nam Ewangelia Świętego Dzieciństwa powiada...”

Ku niemałemu podziwieniu ludzi, gadzina zrozumiała przychylność Bogumiłową. Opatrywał rany, gadając łagodnie, i bydłę ani się nie poruszyło. Nastawiał zwichnięte czy splecione nogi, naprawiał kopyta. Leczył zapalenie wymion, zołzy, paskudnika, nawet czarne wrzody, ochwat albo kolkę. Potem nieraz bywał kłopot, bo zwierzęta odejść z ostrowu nie chciały. Zaprze się krowa raciami w ziemię i ryczy, oglądając się za Bożym człkiem. Dopieroż Bogumił pieści ją, namawia i do gospodarza nakłania. Nieraz zatrzymywał u siebie chore stworzenie, by nad nim dłuższą mieć pieczę. Owce, cieleta pasły się na wyspie, nie doznając żadnej szkody od wilków nawet zimą, gdy rzeka stanęła i dostęp po lodzie był łatwy. Zdarzało się, że ludzie idący do ojca Bogumiła stawali strwożeni, widząc na śniegu wydeptany chodnik wilczy. Rety! rety! zastanaż go żywego? Tyle psiarstwa przeszło! Lecz na ostrowiu ojciec Bogumił żywy i zdrowy karmił swą trzódkę, pomiędzy którą pętał się kulawy wilk, przywiedziony snadź przez stado. Dziwy to były wielkie. Ludzie żegnali się ukradkiem, niespokojni. Jakie miał zakłęcia bywszy biskup - nie wiadomo, ale na ostrowiu jedno zwierzę nie było krzywe drugiemu. Jakby inny świat. Jakby utracony raj, z którego grzech wyгнаł ludzi.

Wieczorem, gdy wszyscy odeszli, Bogumił odmawiał pacierze siedząc na zwałonej kłodzie.

Wilk i dwa psy leżały przy nim, grzejąc nogi starca. Krowy przeżuwały głośno. Chory wół stękał. Sarny, leśne przyjaciółki, pasły się opodal beztrwożnie. Między jedną zdrowaśką a drugą pustelnik myślał o tym, jak mało człowiek zna zwierzęta, choć żyje z nimi pospołu od wieków i z usług ich korzysta. Jaka dumka śni się psu? Jakie myśli krążą powoli w mądrej czaszce wołu? Skąd to wiedzieć? Pan przekazał ludziom wszystko, co im do zbawienia potrzebne, nie przekazał tego, co dotyczy innych światów. Mądrze uczynił, gdyż życia nie starcza, by pojąć i przemyśleć zadania człowiecze. Dość wysiłku siebie zbawić i drugim do zbawienia dopomóc. Kędyż czas myśleć o innych, nie człowieczych sprawach? A może kiedyś przemówił do zwierząt Pan, zaświecając nad ich pokornym bytem nadzieję? Niepodobna, by przepadał zasób zwierzęcej cnoty i zwierzęcego niezawinionego cierpienia. Bo nie jest zwierzę zwierzęciu równe, nawet w gatunku swoim, w cechach rodzaju swojego. Jedne pracowite, łagodne, inne złośliwe, niedbałe. Zaś gdzie zasługa, tam musi być i rachunek, włodarz zaś niebieski czyni liczbę ze wszystkiego... Gromadzi się pewnie ono dobro w spichrzach Bożych, by być użyte w porze znanej Panu...

Ludzie wsiowi nieradzi wyjawiali miejsce pobytu ojca Bogumiła i stare podania nie wspominają, czy kto z możliwych odwiedził kiedy pustelnię pod Uniejowem. Pozostawała ona ukochanym miejscem wędrówek wieśniaczych. I gdy w roku pańskim 1182 starzec zasnął wśród oddanych sobie dusz ludzkich i zwierzęcych, wieść o jego zasłudze, cudach przezeń dokonanych rozeszła się szeroko po kraju i po całym świecie, skłaniając Stolicę Apostolską do wyniesienia Bogumiła na ołtarze.

Od tego minęły liczne wieki, zaszło wiele zmian, przeobraził się świat i rzeka już nie ta, co ongi, i puszcze znikły, i ziemię zmyły ulewy żelaza, ognia, krwi, łez, i nic nie pozostało takim, jak było wówczas, kromia mowy i wiary. Mimo tych zmian, corocznie teraz jak dawniej, w dzień błogosławionego Bogumiła ludzie z okolic Dobrowa i Uniejowa prowadzą bydło i konie na grób pustelnika, prosić go, by pobłogosławił żywinę.

# PERŁY ŚW. ORSZULI

Ilekcroć stara Erlenda zaczęła opowiadać, zaszuchane dziewczki przerywały pracę. I teraz wrzecziona zamaryły nieruchomo w ich rękach, gdy prawiała podniesionym głosem:

- ...A ma ci on Attyła, syn Mundzuka, głowę wielką, grzbiet garbaty, nogi krzywe, nos perkaty, skórę żółtą i kose oczy. Kobyle mleko pija, surową koninę Ízre, po sześć palcy ma u nóg. Kiedy tupnie w złości, dym smrodliwy idzie spod murawy. W dymie demony się kłębią, Mundzukowemu synowi posłuszne. Nie zdzierzy im nikt... Ma zaś ci on Attyła swój stolec daleko, w stepie gorącym, równym. Cztery wieżycy strzegą jego domu. Po cztery razy waruje wkoło częstokół. Na każdym palcu częstokołu wbita głowa wroga. Z wygniłych oczu kapie trupi jad, grozę niesie na wskrós stepu. Nie zdąży ich słońce wybielić, już wiatr pędzi cuch nowych głów. Drży z trwogi ziemia dokoła. Dyszy ciężko z lęku step... Za czterokrotnym opasaniem głów ucztuje rad Attyła, syn Mundzukowy. Z nim pięćdziesięciu jego synów i stu hetmanów przedniejszych - Ellak o srogim obliczu, Dengitzik drżączkę mający, wielki Emedzar góry przenoszący, Uzindur trądem dotknięty, Uto, Iskalm i Ernak... Ze złotych i srebrnych czar piją Attylowe syny i woje; on sam zaś z czary drewnianej, zaklętej. Podle pałacu jego stoi pomieszkanie żon. Jest ich dziewięćdziesiąt i dziewięć. A najpierwsza jest Cerka, którą zwą też Helgą, jasnowłosa, z północy branka przywieziona. Ta ma swój pałac osobny. Słuchają się zachcenia Attyli, Mundzukowego syna, cesarz rzymski Walencjusz, w wielkim Bizancjum siedzący, i wszyscy królowie Wschodu. Straszny on. „Trawa nie porośnie, gdzie mój koń przeleci” - taki jest jego zaśpiew. We śnie ludzie z trwogą powtarzają jego imię. Gorszy jest niżli wilkołak...

- Nie przyjdzie tu zaś? - zapytała z przerażeniem Gulda, spoglądając mimo woli w zakryte zaworą okno.

- Nie przyjdzie, nie; nie strachajcie się dziewczęta. Daleko on, daleko, do Armoryki drogi nie znający. Nad wielką rzeką Dunajem jego czaty stoją. Tam ci się kończy panowanie przeklętnika.

- Jeśli z czarami w znowie?... - dopytywała niezupełnie uspokojona Gulda.

- Prawcie o czym innym - przerwała im Marga (wesoła była, nie znosząca strachów). - Prawcie nam o królewiczu, co po królewnę przyjechał.

Siedząca między dwórkami królewna Orszula spłoniła się i żywo zaprzeczyła głową, lecz stara piastunka, której temat podany dogadzał, pośliniła palce i, puszczając w ruch wrzeczono, zabrała się do nowego opowiadania.

- Przyjechał! oho, ho! przyjechał - skandowała półspiewem - przyjechał z Brytanii, z za morza złego, Ethere, Arturowy syn. Po królewnę naszą do Armoryki przyjechał. Piękny jest królewicz. Niby oszczep prosty. Uda mocne ma jak dzik, stopy chyże jako jelen, oczy błyszczące jak żagwie. W dłoniach krzepki jest jak tur, wyrosły bujnie jak smrek. Nie ma w nim słabości mdłej. Chyba być jego druhem, biada wrogiem. Mąż to, przy którego boku rozkwitnie małżonki cześć. Zazdrościć jej będą wszystkie białogłowy. Ułożą dla niej pieść skaldy...

Królewna spuszczała jasnowłosą głowę nisko, nisko pod zachwyconymi spojrzeniami dwórek. Stara piastunka umilkła, patrząc w nią z dumą i miłością wielką. Na kominie strzelały jałowcowe

karpy, tryskając czerwonymi skrami. Chwilami wiatr wbijał dym z powrotem; izba osnuwała się wtedy błękitnym pomrokiem, w którym majaczyły zatlone łuczywa, różane twarze dziewcząt i drżały miesięcznym blaskiem perły na szyi królowny. Wrzeczona warczały sprawnie.

- Prawcie jeszcze o czym, Erlendo! - zawołała błagalnie Iwona.

- O mocnym Bogu Belenusie wam opowiem, i świętym kwiecie werbeny...

Królowna podniosła żywo jasną głowę.

- Wolej opowiedzcie nam o wielkim bogu Jezu Krystu - szepnęła nieśmiało. - Toćże nam teraz panuje.

Stara Erlenda zacisnęła wargi. Nie знаła żadnych opowieści o nowym bogu.

- Pater Gildas ci opowie - rzekła niechętnie.

- Ho, prawil mi on już nieraz o królu Herodzie i o trzech mędracach ze Wschodu, przecie rada bym znać więcej... Co lubi, kogo najbardziej miłuje? Prawią niektóre, że najbiedniejszych i słabych?...

- A jużci - przyznała Erlenda. - Zawdy powiadam, że nie królewski to bóg, ale rybacki.

Wrzawa ludzi, skomlenie psów, tupot koni po grudzie buchnęły nagle za ścianą.

- Z łowów wrócili - rzekła piastunka, rada z przerwania rozmowy, a złożywszy starannie kądziel i wrzeczono, zabrała królownę, by ją w komorze godnie do uczy przystroić.

W obszernej, choć niskiej świetlicy króla Nothusa, pana północnej części Armoryki, pełno było ludzi i gwaru. Wielkie sosręby poprzez szerokość izby leżące - z jodeł nad morzem wzrosłych ociosane, pokryte rzeźbą misterną - ciemne były od dymu wiszącego chmurą u pułapu i dźwięczne od wrzawy. Przed potężnym ogniem na kominie naganiacze odziani w skóry baranie, łykiem lub struną zeszyte, rozwieszali parujące sieci, chciwie zerkając na jadło. Psy warczały obgryzając rzucone przez jedzących kości. W rzeźbionych stallach dębowych siedzieli przedni goście króla Nothusa: królewicz Ethere, niezrównany łowca, ze swą świtą oraz cała starszyzna miejscowa, wierne tyerny i maetyerny. Stosy mięsiwa zalegały stoły, przegrodzone konwiami wina z brzozowego słodkiego soku. Królewicz brytański i rycerz jego żegnali się przed jedzeniem według nakazu świętego Patryka, uważnie podglądając jeden drugiego, by się w zawiłym znaku nowego boga nie pomylić. Po czym ukradkiem strząsali na ziemię pierwszą pianę wina z czary, bogom starym na ofiarę. Toż samo z westchnieniem ulgi czynili miejscowi. Już też ważniejsze wino niż jałowy znak na piersi! Nie mogą poczuć urazy potężny Hezus, Tentales lub uwięziony w jemiele Taranus.

W głębi izby, na połowie wysokości ściany, tuż pod ciemną chmurą dymu, ciągnęła się cudnie rzeźbiona galeria, dla białogłów przeznaczona. Tam siedziała nieruchoma, w wąskiej sukni ze złotej lamy i wysokim rogatym kwefie, dobrotliwa królowa Daria, otoczona czcigodnymi żonami mactyernów i służebnymi dziewczkami. Przy boku matki Orszula, córka Nothusa, patrzyła ze znużeniem w dół. Poprzez dym niby przez mgłę widział czerwone od trunku, spotniałe oblicze narzeczonego,

jego długie ciemne włosy i błyszczące oczy. Na początku uczył spoglądał dwornie ku niej przed spełnieniem każdego kielicha, lecz teraz, oszołomiony ciepłem i winem, walił bezmyślnie ręką w stół, nie dbając o nic. Mogła mu się przyglądać uważnie. Był taki sam jak ci wszyscy inni, którzy od dziecka napełniali ją mimowolnym lękiem. Srodzy woje, surowi sobie i drugim, groźni, nieustępliwi, gwałtowni. Trwoga ścisnęła jej serce. Poczuła się małą, słabą i bezbronną; niezdatną na żonę rycerza. Wolałaby miłować Pana Jezu Krysta, co rad jest nawet biedakom, niż silnego Etherę o dłoniach krzepkich jak tur...

Stary skald stał przed kominem, śpiewając pieśń o mężnym Beowulfie, synu Ellara, i walce jego ze smokiem duńskim Grendelem. Trzeźwiejsi wtórowali pieśni, dzwoniąc nożami do taktu; inni, zmorzeni całodziennym trudem łowieckim i winem, spali oparłszy bezwładnie głowy na leżących na stole rękach. Korzystając z nieuwagi panów, służba, sietnicy i naganiacze ściągali reszty mięsiwa ze stołu, racząc się nimi po kątach i odganiając natarczywe psy.

Królowa Daria wychyliła się, by zobaczyć, czy król małżonek nie zauważy jej odejścia. Lecz król Nothus spał w swym poręczowym krześle, z głową odrzuconą w tył, chrapiąc donośnie. Wstała z miejsca i wysunęła się cicho do swego alkierza. Królowa nie poszła za nią. Gdy kroki matki ucichły, przesunęła się jak cień między drzemiącymi czcigodnymi żonami mactyernów, zbiegła z galerii do sieni i pchnęła ciężką belkę zawierającą główne wrota domu.

Owionęło ją mroźne, czyste, przezyste powietrze. Śnieg obfity leżał na wzgórzach. Biały, cichy, miękki, do niczego innego na ziemi niepodobny, niby gość z innego świata. Biały, jak biały jest Chrystus, nowy bóg Armoryki... W oddali huczał ocean. Fale przyływu targały rumowiskiem zwietrzałych głazów z chrzęstem niby ciągnionych łańcuchów. Za wzgórzami wschodził miesiąc. Pokryte śniegiem menhiry zdały się postaciami wielkoludów, schodzących w uroczystym pochodzie z wyżyny ku morzu. Uchodzą przed białym bogiem.. - przemknęło przez głowę królowy. Nie zatrzymując się przebiegła dziedziniec i uchyliła skrzypiące wrota szopy ojca Gildasa.

Tu mieszkał stary apostoł Armoryki. Grzał się on teraz przy roznieconym na nalepisku ogniu - skąpym ogniu, kupce błękitnego żaru i śnieżystego popiołu, bo nie chciał dymem dokuczać współmieszkańcom swoim, ptaszętom. Siedziała ich chmara na belkach, krokwiach, występach ścian i wprost na klepisku. Gile, sikorki, zięby, trznadle, wróble i moc inego drobiazgu porwały się z piskiem, spłoszone, skoro drzwi skrzypnęły.

- Chwała Imieniu Bożemu - rzekł stary ze zdziwieniem. - Czy zachorzał kto we dworcu, królowno?

- Chwała - odparła ze czcią. - Nie, nie zachorzał nikt.

Siadła naprzeciw niego, z leciutkim podźwięciem pereł. Rozbudzone na chwilę ptaki zasnęły znowu. Ponad dogasającym ogniem Orszula spojrzała nieśmiało na ojca Gildasa. Ze swym długim nosem i dobrotliwą twarzą, osadzoną na chudej szyi, podobny był do starego, łysego dziecięcia. Jak dziecięć w drzewo, tak on kuł w jej duszę przenikliwym, pytającym wzrokiem.

- Prawcie mi, ojcze, o bożcu Jezu Krystu - szepnęła, zdobywając się na odwagę.

Uśmiechnął się szczerze, radośnie.

- Cóż chcesz, by ci o Nim powieć?

- Prawcie mi dzisiaj, kogo miłuje najbardziej?

Stary zamyślił się chwilę.

- Najbardziej miłuje dzieci i tych, co jako dzieci są, niewinne, bezbronne i białe...

- Tych miłuje... - powtórzyła z cicha.

- Miłuje wszelkie stworzenie swoje, które ostało piękne i czyste, jako On je stworzył, nie popsowało się... Wodę, ogień, wiatr i ziemię... Zboża i kwiaty wszelakie... I ptaszęta, jako te... I ludzi, którzy dobrymi ostali, serca niewinne i pogodne mając... Dzieci, dziewczęta, młodzianków... Ludzi cichych i zła nie życzących nikomu... I starców odejść w spokoju gotowych, choćby grzeszników, jak ja...

Urwał na chwilę i spojrzał w górę z ufnością.

- Wszystkie, którym krzywda jest - podjął - u Niego zachowanie i opiekę mają... I te, którymi świat gardzi... Bezdomne, pokorne jak badył przydrożny; które uchodzą z gościńca szybko, szybko, by je pędzący poczet rycerstwa nie roztratował jak mrówek, zgoła ich nie dostrzegając... Tych wszystkich bardzo miłuje...

Dorzucił parę małych drewniek do ognia.

- Nie mają u Niego takiego zachowania, jako u dawnych bożyców miały, ludzie hałaśliwe, orężne, głośnie, wojujące; bo w walce łatwo skrzywdzić niewinnego. On zasię prawi, że bardziej Go to mierzi, niż gdyby Jego skrzywdzili...

Królewna przycisnęła ręce do mieniającej się perłami piersi.

- Chciałabym - szepnęła - dziewczką niewinną ostać i Jego całe życie miłować...

Ojciec Gildas pokiwał głową pobłaźliwie.

- Gadanie! - mruknął. - Toćże już jest we dworcu przysły Nothusowy zieć. Rychło już białką ostaniesz. Za morze pojedziesz. Bacz chociaż, byś w onym życiu a kłopotach pacierza, któregom cię wyuczył, nie przepomniała!

Rozplakała się cicho, lecz rzewnie, że łzy perliste spadały na wiszące na jej piersi perły i po nich spływały, jak gdyby zerwała się nić którego z dwunastu sznurków.

- Nie płacz - pocieszał ją stary. - Ojców wola święta jest... Co twoje zachcenia dziewczynskie! Teraz płaczesz, a za rok będziesz rada płasnąć na weselu.

- Za rok? - spytała radośnie zdziwiona.

- Ano. To ci mogę sprawiedliwie rzec, bo wiem. Nothus z twoim przyrzeczoną na wojnę jadą i wcześniej jak za rok nie wrócą. Miecze ich świerzbią, tedy im pilno we frankońskie winnice zajechać. Wina, prawią, na wesele sto beczek zwieźć...

- Skąd wiecie?

- Kazał ci mi Nothus król wróżbę sprawić, zali się wyprawa na konunga frankońskiego uda. Ale ja nie wieszczek żaden! Pan mój Jezus Chrystus dla siebie przyszłość zachował, wieszczyc nie pozwala. Takem rzekł. Zaś Nothus srodze mię sklął, od darmożjadów wyzywał i do puszczy po druida słał. Przyszedł wnet, wróżbę z jelitów koźlęcych uczynił; wyprawa uda się pono, co daj Boże, amen - opowiadał stary pogodnie.

- Za rok!... - powtarzała z ugiem królowna. - Co dnia tu przyjdę i będziecie mi o Panu Jezu Krystu gadać.

Posmutniał dokładając znów drewnienek.

- Co ci mam rzec? Prostack ja, nieuczony. Miłuję Go, wiele sił, ale prawić nie potrafię. Co wiem, tom ci już powiedział... Do Rzymu trza by jechać, by usłyszeć. Hej! Rzym! Tam biskup rzymski, następca Piotrowy, siedzi! Wszystko wie... Aniołowie mu służą i wieści przynoszą. Gdy co nie zna, jak rozsądzić, sam Pan Jezus Krystus jawi się w nocy u niego: Tak a tak uczynisz, prawi...

- Sam Jezus Krystus? - złożyła ręce w zachwycie.

- Jak ci mówię. Sam w Przenajświętszym Ciele swoim. Biały jak śnieg, cichy, jasność wokół Niego... Nie raz, nie dziesięć widział Go biskup rzymski, któremu Leon na imię.

Patrzyła weń zachwyconymi oczami.

- Rzym! Rzym!... - powtarzał stary. - Kościoły tam stoją z kamienia, większe niż wasze kromlechy, a kamień cudnie rzeźbiony, jak belki we dworcu. Od świec jasno jak na polu... Księży, biskupów, diakonów, dziewczek Bogu poświęconych tłum, mnogość. Śpiewają pięknie okrutnie... Biskupy zaś o Panu Jezu Krystu nauki prawią, że słuchałbyś dzień i noc... I Drzewo Krzyża Świętego tam jest. I kosteczek świętych męczenników mnóstwo. Ej, raz jeszcze to obaczyć swoimi oczami!... Ale niegodnym tej łaski...

- Gdzie jest Rzym?

- Daleko, daleko na południe, gdzie Longobardy i Wizygoty siedzą. Przez frankońskie ziemie trza by iść... Potem góry srogie... Nie lza tam od nas się dostać.

- Żadną miarą?

- Żadną, ni żadną, bo i Attyla, Mundzukowy syn, wprzecz stoi... Chybaby morzem, galerą... Przyjeżdżały tu kupcy, co morzem z Rzymu przybyły. Wzdłuż Frankonii, potem zasię przez wrota

skalne na morze inne, ciepłe, modre, ludziom od naszego przyjaźniejsze... Ale to sroga podróż; z pół roku jechać by trza...

Milczeli chwilę oboje.

- Idźcie już spocząć, królewno - rzekł stary wstając - bo późno.

Królewicz Ethere, syn Arturowy, położył rękę na głowicy brązowego miecza i chętnie przysiągł na bogi nowe i dawne, że żądanie przyrzeczonej swojej spełni, choćby pragnęła, by rzucił się konno w morze lub zawojował pół świata. Za czym czekał z ciekawością, co też ta drobina, nieśmiała dziewczka wymyśli. Podobnie przysiągł król Nothus, jeszcze więcej zadziwiony, bo pierwszy raz słyszał o jakimś zachceniu Orszuli. Ona zaś stała przed nimi strwożona i stanowcza zarazem, cisnąc oburącz kołaczące w piersi serce, to blednąc, to się rumieniąc, że wyglądała ni to miesiąc, ni to zorza.

- Powiadajże więc, miła moja, czego chcesz? - rzekł wesoło Ethere biorąc się pod boki.

Otworzyła z wysiłkiem usta.

- Chcę pojechać do Rzymu - szepnęła.

Spojrzeli po sobie, nie rozumiejąc.

- Co to jest Rzym? - zapytali równocześnie.

Ściskając mocno dygocące z trwogi kolana, opowiedziała wszystko, co od ojca Gildasa słyszała o Rzymie i o drodze doń, błagając kornie pana ojca, by jej zezwolił dziesięć dziewczek towarzyszek ze sobą wziąć i galerę przysposobić kazał.

- Na Belenusa i wszystkie bogi! - zakrzyknął król przerażony.

Za czym obaj jęli ją prosić, by odmieniła żądanie przekładając niby dziecku, że niepodobnej rzeczy zapragnęła. Ofiarowywał jej w zamian Ethere sto sztuk chińskiego atlasu, co mieniący jest jak skrzydło kraski; jeńców do obsługi czarnych, z gorącego dalekiego lądu, z kolczykami kościanymi w nosach; korzec bursztynu, co niemoce leczy, uroki odgania, a w każdej bryłce, słońcem przyświecającej, zaklęta jest muszka maleńka; pałac z kamienia, jako Rzymianie stawiają; koszule białe lniane; instrumenta nieznane muzyczne i inne rzeczy przedziwne. Lecz ona stała uporczywa i milcząca, nie chcąc słyszeć o niczym.

Ethere stuknął mieczem w polepę.

- Nie będzie powiedziane - rzekł gniewnie - że Ethere, syn Arturowy, złamał słowo, choćby białogłowie dane! Niech jedzie ta dziewczka szalona! Zwólcież jej, miły panie teściu...

- Galerę mi jeno dajcie, przewoźników i dziesięć towarzyszek - szepnęła królewna, drząc całym ciałem z radości.



- Nie dziesięć ci dam, ale sto, boś królewską córą - odmruknął posepnie Nothus.

Patrzył na nią zły i strapiony. Przywołał królowę Darię, by jej o szaleństwie córki opowiedzieć. Królowa wybuchnęła płaczem i objęła Orszulę rękami. Nazwała ją słońcem swego życia, radością i kwiatem najmiłszym. Ciężkie łzy, toczące się po bruzdach twarzy, ocierała białym rąbkiem podwiki. Zabrała córkę do swojej komory, tam nad nią głośno zawodząc.

- Nie płaczcie tyła, pani matko - prosiła królowa. - Wrócę bezpiecznie jesienią.

- Jakże tam trafisz, dziecino?

- Żeglarze nas powiozą, wiatr skórzane płachty wydmie, ojciec Gildas drogę pokaże, zaś Bóg mój i Pan, Jezus Krystus, uchroni od zguby. Jeśli nie wrócę, znaczyć to będzie, że umiłował mnie, jak ja Jego, i za oblubienicę wziął... Nie płaczcie, matko, szczęśliwsza bowiem byłabym w Jego świetle niżli jako żona Etherego...

Daria płakała coraz to rzewliwiej.

- Dowiem się skoro - mówiła przez łzy - zaliś już nie z tego świata, a twoje drobne kosteczki, którem w żywocie nosiła, bieleją gdzieś na dnie morza. Bo jeśli zemrzesz, dusza twoja woła Belenusa przejdzie w żywot inny i powróci ku mnie. Pewno gołąbką się wrócisz, boś gołąbką była - albo biedronką czerwoną, co wpełźnie cicho na okno mojej komory. Poznam cię zawsze od razu...

- Nie, pani matko moja. Nie Belenus mną rządzi, ale Jezus Krystus, któren nie kazał, by ludzie mozolili się w nowym żywocie. Zabiera ich prosto do siebie. Gdy umrę, tam będę się z Nim wesełiła.

- Jakże więc wiedzieć będę, czyli żyjesz?

- Zaczaruję perły, co na szyi noszę, by skoro umrę, wróciły do ciebie. A gdyby mnie opuścił wielki bożyc Jezus Krystus i opuściła mnie cześć, wrócą ściemniałe i mętne. Lecz jeśli jasne będą jako teraz, pomnijcie, że tak ja błyszczę przy boku Boga mojego.

Więc przez dni, co nastąpiły, stara Erlenda, świadoma najtrudniejszych nawet czarów, warzyła w tyglu perły, mocne odmawiając nad nimi zaklęcia, zaś król Nothus galerę kazał rychtować i złocić, żagle ze skór nowych poszyć, by młódki mogły wyruszyć, gdy tylko minie zła pora.

(...W tymże samym czasie, o setki mil stamtąd, nad rzeką Cisą, co do Dunaju wpada, Attyla, syn Mundzuka, zebrał w pałacu swym, czterema drewnianymi wieżycami górującym nad stepem szerokim - synów i hetmanów swoich, by nową wyprawę obwieścić. Szczękając krótkim brązowym mieczykiem prawił, że mu zbrzydło być panem tylko Gepidów, Markomanów, Kwadów, Ostrogotów, Swewów, Herulów, Rugijów, Chazarów, Wandalów i Wizygotów. Rad by jeszcze Longobardów i zuchwałych Gallów ugiąć, do morza Galię opływającego dojść, gdzie Huny jeszcze nie stały...)

Stary druid, z puszczy zwiedziony, rzekł prawdę, bo wyprawa na konunga frankońskiego powiodła się wielce szczęśliwie. Sławą i łupami okryci, pędząc przed sobą stada jeńców i pięknego bydła, wrócili Nothus i Ethere do kraju. Słusznie też Nothus pchnął do puszczy dziesięć byków

starym wróżom na ofiarę. Mniej w tej sprawie zasłużony bóg ojca Gildasa winien był zadowolić się żółtym krążkiem wosku.

Teraz robiono we dworcu przygotowania do weseliska, z dnia na dzień oczekując powrotu królowy. Król z królewiczem jeździli na łowy, i przy wielkich ogniach rozetlonych na dziedzińcu wędzono góry mięsiwa. Królowa Daria piekła placki i kołaczki często spoglądając ku morzu. Wychudła i posiwiiała, a na ślubną szatę królowy, którą haftowała, łązy gościem padały niż ściegi... Wiatr jesienny, ostry, gwizdał wkoło węglów domu. Morze huczało złe i zestroszone i rybacy bali się odpływać dalej od brzegu.

- Spójrzcie, pani! - zakrzyknęła jednego ranka Erlenda, odsuwając zaworę okienną.

Królowa Daria wyjrzała... Całe błonie wokół zamku, hen po brzegi morza, zasłane było białymi perłami. Pokrywały całą ziemię, lśniły jak miesiąc w mglistym pobrzasku ranka, drżały świetliście - drogocenne, czyste, wielkie...

- „Pomnijcie, że tak ja błyszczę przy boku Boga mojego...” - szepnęła królowa struchlałymi od żalu wargami.

Wzięły z Erlendą radno szerokie, białe, jako te, w które spowija się zmarłych, i zeszyły na dół, aby pełnymi rękami zbierać rozsnute perły królowy Orszuli.

# LEW ŚW. HIERONIMA

Nadchodziła pora łowów wieczornych i stary samotnik, wielki lew o ciemnej grzywie, wyszedł nad wysoki brzeg wyschniętej rzeki, co przed wiekami płynęła u stóp Hedżasu. Zachodzące słońce malowało krwią pustynię, aż zapłonęły różowo odległe, ginące w chmurach szczyty Makli i Dibbagu. Samotnik przeciągał się leniwo i znieruchomiał naraz w zdziwieniu. Przerwane ziewnięcie odsłoniło gorącą czeluść paszczy i połysk zębów straszliwych.

Na przeciwległym brzegu pustego „wadi” (rzeki), na wzgórzu, ujrzał kształt nowy, postać nieznaną, nigdy dotychczas na pustyni nie widzianą. Choć nieruchoma, nie była ani skałą, ani krzewem - nie była także zwierzęciem. Skąd przysła? czym była?... Cichym, sprężystym krokiem lew - samotnik przeszedł kamienne koryto rzeki i, przystając za głazami, zbliżył się do wzgórza. Postać trwała nieruchomo, brunatna i wąska jak opalony pień drzewa, dziwnie drobna i maleńka w kamienistym bezdrożu pustyni. Wiatr tchnął żarem nad skałami; lew podniósł nozdrza i roztworzył je na wiew. Gniew zmarszczył skórę na wypukłym czole, bo wiatr przyniósł woń człowieka. Samotnik przypadł za skałą, opierając brodę w piasku, gdy potężne lędźwie drżały jak do skoku, a brwi zbiegły się w jedno nad płonącymi ślepiami. To był człowiek!... Sprężysta kita ogona wiła się w piasku jak wąż. Nigdy dotąd stworz człowieczy nie dotarł do tej kotliny, wolnej dziedziny lwa i sępa, nie skalał jej swoją obecnością przebiegły drapieżnik pozbawiony potężnych kłów i pazurów, lecz chytrze walczący ze stworzeniami bronią innych, przyjaznych im stworzeń. Łagodny, płochliwy koń udzielał szybkości jego pogoni - przyjacielskie błogie drzewa, stworzeniu przyjazne, zmuszał, by jako włócznie albo strzały godziły w żywot zwierzęcy. Zasłaniał się wałem z cierni przed sprawiedliwym gniewem ludu puszczy. Gdy z rykiem bólu i złości lew wrywał z rany strzałę, widział na jej końcu pióra, poznawał kształt ich i zapach. Były to pióra sępie, a ród sępów nie był nigdy wrogiem rodu lwów. Oto jak przebiegłość ludzka kazała lotkom sępiom nieść śmierć w biodro lwa! Wszystko, czym człowiek chełpił się, groził, uderzał, wszystko, czym stawał się straszny, było cudze, wydarte podstępem, zapożyczone od innych. Sam przez się czymże był? Najnędniejszym ze stworzeń, bardziej bezsilnym i niedołęznym niż szakał.

Przyczajony za skałami lew wpatrywał się badawczo w widniejącego na wzgórzu człowieka; pierwszy raz mógł dokładnie przyjrzeć się podstępnemu wrogowi. Wróg ów klęczał z głową wzniesioną ku niebu, a zachodzące słońce kładło smugę różowego światła na jego głowie łysej, wypolerowanej jak kość. Dokoła tej połyskliwej wypuklizny rzadkie kępki siwych włosów otaczały się glorią słoneczną, barwnym obrzeżem tęczowym. Z luźnych rękawów odzieży wysuwały się ręce stare, o pomarszczonej skórze, pozbawione mięśni i giętkości. Lew pogardliwie zmrużył żółte ślepia i patrzył dalej. Wróg był bezbronny. Nie leżała przy nim włócznia ani łuk; odzież, zwisająca z chudego grzbietu jak worek, nie kryła w sobie zasadzki. Co uczyni, gdzie ucieknie, zobaczywszy pana puszczy?

Lew - samotnik nienawidził ludzi od chwili, gdy z dawnej, sprzyjającej łowom okolicy uszedł przed obławą, strwożony jazgotem dzwonek, wyciem trąb i wrzaskami. Uszedł z godnością, podobnie jak się uchodzi bez hańby przed kolumną białych mrówek. Przeniósł swe leże w głąb pustynną, nie znającą ludzkiej stopy. A oto wróg - człowiek przyszedł za nim.

Zapra gnął spojrzeć mu w oczy, nasycić się lękiem zaskoczonego, usłyszeć skrzek przerażenia.

Obszedł wzgórze miękkim, bezszelestnym krokiem i wysunął się z nagła spośród złomów skalnych. Wzniósł groźnie wielki, ugrzywiony łeb, wpierając ślepią w twarz wroga. Wtedy człowiek klęczący zwrócił wzrok ku niemu. Oczy jego błękitniały w suchej, pomarszczonej twarzy jak pogodne niebo. Wyglądały one oczy niby dwa bliźniacze kwiatki porzucone na kamiennym stepie. Nie ruszył się z miejsca, patrząc niebieskością źrenic w straszliwego zwierza. Uśmiech roztworzył zwiędłe, wąskie wargi, gdy ciało zachowało poprzednią nieruchomość.

Więc chyba nie był to człowiek, choć wiatr przynosił odeń zapach ludzki! Nie nacierał z bronią ani nie uciekał?... Nie ruszał się, nie wydawał głosu... Lew zdziwiony odszedł, człowiek zaś pozostał. Miał na tym wzgórzu pozostać na stałe, sypiając w wydrążeniu skalnym, żyjąc szarańczą oraz daktylami, które wraz z wodą w tykwie przynosił sobie raz na trzy dni z pobliskiej oazy.

Odtąd w kotlinie kamiennej, nad poszarpanym korytem wyschłej dawno rzeki, żyli dwaj samotnicy: człowiek i lew. Nikt więcej. Czasami, rzadko, zaglądały do nich sępy. Szakale zawodziły za skałami, ogryzając resztki zdobyczy upolowanej i zostawionej przez lwa. Nad skałami, nad legowiskiem lwa, nad łusą głową starego człowieka wisiało przepaściste niebo nabite gęsto złotymi głowicami gwiazd lub rozżarzone słońcem do białości. Przechodziły pory suche, pory dżdżyste, przelatywały z szumem i poświstem wichry...

Co czynił samotnik - człowiek? Jakie były jego łowy? Na jaką czekał zwierzynę? Czujna przytomność nieustannej jego obecności dla kogo kryła zasadzkę? Na co czatował? - Ciekawość żarła samotnika - lwa.

Z krótkim, urywanym rykiem krążył wkoło wzgórza, a ryk ten był podobny do grzmotu w czas burzy. Ze skał odpowiadało groźne echo, lecz stary człowiek spał spokojnie w swoim wnęku skalnym, bezbronny, wydany na łup. Cóż łatwiejszego, jak dniem czy nocą, jawnie czy skrycie, powalić go jednym rzutem, roztrzaskać zeschnięte kości w podartym worku odzienia, ze słabego gardła wygrzyźć dech życia? Zbyt łatwe i nie nęcące. Ciekawości to nie zaspokoi... Ciekawość lwa rosła. Kulejąc - bo cierń akacji wbity w łapę przeszkadzał mu w chodzie - wspinał się śmiało na wzgórze, spoglądając wprost w twarz towarzysza - samotnika. Starzec obracał wówczas ku niemu modre oczy i uśmiechał się łagodnie.

Nieodparta chęć obwąchania z bliska dziwnego człowieka ogarniała zwierza. Przystając za każdym krokiem, podszedł jak najbliżej, a wtedy starzec wyciągnął dłoń, która nie drżała, i położył ją na grzywie odwiedzającego. Przesunął po niej z pieśczołą. Spojrzał w rozwartą gorącość paszczyki i pokiwał dobrotliwie głową: Dobrze zęby dał ci Pan Bóg, przyjacielu...

Wzrok jego z upodobaniem przesunął się po kształtach zwierza, dziwiąc się jego krasie wspanialej i mocy. W baczym spojrzeniu dostrzegł obolałość nogi uniesionej z lekka w górę.

- Cierń pewno wlaźł ci do nogi... Patrz, takiś wielki, a ciernia nie umiesz wyciągnąć... Ot, co jest siła!... Pokażno tę łapę.

Schylił się i, przysiadłszy na ziemi, odwrócił łapę podszwą na zewnątrz. Lśniły w niej pazury stalowe, potężne, zdolne jednym uderzeniem rozerwać grzbiet wołu. Pochylonego owiewał oddech gorący, a kolczasty ozór dotykał rzadkich kłaków siwej brody. Nie zważając na to, wyciągnął

ostrożnie cierń długi i ostry i podniósł z uśmiechem w górę.

- Nie będzie ci już dokuczał!

A lew położył się przy nim, garnąc pod siebie nogi, niby kot domowy. Starzec przysiadł obok, gładząc dłonią bok zwierzęcia.

- Jakież jesteś piękny, jaki mocny, przyjacielu - lwie. Któż cię uczynił tak giętkim, tak roslym?... Zali wiesz o tym?... Bóg cię uczynił - Bóg, który stworzył cały ten świat... Każde zwierzę zaopatrzył ponad miarę i zasługę, nawet cuchnącą hienę - nawet szakala, wiecznego tchórza - żadne jednak nie jest tak obdarzone hojnie, jak ty... Z jaką lubością obmyślał twój potężny kształt! Postawił cię królem zwierząt... Maszże za to wszystko wdzięczność? Miłować Go powinieneś...

Szeptał do siebie raczej niż do zwierza, który przymykał ślepią, poddając głowę pieszczocie. Czar nieznan, czar słodki ludzkiego głosu serdecznego działał... I tak widnieli obaj z daleka na wzgórzu, brunatność swoją i płowość roztapiając w blaskach słońca...

Niem mało czasu minęło od tej chwili aż do dnia, w którym ojciec Hieronim (bo tak się zwał samotnik - człowiek ze wzgórza) odchodził z pustyni, odwykłą od długiego chodu stopą. Kolana zeszywniałe w długim nawyku klęczenia gięły się pod ciężarem kościstego ciała. Zrudziała opończa zwieszała się w strzępach. Szedł przecież rażno, nie bacząc na ostrość kamieni i obojętny na żar słońca. Na widnokręgu, w rozedrganych tęczach powietrza, nieznanne duchy rozwieszały widma cienistych gajów, tak rzeczywistych i bliskich na pozór, że zda się, w godzinę niespełna dobiec do nich można. A gdy wiatr powiał, ginęły, ukazując za swym oszukańczym pięknem spaloną szarość kamiennej pustyni bez końca. Czyciele gwiazd zwykli byli mawiać, że to gród Iremu, z kraju Hadramaut, który za sprawą bogów stał się niewidzialny; czasem jeno ukazuje się oczom pielgrzymim na chwilę. Pustelnik myślał, że w podobnym kształcie ukaże się oczom zbawionych Jeruzalem niebieskie, Gród Boży, i uśmiechał się cudnym majakom, śpiewając z cicha ulubiony psalm: „...Wezmę sobie skrzydła zorzy rannej...” Śpiewał zaś, by zagłuszyć w sobie żal serdeczny za porzuconą pustelnię.

Z dobrowoli wracał w rojowisko ludzkie, w gadatliwą krzątanicę ziemskich zabiegów i spraw, przynaglony do powrotu siłą proroczego snu. Nawiedził go ów sen onegdajszej nocy, gdy spał błogo w twardym łożu skalnej rozpadliny. Ukazał mu zakonników z położonego na wschodnim krańcu pustyni klasztoru, rozproszonych i bezradnych niby owce bez pasterza. Widział ich w rozdzieleniu po nagłej śmierci przeora, nie mogących zgodzić się na wybór drugiego. A oto umyślili odnaleźć jego, Hieronima ze Strydonu, i prosić, by ład u nich zaprowadził i ustanowił zwierzchnika. Starej głowie, spoczywającej na chłodnym wezglowiu skalnym, ukazał ich sen - jasnowidz, sfrasowanych, krążących po zgiełkliwych ulicach miasta Damaszku, dopytujących się wszędzie o głośniego z nauki i wymowy męża. Ukazał ich, siadających w wielkie, czterorzędowe statki, płynących Eufratem w dół, ku gromadom nadmorskim, w nieustannym poszukiwaniu. Niech szukają - uśmiechnął się niby dziecko, wspomniawszy, jak to niegdyś, po śmierci Liberiusza papieża, uciekł z Rzymu w hańbiącym przebraniu niewiasty, byle uniknąć narzuconej mu przemocą godności biskupa rzymskiego. I tym razem nie odnajdą go tutaj, w sercu pustyni!

Lecz barwna płyta drgnęła pod roześmianymi wspomnieniami oczami, ukazując wnętrze

klasztoru, porzuconego przez szukających go zakonnych braci. Panował tam bród i nieład. Pozostali waśnili się pomiędzy sobą. A w pustej kaplicy opuszczony Chrystus Pan wisiał bolesny, samotny. Gdy użalał się pustelnik nad opuszczeniem Boskiego Majestatu, podniósł Chrystus Pan oczy i popatrzył nań. Pod tym spojrzeniem, gdy tylko świt nadszedł, starzec wstał i, przywiązawszy tykwę łykiem do pasa, poszedł na wschód, ufając, iż doprowadzi go Pan tam, gdzie obecność jego jest potrzebna.

I szedł szereg dni, układając się do snu w miejscu, gdzie go noc zaskoczyła, ruszając dalej o świcie. Szedł przez kamienne rumowiska złożone z płyt wielkich, spękanych na tysiącne części, wyglądających jakoby zruszony bruk miejski. Ostre kanty brył kaleczyły stopy. Z rzadka spotykał oazy, obok kępę palm daktylowych, mannodajną tamaryndę i wiklinę zwaną „negil”. Zrobiwszy zapas daktyli, dążył niestrudzenie naprzód. Gdy nocą słyszał ryk lwów krążących w pobliżu, wspominał z żalem towarzysza - samotnika, pozostałego na szczęśliwym wzgórzu. W serdecznym uczuciu przyjaźni dla przyjaciela - zwierza otulał ciepłym dumaniem cały świat zwierzęcy. Myśl jego rąca, skrzydlata, z górnych rozmyślań o Istocie Przedwiecznego schodziła snadno na ziemię roztrząsać zagadkę, małuczkiej braci człowieka i użalić się jej krzywdzie.

Jakże nielitościwi są ludzie dla zwierząt! Z jak pogardliwą wyższością narzucają im swoją przemoc! Uśmiechnął się starzec żałośnie, wspomniawszy, że dla niewolników, dusz nieśmiertelnych, męką Chrystusową równo z innymi odkupionych świat sroższy jeszcze jest niżli dla zwierząt. Pókiż tego będzie? Czy długo pozwalać będzie na to Pan? Wytężył oczy w głąb czasu i ujrzał z pociechą, że przyjdzie dzień, w którym niewolnictwo zginie. Poznają ludzie ohydę targów na człowieka. Czy dzień podobny nadejdzie dla zwierząt? Nie umiał go dojrzeć w oddali... Przed zasmucone oczy ciągnęły sznurem obrazy: oto stromą ścieżką wspina się cierpliwie bezpłodny, smutny muł, uginający się pod zbyt ciężkimi jukami. Na oku wyciekłym czerni się rój much niby żywy plaster. Poganiacz w szarej płachcie okłada dyszące boki kijem, w który wprawił ćwiek, by uderzenie było boleśniesz. A oto wół - oracz, ciągniony przez rzeźnickich pacholków do bójni. Jaskrawoczerwone opończe cuchną krwią, silne, włochate ramiona są bezlitosne i lepkie. Ciągną bijąc. Czuje wół krew i wie, dokąd go wiodą. Czerwone opończe to śmierć. Przeżyje swój zgon sto razy, gdy padnie nareszcie pod razami pałek. Łagodne oczy, obłąkane z trwogi, zachodzą łzami rozpacz. Z gardzieli rwie się ryk krótki, bolesny jak szloch. Nie wzruszy nikogo, boć to zwierzę... Zwierzę! Cóż z tego? Prawda, nie odkupił ich swą śmiercią, nie uświęcił swą Krwią Zbawiciel, ale stworzone zostały przez Boga. Były w raju. Dzieliły straconą szczęśliwość człowieka. Bóg oddał je człowiekowi w opiekę i służbę, lecz nie w poniewierkę. Czy nie zażąda w dniu ostatecznym rachunku z każdej nieużytecznej męki i krzywdy zwierzęcej?

I podnosząc ku niebu oczy, które w starej twarzy wylądały jak dwa modre kwiatki porzucone na brunatnej zgorzeli ugoru, modlił się ojciec Hieronim, by odmienił Pan Bóg serca ludzkie, iżby dobrymi stały się dla ludzi i zwierząt. Niech nie męczą bez potrzeby! Niechaj oceniają zasługę. Niech uznają i wywyższą zwierzęcą wierność, uczciwość, odwagę. Niech uszanują w najmniejszym stworzeniu dostojność myśli Bożej i Wszechmocnej woli...

A po wielu dniach podróży strudzony wędrowiec dojrzał z pagórka zabudowania klasztorne. Leżały one na krańcu pustyni, jedną stroną poglądając w jej niezmierną jałowość. Klasztor stanowiło kilka niskich domków, z grubych pni palmowych skleconych, wapnem pobielonych. W

pośrodku górowała wysokim dachem kaplica. Zabudowania otaczała tęga palisada na półtora człowieka wysoka, z mocnych pali ostro zakończonych zbita. Ciężka furta była zawarta od wewnątrz, i pustelnik stanąwszy pod nią kołatał długo, zanim przez małe okienko wyrzała opryskliwa twarz brata furtiana.

- Jestem ten, którego szukacie, Hieronim ze Strydony, syn Euzebiusza - rzekł do niego starzec.

Okienko zatrzasło się szybko, zaklekotały po piasku sandały. Brat furtian pobiegł snadź z tą wiadomością. Pustelnik czekał. Nareszcie otwarła się furta; grono braci stało na dziedzińcu, w zdumieniu wielkim patrząc na przybysza.

- Witajcie w Panu! - rzekł do nich.

- Pan z tobą! - odparli.

Niepokój wyzierał z ich oczu. Stojący przed nimi żebrak miałżeby być Hieronimem, filarem Kościoła, doradcą papieża, wykwintnym wielbicielem Cycerona, powagą zatwierdzającą kanony śpiewów kościelnych? Nie w tej postaci spodziewali się go ujrzeć!

- Tak, to ja - odparł, zgadując ich ukryte myśli. - Wysłañcy wasi szukają mnie pośród miast, ja zaś byłem na pustyni. Tam powiadomił mnie Pan, że jest na jej krańcu klasztor, w którym zakonnicy, rozproszeni jako stado bez pasterza, poniechali służby Bożej.

Milczeli zmieszani, on zaś mówił znowu, wodząc oczami dokoła:

- Jakoby w więzieniu mieszkacie za takowym grodem...

- Konieczna to rzecz, bo okolica srodze dzika i pustynna - odrzekł śpiesznie brat Symforian, rad z odwrócenia rozmowy. - Zdarza się nawet, że lwy podchodzą w pobliże! Strasznie wspomnieć owe noce pełne trwogi, gdy zagrodzenie jeszcze nie było gotowe i cisnęliśmy się w lęku przy ogniach, hamując struchlałe serca...

- Zali taki groźny lew?...

- O, Wasza Wielebność! Dość raz usłyszeć ryki onych bestyj, krążących jako demony wkoło ludzkich siedzib! Toćże już Pismo Święte szatana do lwa ryczącego porównuje, skąd jeno wynika, że lew i zły duch - to jakby jedno. Potworne to smoki, na zgubę rodu ludzkiego zażarte! Nawet za tym zagrodzeniem, wielkim wysiłkiem wszystkich braci wzniesionym, nie byłoby dość bezpiecznie, jeno z pomocą Bożą udało się nam jednego schwytać w nakryty gałęziami dół i tam włóczniami zadźgać... Odtąd przestały podchodzić...

- Jezu Nazareński! - wrzasnął naraz brat Paschalis i z przeraźliwym skowyttem porwał się biec w stronę domu. Zawtórowali mu inni.

Hieronim drgnął zdziwiony. Wśród ogłuszających krzyków nie rozumiał, co się stało. Bracia pierzchali krzycząc niby opętani. Jeszcze chwilę klaskały chyże sandały o piasek - i pozostał na dziedzińcu sam. Zgrzytnęły zawierane śpiesznie drzwi domostwa, zaś w pozostawionej otworem

furcie ukazał się łeb grzywiasty. Z godnością władcy, schodzącego w niegodne jego majestatu miejsce, wszedł na dziedziniec drugi samotnik ze wzgórza. W zamkniętej ciasno przestrzeni wydawał się jeszcze większy. Podeszedł do starca i kudłatą głowę wsparł o jego dłoń.

- Co tu robisz? - zagadnął żółtym, mądrym ślepiem. - Chodź, powrócimy na wzgórze.

Za zawartymi wrotami domu panował hałas i zgiełk. Ściągano ciężkie przedmioty pod drzwi. W chwilę potem zaszleściło poszycie dachu i uniosło się w jednym miejscu, ukazując głowy brata Symforiana, bladego z przestachu, i brata Paschalisa, czerwonego z nagłej trwogi.

- Żyw, żyw jeszcze! - krzyknęli obaj radośnie. - Ojcie Przewielebny, odstępście, na Boga! Będziemy godzić włóczniami w tę zuchwałą bestię!...

- Nie włócznią! kuszą! Puść mnie, bracie Paschalisie! - wołał zduszonym głosem spod poszycia brat Nicefor, znany z biegłości łowieckiej.

- Niechajcie broni! nie wróg to, ale przyjaciel! - wołał ku nim ojciec Hieronim z dziedzińca. A lew lizał jego rękę ogromnym, szorstkim ozorem.

Lecz oni nie słyszeli słów starca, szamocąc się w ciemnym otworze i przepychając łokciami. Każdy z nich pragnął dostąpić rozkoszy zatopienia ostrza włóczni w cielsku wroga. Oczy im płonęły radością bliskiego triumfu, upajała myśl o wściekłości bezsilnej zwierzęcia.

- Odstąpście, Ojciec Wielebny, odstępście! - wołał teraz brat Nicefor i, silnie odepchnąwszy pozostałych, wysunął się do połowy ciała spod poszycia. Zazgrzytała ciężka proca, gotowa do strzału.

- W imię zakonnego posłuszeństwa rozkazuję, bracie, opuścić kuszę natychmiast! - zakrzyknął z dołu pustelnik. - Przyjaciel to, który przyszedł za mną; nie dotknie żadnego z was!

Cisza zaległa pod dachem. Bracia cofnęli się z żalem. Dwaj samotnicy stali na dziedzińcu.

- Chodź - powtarzał uparcie lew wzrokiem. A starzec wzdychał spoglądając przez otwarty kwadrat furty w swobodny bezmiar pustyni.

Tak trwali, gdy z nagle znak zadźwięczał z klasztornej kaplicy, a wraz rozległ się chóralny śpiew. Pustelnik odwrócił głowę zadziwiony. Zza węgła domu wyszli bracia w uroczystej procesji, niosąc rozpięty spłowiały baldachim.

- Błogosławiony mąż, którego upodobał sobie i uświęcił Pan! - wołał potężnym głosem brat Symforian. - Oto niegodne nasze oczy widzą cud! Idzie mąż święty, poskramiając srogie bestie... Większy jest niżli Daniel i Prorocy... Straszliwy lew idzie przy nim jako jagnię... Bądź uwielbiony, Świętobliwy Panie! Racz stanąć pod baldachimem i wejść do naszej ubogiej świątyni...

Lecz ojciec Hieronim, który z początku nie mógł pojąć, czego by chcieli, uniósł się gniewem, po raz pierwszy od lat wielu.



- Odnieście co rychlej baldachim na ołtarz! - rzekł ostro. - Nie pod nim miejsce grzesznika! Czego chcecie? Dziw wam, że zwierz swobodny obcuje z człowiekiem w przyjaźni, nie czując ku niemu złej woli. A ja wam powiadam, że dziwne i żalosne jest, iż nie może obcować tak z każdym! Nie z kuszą trza iść do stworzeń Boskich, ale z sercem!

- Zaś stworzenie Boskie pożre ochoczo serce razem z ciałem - westchnął z cicha brat Paschalis, spoglądając z odrazą na lwa.

- Bracie lwie, czas popędzić osła na pastwisko - rzekł ojciec Hieronim, skończywszy ranne pacierze.

Stary samotnik, leżący u jego stóp, podniósł się z wolna i chlasnął ogonem giętke swoje boki. Szary kłapouch stał już przy furcie, z uwiązany u szyi dzwonkiem z refektarza. Wyszli razem. Osioł podreptał naprzód niefrasobliwym truchcikiem, samotnik z godnością szedł z tyłu. Brat Paweł zamknął za nimi furkę i poszedł do swoich zajęć. Od dłuższego czasu weszło bowiem w zwyczaj, że lew pilnował osła na pastwisku, odprowadzając go wieczorem do klasztoru. Sarkali na to bracia początkowo, zły koniec wróżąc przyjaźni lwa z osłem - lecz gdy dni mijały, a kłapouch o tej samej porze wracał szczęśliwie pod furkę, uznawać zaczęli zalety osobliwego pachotka. Szczególnie rad był brat Placyd, który poprzednio miał sobie powierzony dozór nad osłem. Zaś zachowanie i powaga ojca Hieronima rosły. Bracia skwapliwie odprawiali modły, zachęcając się do jeszcze większej pobożności.

- Zaprawdę, niezwykle to człek - powiadali, któremu lew z dobrowoli stał się powolnym pastuchem. Biada, kto by go rozgniewał!

Iście też, po krótkim czasie nie znalazłbyś klasztoru, gdzie by służba Boża gorliwiej odprawiana była, a posłuszeństwo ściślej przestrzegane. Umilkły waśni i swary, odbiegło lenistwo, najpiękniejsze cnoty zakonne zakwitły cudnie wśród braci.

Aż zdarzyło się oto, że w miesiącu, przez pogan, czczących gwiazdy, kamienie i źródła, zwanym Dulkade, osioł nie wrócił o zwykłej porze pod furkę. Gdy noc ciemna, gorąca zapadła, ojciec Hieronim usłyszał znajome stęknięcie i poszedł śpiesznie otworzyć. Lew zawstydzony, z opuszczonymi nisko głową i ogonem, drapał się za progiem, sam.

- Gdzie osioł? - zapytał przeor.

- Nie ma - odpowiedział lew wymownym wstrząśnięciem grzywy.

- Gdzie jest?

Okrągła i rumiana jak wschodzący księżyc twarz brata Nicefora wykwitła nad ogrodzenie.

- Gdzie jest? - powtórzył z urągliwym śmiechem. - Pytasz się, Ojcze Wielebny? Pożarła ta bestia osła, nic lepszego dziś nie upolowawszy! A toż to jasne jak dzień! Jutro pożre kogo z nas lub, uczciwszy uszy, roztrzęsie stare kości Waszej Wielebności... Początek z osłem zrobiony... Jedna rada: zabić go, póki jeszcze czas...

Ojciec Hieronim patrzył na lwa badawczo.

- Ręczę, że jutro odnajdziemy kości. Pożarł, pożarł! Nic innego! - dojadał zaciekle brat Nicefor z wierzchu ogrodzenia.

- Nie pożarłem osła, samotniku - mrucał żałośnie lew, liżąc stopy przyjaciela.

- Nie pożarłeś, bracie lwie. Rozdarła go pewno pantera. Lecz ty nie dopilnowałeś. Zaniedbałeś obowiązku - najważniejszego, bo przyjętego na się dobrowolnie...

- Aoch! aoch! - wzdychał lew.

I darmo wyglądał go przyjaciel nazajutrz z rana, wieczorem i następnych dni. Odszedł w pustynię i nie wracał więcej....

Dzień chylił się ku schyłkowi, gdy brat Placyd, który na dachu przesypywał warstwami soli wysuszoną na słońcu szarańczę, wpadł do refektarza z okrzykiem, że coś niezwykłego dzieje się na pustyni. Skoczyli wszyscy do drabin, by wyrzeć ponad palisadę. Zrazu ujrzeni tylko rudy tuman kurzu lecący z oddali. Wśród tumanu przebłyskiwały kształty pędzących wielbłądów, migały płaszcze białe i brunatne. Dokąd dążyli ci jeźdźcy? W chmurze pyłu miotali się to tu, to tam, zawracając zbitym kłębem, to pędząc znowu na oślep.

- To karawana! Wielbłądy objuczone są i powiązane! - wołał brat Paweł w zdumieniu, bo szlak karawan nie leżał w pobliżu. - Pierzchają przed czymś!

- Lwy, lwy ich gonią!...

- Lwy w biały dzień? Nie może to być!...

- Słyszałem wyraźnie ryk...

- Nie pędziłby ich lew przed sobą, jeno, dognawszy najbliższego, niechał reszty...

- Na Boga! co im się stało?! Chyba ich demon pustyni opętał!

Rozpędzony kłęb kurzawy przeleciał przed oczami patrzących i już, zdawało się, zniknął w oddaleniu, gdy naraz zawinął się w sobie, zawrócił na miejscu i gnał z powrotem niby oszalały. Teraz, jak trąba powietrzna, sadzili prosto na klasztor. Słysząc już było obłąkane z trwogi głosy i śmiertelne rżenie wyczerpanych do ostatka zwierząt.

- Schronienie trza im dać! Otwórzcie bramę!

- Ojczy Wielbny... jeśli demony złośliwe siedzą im na karku?...

- Pierzchną przed krzyżem. Otwierajcie żywo!

Wraz i pędzący na przedzie przewodnik ręką rozpaczliwie błagał o ratunek. Otwarto szeroko

bramę, w którą runęła lawina uciekających. Wierzeje zawarto szybko. Oszalałe wielbłądy stłoczyły się na dziedzińcu, sapiąc i plując ze strachu; konie przysiadły na zadach; płatami spadała z nich piana. Jedyne mały, szary, na końcu pasma wielbłądów uczepiony osioł nie okazywał żadnego wzruszenia. Wierzgał, szarpiąc sznur uprzęży i spoglądając ku opuszczonej znajomej zagródce.

Lecz w tejże chwili ludzie zawyli znów z trwogi, zaś bracia schronili się w domu z pośpiechem, bo z rykiem straszliwym wielki, ciemnogrzywy lew przesadził jednym skokiem ogrodzenie i wpadł na dziedziniec. A wpadłszy, stanął, waląc się po bokach ogonem. Płonące ślepia szukały twarzy znajomej. Już śpiesznym krokiem szedł ku niemu stary przeor.

- Nasz osioł! - krzyknął nagle z poddasza brat Placyd.

Roztropny kłapouch bowiem, nie tracąc ani chwili głowy wśród zamętu, uwolnił nareszcie łeb z uprzęży i drobnym krokiem podążył na dawne swe miejsce. Lecz w opuszczonej zagródce bracia składali drwa do kuchni, przeto, widząc mieszkanie zajęte, zaryczał urażony.

- Zejdź na dół, bracie Placydzie, uprzętnąć miejsce dla osła - rzekł ojciec Hieronim, któremu błękit oczu rozbłysnął w uśmiechu słonecznym. Objął ramionami szyję przyjaciela - samotnika, wspierając swe wyschłe ciało o jego drgającą łopatkę.

Ciemnolicy przewodnik karawany, czyli Agida, ruszył od stłoczonego w przeciwnym końcu dziedzińca kłębowiska ludzi i zwierząt, bijąc pokłony i dłonie przykładając do czoła.

- Panie! ach panie! - bełkotał, stając w oddaleniu.

- Skradliście osła, przejeżdżając tędy na Wielki Targ w dolinie Okadu? - zapytał przeor surowo.

- Tak jest, o panie! - i znów uderzył w pokłony. - Nie wiedzieliśmy, o panie, że osioł należy do potężnego władcy, któremu lwy są posłuszne... O panie, zali darujesz nam życie i polecisz swemu słudze, by raczył nas puścić spokojnie?

- Puścisz ich spokojnie, bracie - lwie? - rzekł z cicha ojciec Hieronim. Dłoń, szeleszcząca ze starości jak liść suchy, pieściła paszczę straszliwą.

- Możecie jechać - rzekł do przewodnika.

Lew ułożył się przy jego nogach, opierając głowę na przednich łapach, nie patrząc w stronę ludzi. Ale strwożone wielbłądy i konie nie chciały przejść mimo prychnając i bijąc ziemię kopytami. Musiano im pozastaniać oczy i siłą przeciągać za bramę.

Osioł w zagródce gryzł z zadowoleniem suche gałęzie palmowe, a zakonnicy schodzili ostrożnie z poddasza.

Skinąwszy im dobrotliwie głową, ojciec Hieronim odszedł wraz z samotnikiem w pustynię.

# LEGENDA SANDOMIERSKA

Przeor Sadok stanął na najwyższym szczeblu trzeszczącej drabiny i chwyciwszy rękami za kratę wciągnął się w głęboki wnęk okienny. Teraz ukląkłszy na szerokim, przeszło trzyłokciowym murze, mógł swobodnie rozejrzeć się po okolicy. Od kilku już dni wszystkie dolne okna klasztorne były zabite na głucho deskami, w oczekiwaniu napadu; jeno po czerwonym blasku padającym z górnych okien można było wnosić, że w bliskości szerzyły się pożary.

Przeor wysunął z trudnością głowę poprzez kraty i smagła jego twarz pociemniała grozą. Trzy ćwierci nieba zajmowała łuna. Trzy ćwierci nieba płonęły. Płomieniste grzywy ognia, sięgające zuchwale aż pod strop niebieski, odbijały się w Wiśle, której wody toczyły się krwawe, gorące, obce naraz i straszliwe. Stojące nad brzegiem drzewa prześwietlone były na wskroś, a czerwona obrzeż rysowała jaskrawo zarysy wieży Świętego Jakuba i domów rozrzuconych naokoło miasta. Nie była to łuna jednego, bodaj największego pożaru, lecz równoczesny odbłask tysiąca pożarów - całego kraju ginącego w męce i pożodze. Patrzącemu zdawało się, że słyszy wyraźnie huk ognia, krzyki trwogi, zgiełk i gwar nieszczęścia, nie był jednak pewien, zali jest to prawdą czy złudzeniem. Mogło być prawdą, bo pierścień ognia nie był oddalony. Płonęły już Osiek, Dzików, Rozwadów, Zaklików, ukryte w lasach Janów i Turobin, za nimi zaś płonęła cała Polska... Serce przeora spłynęło na ten widok krwią, niby woda Wisły płynącej w dole pod klasztornymi murami.

- Miserere mei... - szeptał. - Cóż ci zawinili?... Za co karzesz ten lud zbożny, pracowity, chętny? Sądziłem drzewiej, że on Ci najmilszy, a oto na stracenie jest wydany... Za cóż to, Panie? Trzysta lat jeszcze nie minęło, jak jest chrześcijańskim, a miłuje Cię, prostszy jest i czystszy niżli niejedne narody Zachodu, co od tysiąca lat i więcej Imię Twoje chwala... Znam ich, Panie, bardzo dobrze. Pracowałem tu wiele lat, a przede mną pracowali poprzednicy moi. Dzieło, które wznosiliśmy, z Ciebie było, a nie z czarta. Dzieło to Boże rodziło owoce. Uczyliśmy modlitwy i tkactwa - bojaźni Twojej i uprawy - poszanowania przykazań i chodzenia koło trzód. Budziliśmy do życia lud, który spał. W lasach nieprzeniknionych, w puszczech, borach niezdeptanych, gdzie żubr jeno a niedźwiedź rządziły, karczowaliśmy w krwawym trudzie wspólnie z tym ludem starodawne drzewa i wydzielali puszczy urodzajną ziemię. Gdzie się roześmiała do słońca urodzajna ziemia, wnet stawał kościół, a pod jego schronem chaty. Wyjęliśmy ze spracowanej ręki tego ludu niezdarną kamienną motykę, dając w zamian mocny rydel żelazny i siekierę z przedniej stali... Ciemnych, niby zwierz wśród boru, czyż nie uczyliśmy cierpliwie arcytrudnej i ważnej nauki czytania, nie dla innej przyczyny, lecz by Cię lepiej, umiejętniej chwalić mogli?... Od trzech niedziel czekam ufnie, kiedy gniewowi swemu kres raczysz położyć, pochód szatanów rozpiętanych wstrzymasz...

„Lecz kres nie nadchodzi. Snadź już nie nadejdzie. Pozwoliłeś, by zniszczyli całą Polskę wzdłuż i wszerz, by stratowali wsiane przez nas ziarno. Nic już naszego plonu nie ocali. Dziś jeszcze spalą miasto i ten klasztor i pójdą dalej po gruzach. Gdzie ich zatrzymasz? Czemuś im aż tu dojść pozwolił? Zali to, co się dzieje, nie jest końcem świata zapowiedzianym w objawieniu Jana?... Spodziewali się ludzie onego końca, na Apokalipsie i księgach Sybilli wiarę swoją opierając, w tysięcznym roku, lat temu dwieście czterdzieści i jeden. Widno mylnie obliczali, rachując wieki Sybilli po sto lat każdemu, gdy niektórzy mędrcy mówią, że ona dawała im miarę sto dwadzieścia trzy lub sto dziewiętnaście. Powiadali także, że w Rzymie pod Lateranem, zamknięty jest w lochu i przez świętego Sylwestra papieża związany Lewiatan Apokalipsy, który wyzwoli się z więzów,

skoro czas jego nadejdzie, potrząśnie światem i wypluje z paszczy setki tysięcy demonów... Otóż i w tym pomylili się mędrkowicie! Ni pod Lateranem żywie Lewiatan owy, ale w Azji. Tam kędyś, w pustkach nieznanych, krył się, by teraz wyruszyć na stracenie świata. Stamtąd nasyła kohorty szatanów. Boć szatanami, nie ludźmi, są owi straszni najeźdźcy, których żadna siła ziemską zatrzymać nie może. Ty zaś zatrzymać ich nie chcesz...

...Jam gotów, Panie! I moi będą gotowi. Nie o siebie płaczę, ale o ten kraj. Czemuś nie ulitował się nad nim? Czemuś go wydał na zagładę piekła?...

Ocknął się z długiej zadumy i ostrożnie zeszedł na dół, gdzie stali stłoczeni ojcowie i bracia zakonni. Było ich czterdziestu. Stali tam czas dłuższy, nie śmiąc przerywać rozważań przeora. Światła nie palono, lecz przez górne okna wpadał różowy blask ognia, oświetlając wnętrze. Przy tym blasku spojrzął przeor ojcowskim wzrokiem na ich wymęczone twarze i rzekł:

- Mili moi! trza nam, nie tracąc czasu, godnie się sposobić.
- Na co? - zapytał brat Dominik, młodzieniaszek o różowej i dziecinnej twarzy.
- Na kołatanie do furty niebieskiej, by nam otworzoną była...
- Jezu, Hospodynie nasz!
- Pójdźmy najpierw do kościoła, odprawić ludzi, co się tam schronili.

Wysoka nawa kościelna przepelniona była tłumem zbiegłym z całej okolicy. Niektórzy przyszli niedawno, inni siedzieli tutaj już od doby przeszło i spali teraz znużeni; niektórzy modlili się głośno. Niższe okno kościoła zabite było na głucho, lecz podobnie jak w klasztorze, światło czerwone pożaru wpadało przez górne.

Przeor Sadok wszedł za kratkę, a za nim ojciec Rafał drżącymi rękami zapalał wysokie świece. Ojcowie Sylwinus i Grzegorz uderzyli w dzwonki, przeor zaś wyjąwszy złocistą monstrancję błogosławił lud zebrany. Schował ją do tabernakulum i odwracając się do tłumu rzekł:

- Mili moi! Oddaliście się w opiekę Pana, a Pan poleca wam przez moje usta chronić się teraz w bezpieczniejsze miejsce. Bóg miłosierny, Pan nasz, was powiedzie. Ten klasztor się nie ostoi. Bóg chce, byście żyli i ratowali się. Uchodźcie tedy, nie zwlekając ani chwili. Już Zaklików i Dzików w ogniu. Na Klimontów zaś, na Słupie droga jeszcze wolna. Nie masz ani jednej łuny w tamtej stronie... Bóg nakazuje chronić życie w miarę możliwości, więc weźcie chleba, wiele zboż, i uchodźcie; w puszczy Bodzentyńskiej nawet Tatar nikogo nie znajdzie... Nie chrońcie się do lochów miejskich, bo straszno, gdy ogień wybuchnie... Lepiej w boru... Idźcie w pokoju, najmilsi... Bóg z wami...

Przeor mówił, a tłum szlochał, łamiąc ręce i zawodząc. Uchodźcie w nieznaną puszcę! Poniechać dobytku całego! Tu piekielniki, a tam zwierz srogi i zbóje!...

Wychodzili z wolna w płaczu serdecznym, nieutulonym. Gdy kościół opustoszał całkiem, przeor kazał zawrzeć mocno ciężkie, żelazne wrzeczadze u wrót.

- A myż nie wyjdziemy? - zagadnął nieśmiało brat Paweł. Był tęgi, czerstwy i nad podziw pięknie śpiewał.

- Dokąd? - zapytał przeor ze zdziwieniem.

- Chronić się... do puszczy... - wyjąkał zmieszany zakonnik.

- Insza rzecz owi ludzie, insza my - odparł zwierzchnik z pewną surowością w głosie. - Oni są jak dzieci, dzieci nasze, które ratować potrzeba. Są oni jako trzody nasze, a któryżpasterz nie zapędza trzody, kiedy są wilki w pobliżu? Nam zaś, którzy stróżami nad nimi jesteśmy, nie trza ani kryć się, ani uciekać...

I z zapalem ciągnął dalej:

- Oto dom Boży, w którym zeszyły długie lata wiernej służby naszej, dom, którego ślubowaliśmy nie opuścić. Któż w godzinę próby pierzchnie? Gotujmy się, bracia, mężnie na męczeństwo i śmierć piękną!

Szloch cichy był odpowiedzią. To młodziutki brat Dominik płakał lękliwie na myśl o męczeństwie.

Ojcowie spojrzeli na niego z niechęcią, lecz surowy zwykle przeor podszedł do płaczącego braciszka i utulił jego strwożoną głowę serdecznie.

- Synaczku mój, Bóg z tobą, nie lękaj się. Wiele ludzi życie całe trapi się i męczy, by osiągnąć to, co ty w jednej godzinie otrzymasz. Chrystusowyś wojak, a przed bitwą drzysz? Bój dla nas może być tylko chwałą i zwycięstwem! Cóż ci śmierć? Zali prędzej czy później nie umrzesz? Zaliś się nie narodził po to, aby umrzeć i chwały wiecznej dostąpić?

Długo jeszcze prawił ku podniesieniu serc braci, za czym poszli do refektarza spożyć ubogą wieczerzę, z bobu i placków jęczmiennych złożoną. Nie mieli serca do jedzenia, lecz przeor jeść im rozkazał, by ciało osłabłe nie zdradziło ducha.

Od przewozu powrócili bracia Serafin i Maciej, których posłano zobaczyć, czy miejscy nie zapomnieli porąbać i wyciągnąć na brzeg promu. Powiadali, że owszem, prom rozrąbany z wodą jest puszczone, miasto zaś puste, jakoby wymarłe. Jeno że do puszczy mało wiele ludzi uszło. Co przedniejsi mieszczanie zostali w grodzie ukryci. Powiadali, że wojska książęce przyjdą pewnu miastu w pomoc i piekielników odeprą, a wtedy - wojsko jak wojsko; ciury wnet zaczną opuszczone mieszkania rabować. Pod miastem w skale wykute znajdowały się długie, poplątane lochy. Tam się oni schronili, wejście suchym chrustem dla niepoznaki założywszy.

Przeor kiwał smutnie głową, nierad tym wieściom. On wiedział, że wojewodowie, krakowski Włodzimierz i sandomierski Pakosław, cofnęli się z rycerstwem za Chmielnik, nie kwapiąc się bronić miasta, zaś płochliwy książę Bolesław ujechał już z dworem na Węgry. Nie uratuje miasta nikt...

Odśpiewali modlitwy i legli spać w kościele, pokładając się blisko jeden drugiego. Pod

sklepieniem drżało różowe światło łuny i sen nie miał się powiek. Kunsztowny zegar na wieży, przez biskupa Gedeona z Niemiec sprowadzony, łomotał głośno wśród ciszy niby warsztat tkacki, a co godzina, zgrzytnąwszy, wydzwaniał powolne zbliżanie się przeznaczenia. Noc jednak przeszła spokojnie. Gdy słońce zeszło na niebie, przeor z braćmi odśpiewał jutrznię, po czym co rychlej z ojcem Sylwinusem wdrapali się na okienny wnęk wieży, by stamtąd wyrzeć na świat.

Łuny zgasły wobec wspaniałości słońca, ale, jak okiem zasięgnąć, ze wszystkich stron widnokręgu ścieliły się dymy. Wlokły się gęstym pierścieniem, unosiły ciężką chmurą, zaciemniały krańce nieba, z każdą chwilą stawając się bliższe. Tuż ponad ziemią drżał pasek dymu białego, przetykanego skrzącymi ogniami. Tak czasem w łanie dostalego żyta rozpleniony mak zakwitnie i przebija gorącą czerwienią poprzez biel żrałego zboża... Wał ten, mieniący się ogniem, sunął szybko naprzód; to płonęło zboże na pniu, i, gdzieś okiem wyrzał, stały w ogniu sandomierskie urodzajne łany. Ogień doszedł do wilgotnych łęgów nadbrzeżnych i przygasł. Duszący biały dym nappełnił mury. Gdy opadł, na szarym popielisku zbóż zaciemniały chmary jeźdźców. Widzieli się z dala podobni do stada szarańczy lub myszy. Z niezmierną szybkością zbliżali się ku rzece i w kilka pacierzy obaj zakonnicy mogli już rozróżnić poczwarnych jeźdźców na pochwanych koniach pędzących z dymem wskrós zwęglonych pól. Tak, to oni byli, piekielnicy, Tartari, słusznie takimi nazwani... Na spustoszenie i nieszczęście świata w bezludnych stepach azjatyckich wyrojeni. Bicz Boży... koniec wszystkiego...

Obaj ojcowie spojrzeli na rzekę, jedyny wąty ratunek. Po świętojance wody już spadły i płynęła pośród dymów obojętna i niegroźna. Nie powstrzyma ta Wiselka przeznaczenia! Nie wzniesie się nagłą przeszkodą...

Zeszli na dół, gdyż zbliżała się pora modlitwy. Gdy śpiewać kończyli, straszliwe wycie uderzyło w okna. Tatarzy przeszli przez rzekę. Nie bacząc na to, przeor włożył ornat koloru purpurowego, gdyż taki na tę niedzielę wypadał, i wyszedł z mszą świętą przed ołtarz. Potem komunikowali wszyscy, a ojciec Rafał jął odprawiać sumę. Tak zeszło południe. W okna bił żar i śwąd. Z otworu wieży ujrzeli widok straszliwy: miasto zdobyte było i w płomieniach, zaścielone gęsto trupem. Wśród płonących domów uwijali się Tatarzy, przetrząsając domy, wyciągnięte z nich przedmioty składając na jeden stos poza granicą pożaru. Mieli sine, drapieżne wargi upiorów, żółte, posępne lica zmory, a cali w kosmatej odzieży zdali się podobni straszliwym wilkołakom ze snu. Nie opodal stosu zagrabionych rzeczy stał żałośliwy tłum jeńców, związanych i pilnie strzeżonych. Przeor żegnał ich krzyżem z okna, błogosławiąc głośno, choć słyszeć tego nie mogli. Dojrzeli jednak dłoń wysuniętą przez kraty Tatarzy i wnet kilkadziesiąt strzał pierzastych syknęło zjadliwie przy oknie. Nie bacząc na to, kończył przeor błogosławić, po czym zsunął się na dół, bo już czas był na nieszpory. Śpiewali litanie, każdej chwili oczekując wrogów, ale wrogowie nie spieszyli się, chcąc wpierw zniszczyć do cna miasto. Jakoż pod wieczór nieludzkie krzyki wstrząsnęły murami. Skoczyli do okien na wieży; to Tatarzy odkryli podziemia i rozpalili u wejścia wielki ogień. W ogniu tym dusiły i piekły setki ludzi. Niektórzy, oszaleli z trwogi, przedzierali się przez płomień i z palącymi szaty wypadali na świat Boży, gdzie Tatarzy wśród chichotów przebijali ich spisami lub wpychali w płomień z powrotem.

Z podziemi dobywał się przeciągły krzyk konania, śmiertelny, mrozący krew w żyłach, po nim zaś zapadła cisza, stokroć od krzyku straszniejsza. Noc zeszła z wolna nad obrazem piekła. W

kościółce zar panował nie do wytrzymania i widno było jak w dzień. Wrzeszczeli klóćąc się o łup Tatarzy, płakały gdzieś zabrane w jasyr dzieci. Godziny sunęły z wolna, nieskończenie długie, odbierając zakonnikom odwagę i moc. Trzymali się cały dzień, sprężeni wolą przeora w jedną wolę niezłomną i wiarę, lecz wysiłek był zbyt długi i sił im już nie stawało. Więc jedni z cicha płakali, a drudzy głośno mówili, że lepiej by było samemu sobie śmierć zadać, niżli potem w płomieniu lub wymyślnych mękach ginąć. Sadok klęczał na stopniach ołtarza, pełen śmiertelnego żalu. Zali nie utrzyma do końca tej garstki? Nie o sobie myślał, ale o nich. Chciał pospołu z nimi wejść do dziedzictwa wiekiściego. Pragnął dla tych wojów swoich chwały i zwycięstwa, a oto, zamiast mocy, widział w nich rozterkę i nikczemną ludzką słabość. Przeliczył oczyma otaczające go głowy i ujrzał z bólem, że połowa zaledwie została. Gdzież reszta? Skryli się za konfesjonałami, w zakątkach i w lochach klasztornych. Wyszukiwał ich, pełen wstydu, strofując odnalezionych łagodnymi słowy.

- Także to przyjmować będziecie wrogów Chrystusa? - mówił. - Takimiż to bojownikami jesteście? Zali Tatarzyn nie odnajdzie was, choćby pod ziemią, jak odnalazł tamtych nieszczęsnych pod grodem? O, jakże piękna i pełna sławy jest śmierć dla chwały Bożej mężnie poniesiona - a jak haniebna i licha śmierć tchórze wyciągniętego z ukrycia!

Zgromadził ich wszystkich przy sobie, że zaś już świtało, wyszedł przed ołtarz ze mszą świętą. Lecz poza sobą czuł blady lęk braci, mocniejszy niż jego słowa, i nieugięte serce zaskomlało z bólu. Nie da rady, nie utrzyma: nie był już zdolen zagrzać ich i podnieść. On, przeor, zda z tego sprawę Chrystusowi...

Odwrócił się od ołtarza, przenikając bystrym wzrokiem klęczących wokoło. Dygotali jawnie, z oczami utkwionymi we drzwi, gdyż właśnie krzyki tatarskie otoczyły klasztor i ciężkie wrota zajęczały pod uderzeniami. Blade twarze zakonników okrył gęsty pot a usta drżały bezradnie. Z niewymowną rozpaczą i bólem przeor odprawiał mszę dalej. Odpowiadali mu bezmyślnie, całą duszą podani ku wejściu, gdzie drżały, huczac, potężne odźwierza, ogarnięci jedną myślą: siła czasu drzwi strzymają?

Przeor przewracał karty mszału, szukając lekcji na dzień wypadającej. A mszał był stary i piękny, z Francji przywieziony, na cienkim pergaminie spisany. Całe życie strawił nad nim cierpliwy mnich, co miniaturami karty pięknie ozdobił. Znalazł przeor kartę poszukiwaną i chciał czytać, lecz głos urwał mu się przy pierwszych wyrazach. Od wściekłych razów leciał tynk ze ściany, on zaś przecierał oczy niby we śnie, nie wiedząc, gdzie jest i co się z nim dzieje. Zdało mu się nagle, że jest kędyś w innym świecie, o wieki całe odległy, i czyta o niejakiem Sadoku, od pogan zamordowanym...

- Ojciec Rafale - rzekł cichym, strwożonym głosem - przeczytaj lekcję, gdyż mgła przesłania mi oczy.

Ojciec Rafał przemógł lęk, z którym nasłuchiwał rąbania wrzeciędzów, i pochylił się nad mszałem...

- Na dzień... - zaczął i urwał spoglądając na przeora ze zdumieniem, po czym upadł na kolana i w głos się rozplakał.

Drzwi jęczały, puściła już jedna zawiasa.



Lecz przeor, widząc, że zjawa nie była złudą ani snem, chwycił mszał oburącz i grzmiącym głosem tak czytał:

- „Na dzień błogosławionych Przeora Sadoka i Czterdziestu Braci Zakonnych, umęczonych w Sandomierzu, czyta nam Kościół Święty lekcję zapisaną u świętego Pawła”.

Porwali się z kolan osłupieni zakonnicy, nie rozumiejąc, otoczyli kręgiem ołtarz, a Sadok z twarzą radosną ukazał im kartę mszału, nad którą Bóg cud uczynił. Na cienkim pergaminie purpurą i złotem mieniły się słowa one, pełne chwały.

Przeto na widok zaszczytu i łaski, jakie im Bóg chciał uczynić, wezbrały w nich serca wstydem i dumą zarazem, radością i uniesieniem. Stłoczyli się, oglądając zapowiedź przyszłej swej chwały, a żalując, że jeno jedno życie każdy z nich ma do oddania w zamian za taką nagrodę, której nie czuli się godni. Rozdrgały w nich dusze miłością Bożą o nic nie dbającą, spłonęły męstwem walecznym, radosnym, a przeor, szlochając głośno z uniesienia, skończył Ewangelię i, przechodząc na środek ołtarza, zakrzyknął zwycięsko:

- Credo in unum Deum!

W tejże chwili Tatarzy wpadli do kościoła.

Od dnia owego minęło więcej niż 280 lat. Trawą porosły groby męczenników, a w potężnej, moźnej Rzeczypospolitej matki straszyły dzieci wieścią o Tatarach niby bajką, co jeno hen, kędyś na kresach może być jeszcze żywą i krwawiącą zmorą. I zdarzyło się raz, że przesławnej pamięci król Zygmunt Pierwszy, z rodu Jagiellonów, wznosił na chwałę Bożą nowy kościół, a nie mając dla niego relikwii, tak pisał do Ojca Świętego, Klemensa VII:

„...Chwałę Boga Najwyższego i splendor świętej wiary katolickiej mając zawsze na uwadze, zapragnęliśmy pomnożyć ilość kościołów w ziemi naszej, jako że każdy kościół jest źródłem nowych łask Bożych i twierdzą, serca ludzkie od szatana broniącą. Wnosimy zatem świątynię, ozdobną w miarę wszystkiej możliwości naszej. Pod jesień będzie gotowa. Wzniesione już są mury z dobrej cegły i zwiezionych dwadzieścia filarów z przedniego marmuru. Dach kryty będzie miedzią połączoną. Zwracamy się do Waszej Świątobliwości z najpokorniejszą supliką o udzielnie temuż kościołowi, z niewyczerpanego skarbcza rzymskich świętości, dostojnych szczątków Męczenników, Świętych Pańskich, Orędowników niebieskich.

Waszej Świątobliwości wierny syn, sługa, Zygmunt, z Bożej łaski Król polski, Wielki Książę litewski, ruski, pruski, mazowiecki itd., itd. pan i dziedzic.”

Papież Klemens VII wiekowy był i leżał złożony niemocą. Kardynał sekretarz Antonio del Monte odczytywał głośno Ojcu Świętemu Zygmuntowy list.

- Król polski chrześcijańskim jest i wspaniałym monarchą - zauważył. - Sądzę, Wasza Świątobliwość, że prześlemy mu co najcenniejsze relikwie.

- Tak jest, mój synu. Prześlemy mu świętości, mogące ściągnąć niewyczerpane źródła łaski

Bożej na ten chrześcijański kraj. Obmyślę to, a jutro damy odpowiedź poselstwu.

Gdy kardynał wyszedł, a Ojciec Święty pozostał sam, spadło nań zachwycenie, niby sen przedziwny. Ocknąwszy się z niego, ujrzał, że już dzień, i posłał służbę co żywo po kardynała del Monte.

- Gdzie są posłowie z Sarmacji? - zapytał wchodzącego.

- Czekają w krużganku na posłuchanie u Waszej Świątobliwości.

- Idź do nich co rychlej i spytaj, czy jest w ich kraju miasto, co zwie się Sandomierz?

A gdy kardynał wychodził zdziwiony, papież dorzucił:

- Jeno nie pomył, mój synu, tej dziwnej nazwy: Sandomierz.

Nie minęły dwa pacierze, gdy kardynał wracał.

- Wasza Świątobliwość, jest gród taki w Polsce.

- Czy nic o nim nie mówili?

- Owszem, Wasza Świątobliwość. Gród to warowny, nad Wisłą, mówili, srogimi bojami pamiętny.

- Tedy wróc do nich i rzeknij im odpowiedź moją: Miłemu synowi naszemu, Zygmuntovi królowi, pozdrowienie nasze i apostolskie błogosławieństwo. Z ojcowskim sentymentem i czułością udzielimy żądanych relikwii, wszelako nie wcześniej, aż posłowie wrócą do swojego kraju i przywiozą nam stamtąd w mieszkum skórzanyum miarękę ziemi z grodu zwanego Sandomierz.

Zdumiał się niepomału kardynał del Monte.

- Wasza Świątobliwość - szepnął - zali to istotna i całkowita odpowiedź?

- Całkowita i istotna. Idź, powtórz ją posłom. Za sześć miesięcy winni być z powrotem, a otrzymają relikwie.

Niemale było zdumienie w Krakowie, kiedy wróciło poselstwo. Dziwił się i troskał król Zygmunt, dziwili się senatorowie, a piękna królowa Bona zauważyła zgryźliwie, że w rodzie Medyceuszów umysły słabną na starość. Nikt jednak nie podniósł niestosownego żartu, a król po namyśle tak rzekł do sędziwego kasztelana krakowskiego, Krzysztofa Szydłowieckiego:

- Dziwne to są rzeczy i niezrozumiałe, wszakże głęboka racja może być w nich utajona. Pewnikiem nie dopuściłby się Ojciec Święty swawolnego żartu. I skądże znał nazwę Sandomierza? Mizernyż to gród! Baczmy, waszmościowie, aby niewczesnym szyderstwem woli Bożej nie wypaczyć.

- Zda mi się przystojnym wolę Ojca Świętego wypełnić najściślej - odpowiedział pan Szydłowiecki, gdy królowa roześmiała się złośliwie.

- I mnie się tak zda - przytaknął król, nie zwracając na to uwagi. - Pisz waść niemieszkając do wojewody sandomierskiego, by w jego obecności zagarnięto w nowy, tęgi mieszek ziemi, koniecznie w obwodzie grodu. Niech sam położy na mieszku pieczęcie i co rychlej dostawi go nam gońcami rozstawionymi... A któż pojedzie z poselstwem?

- Waszmościowie Górka i Jarandz z Brudzewa proszą Waszą Królewską Mość, by im pozwolono jechać po raz wtóry, gdyż są nad miarę ciekawi, co będzie z tą ziemią. Przy tym nijako im jest, że, bywszy w Rzymie, papieża nie oglądali.

- Niechże jadą - uśmiechnął się dobrotliwie król - jeno konie i wozy trza im nowe dać. Nie dziwno mi, że ciekawi, ile że podobny casus jeszcze się nigdy w kraju nie wydarzył...

Nie minęło sześć miesięcy, gdy poselstwo polskie wjeżdżało z powrotem do Rzymu. Ojciec Święty nazaczył uroczyste posłuchanie. Wielka bazylika świętego Piotra pełna była ludzi, gdyż wieść o dziwnym żądaniu papieża rozeszła się już szeroko. Niepohamowana ciekawość rozpierała gadatliwy lud włoski. Jeden drugiemu opowiadał nieustannie, iż posłowie przywieźli ziemię, zwykłą, prostą ziemię, ze swego dalekiego północnego kraju. Na co ta ziemia? Co z nią zrobi papież?

Rozstąpił się tłum przed barwnym polskim orszakiem, co szedł z powagą, dostojnie a strojnie. Dzwoniły szable o marmur, lśniły bogate zapięcia. W pośrodku orszaku panowie Górka i Jarandz z Brudzewa nieśli między sobą mieszek skórzany z pieczęcią.

Podeszli do Ojca Świętego, który, w biel odziany, siedział na wysokim pozłocistym tronie, i ucałowali, przyklękawszy, jego stopy. On zaś pobłogosławił ich i zapytał zaraz:

- Gdzie ziemia?

Oderwali pieczęć z worka i rozsypali wiązania. Za czym wytrząsnęli worek przed stopy Ojca Świętego. Posypała się ziemia sandomierska, czarna, pszeniczna, urodzajna. Za plecami posłów cisnęły się tłumy ciekawych, wspinających się aż na filary, by lepiej widzieć, co będzie. A papież pochylił się nisko i białą, drżącą dłonią, co wyschła ze starości i szeleściła jak pergamin, jął przegarniać leżący przed nim kopczyk ziemi.

- Ona to... - szepnął w zadumie. Wyciągnął ręce, modlił się i błogosławił krainie, z której została przywieziona ziemia.

Po czym nachylił się znowu, ujął garść ziemi i, podniósłszy w górę, zacisnął mocno szeleszczące jak pergamin palce.

Kardynałowie, posłowie i ciekawy tłum patrzyli z oddechem zapartym i oto ujrzeli, jak z ziemi ściśniętej powoli zaczęła kapać żywa krew...

Kropla po kropli, rubinowe, wielkie, spływały po białych palcach, zbiegały u dołu, wisiały drżące przez chwilę, grając purpurą w promieniu słonecznym, i ciężko padały na stopnie papieskiego

tronu. Wśród ciszy, która zaległa wielką bazylikę, słychać było jeno kołatanie serc strwożonych i ciężkie powolne kapanie.

Plam na stopniach przybywało...

Papież zaś rzekł:

- Krew, którą widzicie, to krew Męczenników świętych. Zaprawdę nie potrzebuje posyłać daleko po relikwie polski król. Powiedzcie panu swojemu, że cenniejszej relikwii nad tą nie masz w Rzymie. Niechaj umieści tę ziemię w ołtarzu, a kościołowi da miano świętych Męczenników.

# KRZYŻ ŚW. FRANCISZKA KSAWEREGO

Don Faustus Rodriguez, bogaty armator czterech karaweli, trudniący się też zyskownym handlem niewolników, stał na pokładzie galery przezacnego Miguela Fereiro z miną w najwyższym stopniu niezadowoloną. Zdecydował się wsiąść na statek dlatego jedynie, że miał nim jakoby jechać legat pełnomocny od Stolicy Apostolskiej, Jego Wysokość don Francesco Azpilcueta, Dom Jasse di Xaverio, którego dusznie poznać pragnął. A teraz, widząc, że został wprowadzony w błąd, z coraz większą niechęcią spoglądał dokoła siebie.

Galera była staroświecka, niegdyś wojenna; potem, kiedy potężne wypukłobokie żaglowce, zwieńczone trójcą masztów, zawiłym splotem lin, żagli i rei, zastąpiły dawne statki, pchane wyteżoną pracą ramion ludzkich - sprzedana jako prywatny statek przewozowy. Na pokładzie, w miejscu bliźniaczych armatek plujących spiętymi kulami, leżały worki z ryżem i beczułki z olejem kokosowym. Widziany z brzegu, statek przedstawiał się jeszcze niezgorzej; na spłowiałych bokach, spod zalepy wapna, przebijała poprzednia wyniosła nazwa: „Braganza”. Przód galery, kształt hełmu mający, wznosił się ponad wodą wysoko, zakończony głową meduzy, w drzewie wyrzeźbioną. Woda słona i słońce palące spłukały z niej dawno cynober, którego ślady pozostały jeno w splotach węzowych włosów, zagłębieniach twarzy, nadając Meduzie wyraz pociesznie stroskany. Pięćdziesiąt długich, czarnych wiosel spływało lekko z każdego boku galery, migocąc w przezroczystej wodzie. Drobne fale załamywały się na nich, że - nieruchome - widziały się trwające w ustawicznym ruchu, niby drgające łapki olbrzymiego stunogiego owada. Niewątpliwie, patrzącemu z oddali statek ten mógł się jeszcze wydawać okazałym - lecz z bliska!

Faustus Rodriguez, bogaty armator, spoglądał ze wstrętem na pokład pokryty zaschlą skorupą oleju i na niedbale połatanie burty, z żalem stwierdzając, że cofnąć się było za późno. Inne statki już odeszły - zbliżała się pora monsunów, niebezpiecznych dla żeglugi... Wyteżał wzrok ku miastu, w nadziei, że ukaże się może jeszcze bogaty orszak legata. Lecz port zalegała senna cisza. Dżonki krajowców chwiały się na wodzie leniwie niby małe czarne kaczkki: „Il Reale”, wspaniały żaglowiec gubernatora stał na uboczu, obnażony z żagli, uszkodzonym silnie będąc czasu ostatniej wichury. Miasto, wzniesione na niskim, niezdrowym brzegu Dekanu, spało zmorzone upałem. Wielki Albuquerque, zdobywca, założyciel Goy, wybudować je rozkazał ojczyzną modłą, wznosząc domy ciasne, kamienne, wysokie, o zawile splecionych krużgankach, przy krętych uliczkach. W domach tych, gdy kamień rozpałiło słońce, żar wypijał krew, brak powietrza dusił. Rozłożone wieńcem wokoło właściwego miasta stały chaty krajowców, niskie, wapnem grubo obielone, o gęstej, czubatej strzesze. Palmy rozkładały nad nimi listowie. Z cienia ich nie wynurzał się żaden orszak.

Przepadło!... Faustus Rodriguez wytwornie zniechęconym gestem strzepnął koronki u szyi, poprawił wielkie szamerowane wyłogi rękawów i ziewnął rozglądając się po pokładzie z pogardą. Wszystko już gotowe było do odjazdu. Czekano tylko, by minął najcięższy żar południowy. W cieniu długiej budy, rodzaju szopy przykrytej liśćmi palmowymi, leżeli na pokładzie wioślarze. Składali się z włóczęgów i łotrzyków przeróżnej narodowości lub skazańców, którzy już odsłużyli swoją karę. Ci ostatni dla zręczności w zażywaniu wiosel osobliwie byli cenieni. Wszyscy byli wpólnadzy, spaleni na brąz, na muskularnych barkach obnoszący twarze drapieżne, srogie, bezwstydnę, sinym tatuowaniem upstrzone, pod wiechą włosów nastroszonych kryjące nierzadko piętno haniebne: G. A. L. Rozciągnięci leniwo, słuchali uważnie siedzącego pośród nich niewielkiego, szczupłego

człowieczka w czarnej wytartej sukni. Nogi miał bose, spękane od dalekich dróg, twarz dzieciennie pogodną, a opowiadał coś z zapalem, uśmiechając się do słuchaczy serdecznie. W drugim końcu litościwego cienia szopy kilku braminów, przejeżdżających na sąsiednie wyspy, drzemało usiadłszy w kucki. Z nieba leciał żywy żar, roztopiając ołowiane spoidła luki pokładowej.

Kapitan Miguel Fereiro podszedł do dostojnego gościa, zapytując z szacunkiem, czemu nie raczy zejść do cienistej i wygodnej kahity, czyli komory pod górnym pokładem?

- Czy legat już nie nadejdzie? - spytał porywczo don Faustus.

- Legat? - zdziwił się kapitan.

- Siadłem na waści galereę - ciągnął don Faustus, z urazą spoglądając na przezacnego Miguela Fereiro - gdyż powiedziano mi w mieście, że odpływa nią Jego Wysokość Legat od Stolicy Apostolskiej, Don Francesco Azpilcueta, Dom Jasse di Xaverio...

- Ktoś zażartował z Waszej Dostojności! Nigdy o tym nie słyszałem. Gdzieżby takowa persona mizerny nasz statek sobie obierała! Jego Wysokość Legat siadł niewątpliwie na „Salwatora” lub „Jana Trzeciego”, które onegdaj odeszły.

- Nigdy bym nie siadł na tę niechlujną skorupę, gdyby nie chęć podróżowania z Jego Wysokością Legatem - powtórzył gniewnie don Faustus.

- Rozumiem, Wasza Dostojność. Jednakże pozwolę sobie powiedzieć, że choć brak tutaj należnych Waszej Dostojności wygod, galiota moja daje za to rękojmię bezpiecznego dojechania, co w tej kwadrze głupstwem nie jest...

- Ejże? - mruknął szyderczo armator. - Statek waści nie widzi mi się z najnowszych...

- Wielki Ojciec jedzie z nami - szepnęła kapitan znacząco.

- Cóż znów? Czarodziej pogański?

- Uchowaj Boże! Zakonnik, misjonarz, człek Boży, Wasza Dostojność. Wielkim Ojcem zowią go na wszystkich wyspach i lądzie... Cuda czyni... Szczęście przynosi okrętom; wiadomo, że przy nim włos z głowy nikomu nie spadnie. Wioślarze całkiem inaczej pracują.. Nie znajdziesz, Wasza Dostojność, kapitana, co by od niego za przejazd bodaj obola zażądał; błogosławieństwo Boże idzie z tym człowiekiem...

- Gdzie on? - zapytał don Faustus ciekawie.

Miguel Fereiro ruchem głowy wskazał czarno odzianego, bosego człowieka. Wioślarze, nieczuli na upał, grali w kości; przyglądali się temu z uwagą, żywo rozmawiając.

- Ten?! - wykrzyknął drwiąco armator.

Zeszedł do komory pod pokładem, gdzie, dostatecznie zniechęcony leżał bez ruchu w gorącym,

dusznym powietrzu.

Zły był na siebie i na cały świat. Nie przez samą próżność pragnął poznać papieskiego legata. Na dworze Jana III słyszał tyle o ojcu Franciszku Azpilcueta, świętobliwym uczonym, doktorze wielu nauk, że zapragnął poddać jego zdaniu niektóre zawile konflikty sumienia, jakim cnotliwy handlarz niewolników od pewnego czasu podpadał. Niestety, nie ma legata!

- Jest za to ten obdartus - roześmiał się szyderczo - jak go zowią?... Wielki Ojciec!...

Ojciec Franciszek Ksawery, siedząc na pokładzie wsparty plecami o burłę, zamyślił się i zapatrzył. Pokład zalewała cisza, drgająca w świetle księżyca, świetle nasyconym, stężalym, lejącym sięomal przez palce. W ciętej wyrazistości blasku zarysy rzeczy nabierały oblicza innego, jak gdyby teraz dopiero odnajdując swój wyraz i kształt właściwy. Trzy czwarte wioślarzy spało na pokładzie. Nieruchome wiosła ich wysuwały się z boków statku, wąskimi strużkami wsiąkając w aksamitną czarność równie nieruchomej wody. Dwanaście tylko wiosel z każdej strony drgało sennie, unosząc i zagarniając nieprzenikloną czarność głębiny. Lekkie pióra, srebrzyste od blasku miesiąca, przesuwały się bezszelestnie nad otchłanią, nurkowały, przegarniając ją ostrożnie, i z dźwięcznym pluskiem wynurzały się znowu. W rytmie ich dawała się wyczuć senność ogarniająca wioślarzy. Za kanciastym kształtem rudla drżała koronka piany, kapryśna a cudna. Górą miliony gwiazd patrzyły w uszpioną galerę. Czuwający bosy człowiek ocknął się nagle z zamyśleń i odwrócił głowę: wysoki, do białego widma podobny, stary bramin podchodził cichym krokiem. Przyłożył ręce do czoła.

- Cześć i pozdrowienie wielkiemu mądrością i umysłem ojcu białych - rzekł ściszym szeptem.

- Cześć i pozdrowienie nierównie mędrszemu i uczonemu wielkiemu Rawi Purama Kolambi Kolabono z Chri Ragam - odpowiedział uprzejmie zakonnik.

Odsunął się nieco, by zrobić miejsce koło siebie, lecz bramin potrząsnął głową, siadając na skrzyżowanych nogach naprzeciwko niego. Światło zalewało rozumną, spokojną jego twarz, drżąc w fałdach białego muślinu. Karminem i bielą naznaczony zębaty znak boga Wisznu różowiał na brązowym czole. Milczeli obaj, patrząc na siebie w skupieniu.

- W takie noce - rzekł Rawi Purama - na świętej górze Keilas zbierają się uczniowie, by z ust mistrza usłyszeć tajemnice prawdy...

- Zaiste, w taką noc nie ima się sen człowieka - przytwierdził ojciec Franciszek.

- Nie ima się mędrca - poprawił poważnie bramin Rawi Purama. - Tłum ciemny śpi snem bydlęcym, jako ci wioślarze, obojętny, nieciekawy tajemnic nocy, światów nieznanymi i bogów... Tłum, z którym (ku podziwieniu memu) rad, Wielki Ojciec, przestajesz...

- Tłum ten jest ciemny, istotnie. Trza, by takim przestał być. Budzę w nim duszę pouczając o prawdach wiekuistych wiary...

- Szydzisz, Wielki Ojciec! Prawd wiary nie udziela się włóczęgom bezbożnym, bydlętom i

zbójcom. Istotę prawdy osiąga mędrzec w tajemnym skupieniu sam z sobą. Stanowi ona jego zdobycz niepodzielną, którą chronić będzie niby wonność bezcenną w amforze i nie ukaże jej treści, chyba przed takim, co skarb podobny już posiadał. Natenczas ich mowa pełna będzie mądrości przedziwnej... Co tłumowi po niej? Tłum prawdy nie potrzebuje. Wystarczą mu bajki dziecinne.

- Mylisz się, wielki, mądry Rawi Puramo. Każdy jednak pić pragnie. Każdy napić się ma ze źródła wody Żywota.

- Pragnący winien być napojony, owszem. Lecz kto jest pragnący? Mędrzec...

- Mędrzec prawy pożąda świadomie, prostaczek zaś nieświadomie. Czcigodny kapłanie Sziwy, Rawi Puramo! Noc i samotność pobudzają do szczerości; czy zechcesz odpowiedzieć nieuczonemu twemu słuchaczowi? Byłem przed laty w świątyni Awikagam, w której drogocenne pilastry okryte są do wysokości ramion gnojem krowim, a pod arkadami cuch panuje niby w chlewie. Brudne bawolice leżą przed ołtarzem, odbierając cześć przynależną bóstwu... Widziałem w wiosce górskiej człowieka, któremu sąsiad przez złość rzucił garść ryżu na strzechę. Wnet małpy leśne poszukując ryżu rozniosły dach biedakowi, on zaś nie śmiał ich spędzić... święte są pono... Czcigodny i mądry kapłanie Sziwy! Ze słów przed chwilą wyrzeczonych wnoszę, iż niemożliwym, byś wierzył również w świętość krów lub małp, czcił bożka Hanumana i boginię Kali?

- Odpowiem ci Wielki Ojcie: Nikt z uczniów błogosławionego Mistrza ze świętej góry Keilas nie wierzy w baśnie podobne, wystarczające dla ludu.

- W cóż wierzysz zatem, czcigodny Rawi Puramo?

Stary bramin obejrzał się w przeciwną stronę, gdzie siedząc w kucki, z głowami pochylonymi na piersi spali jego towarzysze - po czym odsunął z czoła białe fałdy muślinu i patrząc w niebo jął mówić uroczystym głosem:

- Co się przez oko widzieć nie da, lecz przez co samo oko widzi - wierzę, że to jest właśnie Brahma, a nie to, co tu wszyscy czczą... Co się przez ucho słyszeć nie da, lecz przez co samo ucho słyszy - wierzę, że to jest Brahma, a nie to, co tu wszyscy czczą... Co się przez myśl pomyśleć nie da, lecz przez co sama myśl pomyślana jest - wierzę, że to jest właśnie Brahma, a nie to, co tu wszyscy czczą...

- Amen - rzekł ojciec Franciszek. - Mówiłeś o Bogu, Stwórcy wszechistnienia, który nie jest Bogiem twoim lub moim, lecz Bogiem Jedynym, Wszechwiedzącym i Wszechmocnym.

- Tak - przyznał bramin. - Na każdym krańcu globu, wszędzie gdzie człowiek świadomy, istota rozumna, Boga chwali i miłuje - tego samego Jedyne Boga miłuje. Nie może Mu nadać innych atrybucji jak te, które Jego są... Oto zdradziłem przed tobą, Wielki Ojcie tajemnice wiary mojej istotnej, dalekiej od złoconych lub zwierzęcych bałwanków. Proszę w zamian, byś mi opowiedział swoje; nie usłszy ich ode mnie nikt.

- Opowiem ci je, ale pod warunkiem, że, przeciwnie, powtórzysz je każdemu, co by o nich wiedzieć pragnął.



- Po cóż odkrywać tajemnice serca współwzrostu na poniewierkę?

- Gdyż Bóg chce, by wszyscy ludzie stali się dość mądrymi i czystymi, by poznać go i umiłować w tej właśnie postaci, o której słusznie mówisz, iż od krańca ziemi do krańca inną być nie może.

- Czyż doprawdy, Wielki Ojciec, nie ma w tej wierze niczego, czym byś się nierad dzielić z takimi jak ci?... - ruchem wzgardliwym głowy wskazał uspiomych wiosłarzy.

- Niczego, mądry Rawi Puramo. Wiara moja jest prawdziwa i Bogu najbliższa, a przeto nie ma w niej nic, czego bym nie powiedział dziecku.

- Gwiazdy błędą i świt blisko - rzekł bramin z niechęcią. Przyłożył dłonie do czoła i odszedł ku towarzyszom bezszelestnym krokiem.

Franciszek Ksawery został sam, zamyślony jak poprzednio. Świt zbliżał się rzeczywiście. Nagle, niby uniesiona rzutem, złocista kula wytrysła nad granatowy ocean, zalewając oczy blaskiem. Zakonnik ukląkł, by zmówić pacierze. Wiosłarze, klęcząc i zataczając się od snu, schodzili w czeluść okrętu, ku wiosłom. Z kapitańskiego podwyższenia przezacny Miguel Fereiro badał uważnym wzrokiem widnokrąg. Z tyłu statku bramini sprawujący ablucję gięli się i prostowali obrzędowym ruchem, twarzą i dłońmi zwrócenie w stronę, kędy płynie święty Ganges. Czerpana wiadrem uczepionym na sznurze woda pluskała wokół nich. Don Faustus Rodriguez wyszedł spod pokładu, ziewając, i stanął przy kapitanie. Oblicze jego i strojna odzież równie były zmięte, a niezadowolenie doszło do zenitu.

- Wiosła! - wrzasnął Fereiro w drewnianą tubę umieszczoną obok niego. - Ruszać!

Równocześnie z zadziwiającą sprawnością wszystkie wiosła, drzemające dotychczas w wodzie lub drgające leniwo - uniosły się, zeszywniały i naraz gwałtownym ruchem wciąły się w wodę, odwaliły skibę szmaragdową, rozbiły ją na palący się tysiącem iskier pył, śmignęły nawrotem przez powietrze, muskając wodę na kształt skrzydła mewy, zapadły się znowu - by w nieustannym trudzie trwać wśród dziennego żaru do wieczora. Za każdą nową skibą wielka galera unosiła dziób wysoki, kształt hełmu mający, sadząc jak koń przez rozsunięte zagony. Woda pluskała wzdłuż boków, bębniąc w pudło statku niezliczonymi palcami. Za rudlem szumił tęgi warkocz piany przewalający się z boku na bok za każdym ruchem starego Borzo, sternika.

- Słońce jakieś mętne - zauważył don Faustus.

- Tak jest, Dostojny Panie. Niebo poszarzało, zaś na południu ukazują się już chmury... Złapiemy obcierkę monsunu jak nic...

Coraz lepiej - pomyślał z goryczą don Faustus. - Spotkać monsun, a choćby tylko jego obcierkę, na takiej skorupie! Ależ prawda! mamy pono na pokładzie Wielkiego Ojca, mającego nas chronić od burzy...

Postanowił go poszukać, aby się pośmiać z wesołka. Zakonnik ukończył już był pacierze i w tej

właśnie chwili wychodził spod pokładu, niosąc koszyk pełen odpadków kuchennych. Stał przy burcie i począł je rzucać płynącym za okrętem rybom. Don Faustus podszedł ku niemu.

- Jak cię wołają, ojczaszku? - zapytał klepiąc go po ramieniu poufale.
- Ojciec Franciszek Ksawery, Societatis Jesu - odparł uprzejmie zakonnik.

Don Faustus cofnął się o krok.

- Jezus Maria! Może Ojciec Franciszek Azpilcueta Dom Jasse?
- Tak się nazywali moi rodzice... Chwytaj, maleńka, a żywo, bo ci znów inne zabiorą!

Wychylił się, śmiejąc, za burtę i z zajęciem spoglądał na ryby, których niezwykła obfitość cisnęła się dokoła statku. W zieleni wody ciemniały prężne, wijące się grzbiety, patrzyły uparcie bezrzęse, nieruchome oczy. Chwilami nagłym rzutem błyskał płaski bok lub głębiej przewinał się strach wzbudzający cień morskiego drapieznika. Ojciec Franciszek uśmiechał się ku tej milczącej gromadzie. Naraz obrócił się i spojrzał na don Rodrigueza stojącego bezradnie, z opuszczonymi rękami i wyrazem przygnębionego zawodu na twarzy.

- Co Waszej Dostojności jest? - zapytał troskliwie.
- Ojciec Franciszek Azpilcueta Dom Jasse di Xaverio, Legat pełnomocny Wschodu od Stolicy Apostolskiej? - wyjąkał don Faustus omal z przerażeniem.
- Ojciec Święty w niepojętej swej dobroci dał mi rzeczywiście ten tytuł, którego jednak nie używam, jako zbyt nielicującego z moją mizerną osobą...

Wytrząsnął resztę odpadków z koszyka.

- Wasza Wysokość... Legat pełnomocny... - powtarzał don Faustus zmieszany.
- Nazywajcie mnie, Panie, ojcem, jak poprzednio: ojciec Franciszek Ksawery...
- Ja od miesiąca Waszej Wysokości szukam! - wybuchnął nagle Rodriguez. - Ja dlatego tylko na ten stary gruchot siadłem! Jeno nie spodziewałem się... w takiej postaci... - dokończył z żalem głębokim.
- Czego życzyliście sobie ode mnie, Dostojny Panie?
- Czego?

Don Faustus zamilkł. Czuł się oszukany. Innego człowieka szukał niżli ten, który stał przed nim. Powierzyć mu swoje troski? Stracił do tego ochotę, w gorzkim poczuciu zawodu. Sprawa była dość zawiła: Zeszłego roku córka don Faustusa, piękna Annunziata, oddała potajemnie serce bez porównania niżej od niej rodem i fortuną stojącemu Raymondowi Payra. Zatrwożony ojciec, chcąc ratować dziecko, postarał się, by młodzieńca cichaczem sprzątnięto. Niestety! - piękna Annunziata,

źle rozumiejąc troskliwość rodzica, rzuciła się w fale Tagu. Aczkolwiek cnotliwy armator wierzył mocno w słuszność swojego postępku, niepokój nawiedzał go nocami. Wspomnienie córki spędzało sen z powiek. Spodziewał się, że mądry i świętobliwy a szlachetnie urodzony legat potrafi roztrząsnąć umiejętną dłońią tak delikatny stan sumienia i usprawiedliwić go przed sobą samym. Wszak działał w najlepszej chęci! Nie jego winą było niepomyślne zakończenie...

Milczał i milczeć postanowił. Czuł niejasno, że działające w nim motywy (tak wszakże proste!) nie znalazłyby oddźwięku w duszy bosego człowieka, przemawiającego z równą tkliwością do ryb niemych lub do zbójów.

- Dokąd się udaje Wasza Wysokość? - zagadnął wymijając odpowiedź na tamto pytanie.

- Do mnie mówicie, Dostojny Panie? Nie przywykłem do tytułów równie męczących, jak niezasłużonych. Jestem ojcem Franciszkiem, nic więcej. Płynę do Maoryki, która piękną wyspą i zaludnioną jest, a nic dotychczas o prawdziwym Bogu nie wiedzącą...

- Na świętego Filemona! Słyszałem o Maoryce! Kanibale tam pono z najdzikszych, szatany szpetne, nikogo obcego u siebie nie żywiące... Noga chrześcijańska jeszcze na tej wyspie nie powstała!

- Dzikusy to rzeczywiście podobno i kanibale. Tym bardziej trza ich odmienić...

- Ojczy świętobliwy! toćże to proste szaleństwo! Nie godzi się cennego żywota na kres niechybny bezpożytecznie wystawiać! Wasza Wysokość, legatem będąc, ważniejsze ma misje przed sobą!...

Ojciec Franciszek zamyślił się patrząc przed siebie, nim odparł:

- Mylicie się, Panie, sądząc, iż na tej wyspie noga białych nie powstała. Byli tam nasi, owszem, przed kilkoma laty. Obeszli wyspę dokoła. Nie znalazłszy na niej nic godnego uwagi, uciekli przed kanibalami. Niewątpliwie, gdyby znaleźli na niej piasek złoty, bogate lasy lub inny towar popłatny, wróciliby nieulękle raz drugi i trzeci, wiodąc w ślad za sobą innych, i panowaliby nad wyspą. Czyliż więc miłosierdzie tchórzliwsze ma być niż chciwość? Mną zresztą też chciwość kieruje. Łowcam zachłanny, nigdy nie syty dusz, dotychczas jakoby nie żyjących - roztwierających się dopiero niby kwiaty ku Bogu i Prawdzie. Ciemne, ubogie duszeta, rozwijające się w świetle wiary przedziwnie. Mam ich wiele, wiele, na wszystkich tych wyspach, a nigdy nie dosyć. Miłuję je jak matka swe dzieci, bo życie wieczne i Boga za mym pośrednictwem poznały... Dlaczegoż ci z Maoryki mają pozostać w ciemności? Czyż nie narodził się Chrystus i dla nich?...

Chlust słonej wody ciął ich jak biczem przez lica. Urwali, spoglądając na morze. Toń ze szmaragdowej stała się barwy ołowiu. Cisza była, woda marszczyła się drobno niby rękawy przy sukni paradnej - chwilami jeno nagły skośny podmuch wiatru niósł daleko ostre bryzgi, by znowu ucichnąć. Wiosła pracowały całą siłą aż statek stękał w wiązaniach, prąc się w przód przez spopieliałe odmęty.

- Monsun idzie - rzekł ojciec Franciszek.

- Kapitan przewidywał to już z rana. Jak myślicie, Świętobliwy Ojciec: wytrzymaż ta galiota napór wichru?

- Wytrzyma lub nie, według tego, co jej Bóg przeznaczył - odpowiedział zakonnik pogodnie i odszedł, by wiosłarzom zanieść wody z octem dla ochłody.

- W taki czas - rzekł na odchodnym - żar pod pokładem aż dusi.

Don Faustus pozostał sam, spoglądając na niebo z niepokojem. Monsun nadlatywał istotnie na porwanych skrzydłach chmur. Jak czarownice wzywane na sabat zbiegały się błyskawicą z wszystkich krańców widnokrzęgu, zaległy mroczną gęstwą czyste do niedawna niebo. Z bezkształtnego ich tułowia wychyliła się na horyzoncie chmura obła, ciemna, o jądrze niebieskawo świtającym. Wraz powietrze stało się duszne nie do wytrzymania - barwy sposepniały. Mewy piskały radośnie, świecąc białym sierpem skrzydeł nad nagłą szarzyzną otchłani. Już i fale poczęły budzić się z uspienia, przeciągały się szczekając i warcząc, drażniły wzajem, wgryzając się jedna drugiej w ugrzywione, giętkie karki. Aż się zerwały do tańca, podjudzone wichrem. Wzdęły naokół galery wielkie, śliskie cielska. Niby w dolinie zacisznej pomiędzy szczytami znalazła się galiona, drobiąca śmiesznymi mackami pośród wydętych ku niebu bałwanów. Podbiły ją w górę, wypluły na szczyt, skąd spływać poczęła w otchłań.

- Wiosła! Wiosła! - ryczał bez przerwy pochylony nad tubą kapitan, trzymając się oburącz mocnej drewnianej bariery. Stary Borzo stał przy rudlu. Galera zsunęła się w dół i w tejże chwili z szumem przewaliła się przez nią fala, splukała pokład, przebiegła, wymiotła znów statek na górę...

- Wiosła!... - wycharczał kapitan, wypluwając wodę.

Urwał z przekleństwem straszliwym: połowa wiosła z prawej strony, wpiętych w potężny tułów fali, przysła jak drzazga; statek począł okręcać się na miejscu.

- Zmienić wiosła!! - zakrzyknął.

Galera dygotała rzucana niby łupina - naraz przechyliła się na bok, ukazując drgające bezradnie w powietrzu nogi wiosła. Kłapa zejściowa podniosła się nagle - dwudziestu kilku wiosłarzy wypadło na pokład.

- Woda na dole! - krzyczeli.

- Na miejsca! - wrzasnął kapitan. - Luke zamknąć! Na miejsca, łotry, natychmiast!

- Sam idź! Tam wody po szyję!

- Na miejsca!

- Oliwę każ lać, oliwę!

- Czas na oliwę; do wiosła!

- Żal ci, psie chciwy! Wolisz zgubić nas wszystkich niż stracić ładunek!

- Zbóju!

- Na miejsca, spuszczę oliwę!

Cofnęli się uspokojeni, zostawiając czterech, którzy rzucili się czołgając, by ich woda nie zmiotła, ku baryłkom. Między beczkami, skulony, zmęczony, tkwił don Faustus Rodriguez. Wicher zerwał mu kapelusz, następnie perukę; łysa jego głowa błyszczała. Szczekał zębami z przestachu.

- Giniemy? - jęknął.

- Na to wygląda - odkrzyknął kapitan wśród ryku.

Tamci, pełzając, podtoczyli baryłki ku burcie. Nadludzkim wysiłkiem utrzymując równowagę, wynieśli je na kant, wybili siekierą dna. Ciecz gęsta, żółtawa, leniwa, jak gdyby zdziwiona, płynęła powoli, zaściełając zaskoczony fale ruchomym, lepkiem obrusem. Morze naokoło statku ucichło na moment.

- Więcej! Więcej! - wołał Fereiro, spoglądając na boki.

Odetchnął z ulgą. Nowe wiosła wysunęły się w miejsce złamanych, chwyciły za wodę, wygięły się w łuk pod naporem fal, uniosły się, szarpnęły. Wypadli na wierzch grani wodnej, okręcili się na niej i stoczyli w dół.

Znowu wypadli, dźwignęli się na górę, otrząsając się z potoków wody. Znowu i znowu, przez szereg straszliwych godzin. Zmierzch rudobłękitny nadchodził, a piekielny taniec trwał.

- Przekleństwo! - warknął Fereiro.

Wszystkie wiosła z lewej strony bryznęły jak wiechcie słomy. Bezsilna, bezradna łupina wirowała, huśtała się, przewalała z boku na bok, czekając lada fali, która odwróci ją na grzbiet jak chrabąszcza. Wioślarze wyszli na pokład, pełzając ku łodzi. Dawno porwały ją fale - więc tarzali się z dzikim skowytom wściekłości, czepiając się kurczowo ław. Bramini siedzieli rzędem, przywiązani jedną liną do burty. Twarze ich były obojętne. Wargi powtarzały formułkę modlitwy. Spoglądając wokoło z rozpaczą, Fereiro spostrzegł, że stary Borzo od rudła daje mu ręką rozpaczliwe znaki.

- Gdzie Wielki Ojciec? - krzyczał sternik schrypłym głosem, darmo starając się przekrzywić burzę. - Wielkiego Ojca! Niech się modli! żywo! żywo!

- Niech się modli! - powtórzył z rozpaczą kapitan.

Ojciec Franciszek Ksawery pracował na dole za trzech, wylewając wraz z kilkoma wioślarzami wodę. Zawołany, wyszedł na pokład, gdzie leżeli ludzie bladzi z trwogi, w lęku przedśmiertnym czepiając się wszystkiego, co im się zdało oparciem.

- Ojczy! - zakrzyknął kapitan - giniemy! Proś Boga!

- Proś Boga! Ratuj! Niech cię wysłucha! - wołali.
- Wskresiłeś czworo ludzi w Trawankorze! Zlituj się teraz nad nami!
- Jakiś ocalił Madurę od nadejścia Badagów!... Ratuj nas!...
- Ogień ciebie słucha, morze, wiatr!... Ulituj się!...
- O bracia, módlmy się wszyscy! Bóg jednakowo słucha prośb każdego...
- Nieprawda! Ciebie wysłucha! Wzywaj Go! Wzywaj! Ubłagaj!

Skomleli ostatkiem tchu, spoglądając nań prawie z nienawiścią, bo zdało im się, że trzyma w ręku ratunek, a wahający jest, czy go udzielić. I Franciszek Ksawery, powiódłszy wzrokiem po nich, uczuł ogromną litość nad tą ludzkością nieszczęsną, wyjąca w trwodze przedśmiertnej, przeto, podszedłszy ku burcie, ukląkł do modlitwy, nieczuły na zalewającą go co chwila wodę. Wśród strasznego łoskotu rozpętanych fal modlił się w cichym swym sercu rozmodleniem wielkim, aż rozplomieniwszy nagle ducha w sobie powstał z twarzą w twarz z morzem bluznął rozkazem:

- Ucichnij! Ucichnij!... Słyszysz?!... Krzyż jest nad tobą! Ucichnij!

Wicher zagwizdał raptownie, zahuczał, zagrzemiał, przeleciał ponad głowami wściekłym huraganem fali, wyrwał galerę ku górze - opuścił...

Wpółmartwi ludzie nie umieli nigdy później opowiedzieć, co zaszło w tej chwili. Niejasne uczucie ulgi, odprężenia, jak gdyby z piersi zwał się śmiertelny ciężar. Po dłuższej chwili dopiero pojęli, że wiatr przycichł, odchodził, tratując dalej strasznymi stopami rozbijał tamy morza. Fale topniały w oczach, jak śnieg pod deszczem wiosennym, miękły, przewalały się z szumem łaskawym. Rozdarły się ciemne chmury i błysnęło przez nie zachodzące właśnie słońce. Ojciec Franciszek stał wciąż przy burcie, bez ruchu. Wtenczas to fala ostatnia w bezsilnej złości porażki skoczyła ku niemu, liźnęła, szarpnęła, zalała oczy mściwym sięgiem wody, wyrwała z ręki krzyż, uciekła z chichotem, trzęsąc ugrzywioną głową. Spojrzał za nią z żalem, litując się zawziętości, prawie że ludzkiej, żywiołu.

Łódka (odnaleziona nazajutrz po burzy) werżnęła się w piasek głęboko i ojciec Franciszek Ksawery, pożegnawszy raz jeszcze wioślarzy, wyskoczył w płytką, ciepłą wodę. Dobrnął suchego wybrzeża i rozejrzał się. Stał sam na wyspie zwanej Maoryką, zamieszkałej przez kanibalów, nienawiść zawziętą noszących w sercu ku białym. Był sam jeden. Łódka zaledwie już była widoczna na morzu, dopływała galery; wioślarze jej pracowali ostro, nie kwapiąc się bynajmniej do spotkania z chyżymi pirogami dzikich.

O kilkanaście kroków przed nim zaczynał się las, cienisty, zwarty, nieznan. Ruszył w tę stronę i przypomniał sobie nagle, że nie ma krzyża przy sobie. Stał bezradny, zmartwiony, w nagłym skurczu serca. Gdy spotka tych, ku którym szedł, cóż im okaże? Jak wyjaśni, w imię czego przybył? Nie ma krzyża... Czemuż nie pomyślał o tym wcześniej, nie sporządził sobie innego? O niedobra falo!... Iść ku poganom bez krzyża, niby herold, wysłaniec, idący bez pieczęci pana! Jakże mu mają

zawierzyć?!

Osmętniały, ruszył frasobliwie wybrzeżem, między wyrzuconymi przez morze odłamkami drzewa szukając sposobnych dla zrobienia znaku Odkupienia. Gdy nic odpowiedniego nie widział, jęło coś pluskać w wodzie tuż przy brzegu. Przystanął patrząc. Wielki oliwkowy krab wylazł z trudem na brzeg, rozstawiając szeroko i niezdarnie kosmate nogi. Był to krab z rodzaju grzbietonogów, na szerokim spłaszczonym odwłoku noszący parę niby ramion, do trzymania zdobyczy przeznaczonych. I teraz trzymał w nich coś - śliskiego snadź, bo osuwało się ciągle, wysokiego, bo kołysał się z boku na bok niepewnie, pośpiesznie kiwając szczypcami. To coś załśniło od słońca tak dziwnie, że ojciec Franciszek pochylił się zaciekawiony. I zdumiał!...

Ciemny morski potworek przynosił mu zgubiony krzyż - krzyż wyrwany przez złą falę o cztery dni drogi stąd! Przykląkł, by wyjąć ostrożnie ukochaną zgubę, przycisnął ją do ust w uniesieniu.

Podjął z ziemi kraba i w piesszczocie przytulił do twarzy; spojrział serdecznie w cudaczne, niezrozumiałe, ruchome na słupkach oczy, po czym uczynił nad nim znak błogosławiący i puścił ostrożnie do wody. Teraz powstał z krzyżem w ręku i odwrócił się radosny, pogodny, promienny... Dwie małpki brunatnoszare przykucnęły opodal, patrząc na nieznanego człowieka ciekawie. Uśmiechnął się do nich słonecznie, one zaś podbiegły i wskoczyły mu na ramiona. Świetne, jak z barwnej porcelany ulepione papugi latały nad jego głową. Z zarośli wyszło kilku dzikich, szpetniejszych wiele od małp. Ukryci między drzewami widzieli kraba wynoszącego z morza amulet nieznanemu czarodziejowi, więc lęk ogarnął ich serca. A Franciszek Ksawery na ich widok rozpromienił się jak zorza i podniósł wysoko krzyż. Oni zaś, widząc, że wielki biały czarodziej idzie ku nim, padli na twarze, bełkocząc niezrozumiałe wyrazy.

# NA PUSTYNI

Pora była jeszcze wczesna, gdy Antoni, syn Sylweriuszowy, wyszedł z miasta Heraklei przez bramę zwaną Kamienną, bo otwarta się wprost na bezbrzeżne, głazami usiane obszary pustyni. Szedł zwawo, rad, że go nie zauważyli strzegący bramy strażnicy. Przystanął na rozżarzonej słońcem równinie i odrzucił z głowy opończę. Nastawił ucha w złudzeniu, że z targowiska miejskiego dolatuje go aż tutaj wrzawa i zgiełk tłumu, pomiędzy który rozdał przed godziną swój majątek. Pomny Chrystusowych słów: „Rozdaj, co masz, ubogim” - puścił wolno niewolników, wywiódł na plac wielbłądy, osły, skrzynie ozdobne, tkaniny, beczki z oliwą i prosem. Dźwignął ciężki miech monety. Brzękiem jej zwołał ubogich przekupniów wody, chylących się pod ciężarem amfor, skulonych żebraków, śpiewających na przemian pieśni o Bogu - Stwórcy i bogini Wenus, łypiących chytrze oczami ropiejącymi w czerwonej otoce powieki - trędowatych, poganiaczy mułów, wrzaskliwe jędze - kobiety o piersiach zwisłych i próżnych, ślepców i kaleki. Rozdzielił pomiędzy nich wszystko, co posiadał, szybko, śpiesznie, z trudem hamując wstręt i odrazę do smrodliwej ich nędzoty. Trwożyły go zarówno hałaśliwe podzięk i błogosławieństwa, jak sarkania rzekomo pokrzywdzonych przy podziale lub napastliwe zachłanne wyrzuty spóźnionych. Uszedł co rychlej, niepostrzeżony.

Nie było w nim krzty życzliwości dla tłumu, którego stał się dobrodziejem. Poza dziecinnym oszołomieniem własną doskonałością, nie czuł w duszy żadnego wesela. Nie radowała świadomość radości drugich. Z natury był chłodny, lękliwy, małowówny, pełen mimowolnej, ale przecież głębokiej pogardy dla otaczającej go znikomości świata. Jakież nędzne, nietrwałe i małe widziały mu się te wszystkie zabiegi, starania i losy! Tęsknił ku rzeczom wieczystym, ku Bogu. Pragnął poznać Go, osiągnąć, posiąść. Nie sądził, iżby możliwym to było inaczej, niżli w pełni samotności, z dala od turbacyj doczesnych. W przeciwieństwie do ludzi zapełniających pustkę gwarem - chciał znaleźć próżnię, by wypełnić ją Bogiem. Światem nie tylko pogardzał, ale lękał się go. Lękał się możliwych pokus. Szedł w pustynię niby łowca spragniony ciszy, by w niej schwytać Głos Przedwieczny, zrozumiały dla wybranych.

Czuł się wybranym...

Szedł w pustynię, zbywszy wszystkiego, co miał, z tykwą u pasa i kijem pielgrzymim w dłoni, zapatrzony w rozścielające się przed nim rozłogi. Wołająca go pustynia podchodziła tuż aż pod bramy miasta, obejmowała z nagłą milczeniem wędrowca i ciągnęła w nieskończoność. Nie zdeptał jej jeszcze nikt. Odkąd wola Boga wywołała z chaosu kształt jej, morzu sfalowanemu podobny, w dniu stworzenia świata - odkąd spłynęły fale przy rozdziale wód, odsłaniając jej płowe oblicze - nie stąpił w nią żaden człowiek. Nie zamieszkał wśród głazów jej żaden samotnik. Nie uświęcił modlitwą swą żaden anachoreta. Nie poznał tajni jej nikt.

Więc pełen dumy Antoni pomyślał, że jeśli jest gdzie w świecie pustka doskonała, miejsce sposobne, by człowiek wybrany mógł w nim usłyszeć Głos Boga - tedy niechybnie tutaj się ono znajduje. I szedł radośnie przed siebie, a wiatr zawiewał ślady jego stóp.

Gdy noc zapadła, położył się wygodnie na piasku i zasnął. Przez sen słyszał naokoło siebie tętent kopyt, lecz rano, zbudziwszy się, ujrzał tylko szarą bezdał pustyni szerokiej. Zjadł wyjęty z sakwy kawał placka jęczmiennego, a wieczorem napił się wody ze źródła. Przy tym źródle spoczął na



noc drugą, w cieniu chylącej się palmy. Uśpiony, posłyszał tętent ponownie. Samotność, którą się cieszył, była snadź złudną; ktoś przyszedł w ślad za nim. Otworzył z niechęcią oczy i w świetle miesiąca ujrzał wielkiego centaury, który przyglądał mu się z trwożliwą uwagą. Spotkawszy wzrok Antoniego, zagrzmiał kopytem w nagłym porywie ucieczki. Odbiegł o strzelenie z łuku i stanął parskając. Pomknął ponownie, wznosząc pył za sobą - zatoczył koło i znowu przystanął. Ciemna jego sierść błyszczała niby zlane wodą, czarny ogon spływał strumieniem do ziemi, szeroka pierś męska dyszała.

- Czego chcesz tutaj, wędrowcze? - zapytał w końcu chrapliwie.

- Chcę być sam.

- Nie słyszałem dotąd, by człowiek szukał samotności. W stadzie żyją zwykle ludzie, na wzór gazeli, świstaków i mrówek. Co ci po niej?

- W samotności tylko i swobodzie dosięgnę to, czego szukam, a czego ty znać nie możesz.

- Znam wszystko. Jestem Moc Pustyni, wolna, swobodna, niczyja. Siadaj na mój grzbiet, a dościgniesz nawet ptaka.

- Nic mi po tobie i po locie twym, Mocy Pustyni...

Odszedł przed siebie szybkim krokiem, gdy gniady centaur patrzył za nim pilnie, bijąc kopytem ziemię ze zdziwieniem.

Kiedy następnej, czwartej od wyjścia z Heraklei, nocy ułożył się wędrowiec do snu wśród kamieni, dolatywało go z wieczora naszczekiwanie szakali, a gdy zmiłkły i miesiąc wielki, złocisty, wytoczył się ponad roztocze pustynne, usłyszał przez zaporę snu śpieszne, niespokojne tupanie racic. Otworzył oczy i spotkał wyteżony wzrok koźlacz - satyra, co nachylał się nad nim ciekawie. Stary był, bezzębny, z siwiejącą ryżą brodą. Uśmiechał się do śpiącego, na poły dobrotliwie, na poły drwiąco.

- Sądziłem, że w pustyni znajdę samotność i pustkę! - zawołał z gniewem Antoni.

- Pustynia nie jest pustką - odparł wesolo koźlacz, tupiąc racicami. - Pustynia jest pełna wesela, a ja jestem niefrasobliwy Radośnik pustyni.

- Czego ode mnie chcesz?

- Powitać cię między nami.

- Obyś mię raczej co rychlej pożegnał! Chcę być sam, zupełnie sam. Uszedłem ludzi, szukając samotności i ciszy. Nie chcę oglądać nikogo.

- Bądź zdrow zatem! - gwizdnął beztrosko Radośnik. Spoglądał za odchodzącym pielgrzymem, drapiąc się z zastanowieniem po kudłatej głowie, przysiadł w ciepłym jeszcze zagłębieniu ludzkiego legowiska i krzywiąc się spróbował porzuconych okruchów placka jęczmiennego.

Antoni zaś szedł i szedł przed siebie, a na piątą noc wypoczynku obrał źródło cieniste. Ledwo zasnął, zbudziły go ciche westchnienia i szepty. Korowód smukłych nimf źródła biegał naokoło niego. Widząc, że się zbudził, odrzuciły mokre kosy na plecy - gotowe pierzchnąć, targane zarazem ciekawością i obawą.

- Czego chcecie? - zapytał z niechęcią.

- Ktoś jest? skąd idziesz, wędrowcze nieznany? Jesteśmy Piękno pustyni, wolne, nie oglądane dotąd przez nikogo. Czy chcesz, byśmy poszły z tobą?

- Nie chcę, za nic! Zostańcie tu, gdzie jesteście, nie troszcząc się o mój ślad. Nie potrzebuję Piękna pustyni bynajmniej...

Od tego źródła dążył jeszcze Antoni cztery dni, ciągle na zachód, aż doszedł góry, którą dziś zwą Kolzim; wówczas zaś miana nie miała. Głowa jej leżała w chmurze, strojna w biały turban śniegu. U podnóża tryskało źródło, obrośnięte gęsto trawą i krzakami. Powyżej, w skale, woda deszczowa, sącząc się wąską skałubą, wymyła niewielką jaskinię - pieczarę. Cisza i pustka panowały wkoło.

- Tu zamieszkam - powiedział Antoni.

Zdjął sakwę, tykwę i ukląkł do modlitwy. Znalazł kres swojej wędrówki. Był w sercu pustyni, gotów na przybycie Pana.

Wytrząsnął z sakwy resztki wziętego z Heraklei placka i pożywił się nim skąpo, oszukując głód. Z ufnością spojrzął w niebo.

Pana jest troską, nie moją, co będę jadł jutro, gdyż dla Niego tu przyszedłem. W Jego rękę żywot mój - pomyślał, wyciągając się w grocie na piasku.

Rankiem zbudził go szum skrzydeł. Nie otwierał oczu, sądząc, że to sępy, których skwir głodny słyszał poprzedniego dnia, gdy z załomów skalnych, gdzie miały swe gniazda, wylatywały na żer. Lecz w tejże chwili jakiś przedmiot upadł na ziemię tuż przy nim. Podniósł się, zdziwiony. Wielki czarny kruk odlatywał śpiesznie, a na ziemi leżała połowa placka jęczmiennego.

Uśmiechnął się wędrowiec dziękczynnie, radośnie. Rozpłomieniło się chłodne jego serce uwielbieniem i wiarą. Oto sam Bóg daje znak, że upodobał sobie tę pustelnię... Ujął swą laskę pielgrzymią, zrobił z niej krzyż i ustawił go przed grotą na znak, że już odtąd nigdzie nie odejdzie.

Tu oczekiwać będzie głosu łaski Pańskiej.

I mijały dni, tygodnie, miesiące i pory. Pustelnik mieszkał w swej grocie. Codziennie rano ze wschodu nadlatywał kruk, spuszczał pół placka i odlatywał na zachód. Wody dostarczało źródło. Ręką Boga widomie karmiony, głosu Jego oczekujący, Antoni byłby się czuł niezmiernie szczęśliwy, gdyby pogody jego nie mąciło natarczywe, bogate życie pustyni. Gazele, przychodzące pić do źródła, przystawały, patrząc na niego uważnie. Lękliwie podchodziły szakale, obwąchując wszystkie kąty pieczary. Gdy klęczał zamodlony, mrówki wspinały mu się na ramiona, pierzaste ćmy pieściły po

twarzą puchem miękkim jak westchnienie. Odsuwał zarówno jedno, jak i drugie niechętnie, w wiecznej obawie, że w rozsypce myśli przeoczy chwilę Wezwania. Odwracał się przed czarownicą trwożnym wzrokiem ciekawych gazeli, zamykał oczy i uszy.

Rad byłby zamurować swoją pieczarę. Uwagę samotnika rozrywał nie tylko zwierzę drobny pustyni. W upalne noce centaur cwałował dokoła źródła, krzyża i pustelni. Ziemia jęczała pod grzmiotem jego nóg stalowych. W mroku błyskały pałające oczy, przewijał się chlust ogona, migał lśniący kabłąk zadu. Wzywał z ciemni pustelnika k'sobie na ściągę gonitwy.

Gdy wiosna zazieleniła spalone słońcem krzewy, u podnóża góry Kolzim rosnące, schodziły się ku grocie jurne koźlacze - satyry, wiodące ze sobą lęklive i uroczne driady. Całe noce pustelnik słyszał śmiechy ich, nawoływania i pląsy.

- Odejdźcie stąd! - prosił gniewnie. - Nie znam was i nie chcę znać. Oczekuję na głos Pański, co przemówić może do mnie lada chwila. Muszę trwać w ciszy, aby go usłyszeć.

- Jakże go usłyszysz, nierozumny? - pytały ze śmiechem. - Bez Mocy, Radości i Piękna, obcy życiu, cóż jest? Badył suchy, obumarły, wetknięty w piasek pustyni. Głos przejdzie mimo cię, nie dotykając.

- Nieprawda! duch mój zwabi go i chwyci.

- Nie zwabi nikogo, nie schwyci jałowe, bezpłodne czekanie. Pójdź szukać prawdy swej z nami.

Zatykał uszy i zasłaniał oczy, bo podchodziły tuż do samej groty. Padał twarzą na kamienie, milczał pogardliwie, lecz one stały wytrwale do świtu. Rankiem znikwały, by znów wieczorem powrócić nieubłagane niby życie samo. Nienawidził ich, dzień cały zbierając siły do walki.

Lata mijały, mijały...

Aż z wolna w nieustępliwej odporności pustelnika znużyli się jego wrogowie. Obojętniała, odwracała się pustynia. Odsuwane codziennie, przestały się zajmować osobą jego zwierzęta. Nie poświęcały mu więcej uwagi niż gdyby był pniem lub kamieniem. Coraz rzadziej tętniły kopyta centaura, rozbrzmiewały śmiechy nimf. Coraz rzadziej, coraz dalej. Aż znikły, odeszły zupełnie.

Jak odprężony łuk, w bezpotrzebie walki, starzec Antoni siedział dniami, tygodniami, objąwszy rękoma kolana. Upragniona cisza, pustka doskonała leżały wkoło niego. Nikt nie zakłócał już nocy. Pustka zagościła w starym sercu, kołaczącym wśród wyschłego ciała. Ale Pan nie kwapił się pustkę wypełnić głosem swoim, niby muszlę morską szumem. I tylko siwy już ze starości kruk, wierny wysłaniec, stanowił jedyny dowód opieki Bożej nad swym wybrańcem.

Mijały lata...

Zniżało się słońce poza górę Kolzim po raz stotysięczny i więcej, gdy starzec drgnął i wyteżył oczy, ujrawszy, że ktoś nadchodzi. Zbliżał się z dala wędrowiec. Wysoki był, pochylony. Złożone

skrzydła wlokły się w pyle poza nim. Przechodząc mimo groty, spojrzął w twarz pustelnika posępnymi, palącymi oczami.

Zadrzał Antoni, poznawszy.

- Ktoś jest? Czego chcesz? - wyjąkał.

- Wiesz, ktom jest - odparł przechodzień.

- Czego chcesz? - powtórzył starzec.

- Osiedlić się w pobliżu ciebie.

- Idź precz!! - zakrzyczał Antoni przeraźliwym, starczym głosem. - Bóg jest ze mną!

- Nie widzę Go.

- Krzyż! Oto krzyż! Idź precz ode mnie! Idź precz!...

Ale archanioł upadły potrząsnął przecząco głową.

- Nie widzę krzyża. Czuję wkoło ciebie pustkę, należną władztwu mojemu, Nicości. Tu pozostanę i spocznę.

Zdrętwiały ze zgrozy starzec cofnął się w głąb groty, a szatan usiadł opodal na głazie i trwał tam nieruchomo, patrząc w pustynię. Ciemne jego skrzydła, stulone jak skrzydła ćmy śpiącej, rzucały cień na grootę pustelnika. Antoni budził się i zasypiał w sinawym, chłodnym ich mroku, w nieustającym przerażeniu i lęku widziadła. Gdziekolwiek się zwrócił, cień szedł za nim, kładł się przed nim. Obecność straszliwa przeorała myśli starca, wywiodła nieznaną ich tajemnicę. Wylęgły się, wyroiły przed oczyma duszy jak mrowie robactwa myśli zdradzieckie, drwiące, szydliwe, pomstliwe. Wyciągnęły się przed wzrokiem w długi łańcuch dni ubiegłych, szereg lat niezrachowanych, spędzonych w głuszy samotnej, szarpnęły serce tępym pytaniem: czyli warto było? - wświdrowały się do mózgu skrytym podejrzeniem, że Bóg jest snadź niezmiernie obcy i daleki, skoro tyle poświęcenia doskonałego i modlitw wytrwałych nie zdołało Go ani uprosić, ani przywabić...

...Obcy, nieczuły jest Bóg...

...Niedbały o dusze ludzkie...

...Poza sklepieniem gwiazdzistym nie czuwa, nie chyli się ponad światem baczone miłosierdzie niczyje...

...Nicość całego przestworza...

...W pustkę uderza głos doskonałego...

Cień skrzydeł sposepniał, wzrósł. Stał się ważki, dotykalny. To szatan, siedzący na głazie, zwrócił się twarzą ku pustelnikowi.

Niby ostatni odruch tonącego, ostateczny błysk świadomości ginącej - straszliwa rozpacz targnęła sercem strwożonym. Od wrót zatury przypadł z jękiem do stóp krzyża. Z szlochom jakoby dziecinny:

- Panie! Ratuj niegodnego!!...

...Obroń mnie od myśli moich!

...Nie pozwól, bym zwątpił o Tobie!

Uszedł, rozplynał się posepny cień. Znieruchomiło powietrze, wstrzymała oddech swój ziemia. Albowiem na co czekał stary człowiek przez trzy ćwierci wieku - spełniło się w tej godzinie. Głos Pański rozbrzmiał w pustyni. Nappełnił ją, wstrząsnął, pełen potęgi i gniewu:

- Cóżes uczynił, abym cię broniał, ratował? Dość darów złożyłem w tobie... Coś z nimi zrobił? OdpowiedZ!... Gdzie owoc życia twojego? Gdzie głodni, których nakarmiłeś, nędzarze, których przydziałeś, strapieni, których pocieszyłeś? Nie miłuje mnie, kto stworzenia mego nie miłuje. Patrz, gdzie cię pycha zawiodła!

- Panie! ulituj się, Panie!!

- Idź, zły sługo, miłować bliźniego swojego...

Dwie doby minęły, zanim powalony starzec ocknął się i podniósł z ziemi. Słowa Boże grzmiały mu jeszcze w uszach, wały w przeobrażonym, odmienionym sercu: Idź miłować... idź miłować bliźniego swojego... To rozkazał czynić Pan. Zapragnął rozkaz wykonać bez zwłoki. Gdy zwłókl z siebie pancerz pychy, stare serce ogarnęła paląca tęsknota za jakąkolwiek żywą, przyjazną istotą. Niechby bodaj nędzny szakał, bodaj świerszcz, co cyka w skale! Lecz wokoło legła cisza martwa i nieznośna. Wszak od dawna zniechęcone poszły stąd Siła, Radość i Piękno pustyni. Dawno odpłynęło życie. Sam był - jak tego chciał przed laty. Jakże teraz szukać pójdzie na gnących się z osłabienia, odwykłych od chodu nogach? Stał bezradny, darmo wypatrując, kogo by mógł do piersi wezbranej spóźnioną miłością przycisnąć, powitać bratnim nazwaniem... Lecz otaczała go pustka.

Z trudnością poszedł do źródła. Gdy zaczerpnął w tykwę wody, stanął, po raz pierwszy rozglądając się wokoło. Pierwszy też raz zauważył po przeciwnej stronie źródła ścieżkę wydeptaną w trawie, bliźniaczo podobną do tej, którą własne jego stopy wygniotły. Okrążył źródło i poszedł ścieżką. Ciężyły osłabłe nogi...

Na przeciwległym stoku góry Kolzim świątobliwy pustelnik Paweł siedział przed pieczarą, co już pół wieku przeszło służyła mu za mieszkanie. Kij pielgrzymi, który zatknął niegdyś w ziemię na znak, że dalej nie pójdzie, puścił liście, sięgnął korzeniami skroś kamieni żyły wodnej i wyrósł w bujne, tęgie drzewo. W cieniu tego drzewa pustelnik Paweł chwalił i miłował Pana, otoczony gromadą różnorodnego stworzenia. Zwinne jaszczurki biegały mu koło nóg. Gazele ocierały głowy o

jego stare kolana, gdy on przemawiał do nich jak do dzieci. Łasiły się wyleniałe, skurczone szakale, w dobrotliwej obecności anachorety zbywając się lęku swego i podłości; wielki lew postękiwał dostojnie, ale niegroźnie, w pobliżu.

Ujrawszy zbliżającego się Antoniego, pustelnik Paweł pospieszył z radością ku niemu.

- Bracie mój - rzekł obejmując serdecznie gościa - czekam na przyjście twoje od wielu już lat.

Lecz Antoni nie odrzekł nic. Poruszał bezradnie ustami, daremnie usiłując przemówić. Zapomniał już dźwięku słów. Więc patrząc tylko rozradowanymi oczami w twarz Pawła, przyłożył milcząc dłoń jego do serca.

Zaszumiały skrzydła w górze. Kruk nadleciał, zrzucił na ziemię dwa jęczmienne placki i z łopotem skrzydeł zawrócił na wschód. Gazela, która w pierwszej chwili pierzchła na widok obcego, podeszła ku starcom ciekawie.

# POWÓDŹ W KROŚNIE

Roku 1240 wiosna przyszła tak wcześnie i z nagłą, jak najstarsi ludzie nie pomnieli. Marzec ledwo się zaczynał i śniegi leżały jeszcze na wysokość chłopa, gdy jał dąć południowy, ciepły wiatr, nadleciało ptactwo, a w ślad za nim lunęły deszcze rześiste, wiosenne. Śnieg poszarzał i ginął z każdą godziną, tysiącem huczących potoków spływając ku rzece. Szerokie nadodrzańskie łęgi pokryła woda, znosząc do brzegu zeszłoroczne sitowie i żółtą pianę. Rybitwy krzyczały drapieźnie nad rozlewiskiem, a ostra woń szlamu i powodzi przenikała wilgotne powietrze.

Gościniec rozgrzązał głęboko i sześciokonna kolebka Jadwigi, księżnej śląskiej, Brodaczowej, parła się przezeń z trudem. Konie z wysiłkiem wyciągały nogi z chlupiącej gliny, a woźnica, pacholki i dwaj zbrojni, na schlastanych błotem podjezdźkach towarzyszący pani, z ulgą poglądali na bliskie już mury grodu.

Tylko siedząca w kolebce sędziwa księżna - opatka nie zdawała się troszczyć o trudy tej drogi, o dalszy czy bliższy ich koniec. Stare jej oczy błądziły po niebie, nie widząc wędrujących nisko chmur ni mew. Znużył ją do cna długi żywot w troskach ustawicznych. Nie tak ciążyła włosienica sztywna ani twarde pas druciany, jak zaciężyło jej życie i stare, mdłe ciało. Nie dbała już o nic, obojętna sprawom świata, trawiona tęsknotą za światem lepszym, wieczystym. Teraz z ulubionego klasztoru w Trzebnicy jechała do Krosna, by u grobu męża, Henryka Brodacza, westchnąć za jego duszę pobożnie - a wsłuchując się w miarowy, tępy skrzyp kolaski, z otuchą myślała, że może to jej doczesne podróżowanie ostatnie.

Zatopiona w dumaniach ani się spostrzegła, kiedy podjechali ku murom i echo kopyt zagrzmiało pod sklepieniem bramy. Wnet jeden ze zbrojnych podniósł do ust róg i długo, donośnie trąbił, by miastu obwieścić dostojnego gościa. Lecz nikt nie wypadł z witaniem. Nie było nawet straży powinnej na bramie.

Miasto i mury zdawały się niby wymarłe. Brzęcząc łańcuchami, kolebiąc się na nierównym bruku, potoczyła się kolasa z wolna w stronę rynku. Ulica była wąska i mroczna, bo wysokie szczyty trójokiennych domów omal że się stykały misternymi wykuszami, mostem rynien o paszczach rozwartych i lasem dziwacznie wyrzeźbionych z kamienia lub drzewa postaci siedzących na gzymsach. Dołem były ganki i podcienie, między którymi droga szła niby w parowie. Żelazne godła kupców i cechowych chwiały się na wietrze.

Domy stały otwarte i puste, gdyż cała ludność była zebrana na rynku, stłoczona w jedno trwożne kłębowisko. Wiatr wiosenny przelatywał z hukiem nad głowami milczącego tłumu, łopocząc w drewniane okiennice domów. Rozstąpiła się ciżba z szacunkiem przed sześciokonną kolasą - co przedniejsi mieszczanie otoczyli ją kołem, kornie Jej Księżęcą Wysokość witając, a przyczynę trwogi ogólnej tłumacząc:

...Że wielkie deszcze stopiły nazbyt szybko śniegi, wezbrały okrutnie wody, wcześniej niż kra spłynęła. Zasilona niezliczonymi strumieniami pędzącymi z gór, stara Odra rosła, potężniała i dufniała w sobie, aż porwawszy się z miejsca, miast przełamać zator lodów, rzuciła zwykłe koryto i dolinami parła niepowstrzymanie, zataczając łuk szeroki. Miasto leżało w kotlinie, na drodze wód

zbuntowanych. Przeto od doby cała młodzież miejska wznosiła wały ochronne na wzgórzach osłaniających z tej strony kotlinę, ściągając gałęzi, nawóz i pnie drzew. Co będzie, jeśli nie zdzierzą?

- Uciekać trza wam, co rychlej.

- Łacno to rzec, Miłościwa Pani! Uciekać?... chyba w puszcę, na stracenie? Ni przytuliska, ni jadła. Tu woda a tam głód albo i zwierz luty.

- Burmistrzów Jasiek jedzie! - rozległy się głosy.

Zdyszany, utyłany w błocie pacholek wpadł na rynek, trzymając się grzywy mierzynka.

- Ludzie! uciekajcie! Przerwało! - krzyknął schrypłym głosem.

- Panno Najświętsza! A tamci?!...

- Zalało ich. Ani się spodzieli.

Buchnął lament aż do nieba. Oszalały z trwogi tłum zakołysał się jak łan na wicherze. Jedni rwali się uciekać, drudzy padali na klęczki w modlitwie lub stojąc bezradnie wyli niby obłąkani.

- Na wieżę! na wieżę! - wołano.

- Podmyje wieżę!... Na mury! Mury podnosić!

- Hej, tyle one zaważą, ile kretowina. W puszcę, póki czas!

- Uciekajmy, Miłościwa Pani! - zakrzyknął jeden ze zbrojnych.

- Stój! - odparła księżna z mocą.

Dała znak pacholekowi i zeszła z trudem podpierając się swą długą laską opacichy. Patrzono na nią w zdumieniu. Ona zaś, słowa nie mówiąc, zeszła w ulicę, którą nadjechał tylko co zwiastun nieszczęścia, i podążyła ku bramie zwanej Zachodnią albo Książęcą. Tłum ruszył za nią, niby urzeczoncy. Minęła bramę i wyszła na rozległe błonie, skąd nadejść miała zguba. Szła wolno, opierając się mocno na lasce. Leciwa była. Stare nogi, odwykłe z dawna od chodzenia, gięły się i potykały. Sukienne miękkie cizmy przesiąkły błotem wiosennym. Szła, nie widząc i nie słysząc nic - całą siłą wielkiej duszy modląc się o zmiłowanie.

- Przez moją wierną miłość ku Tobie, Panie - szeptała - nie daj im zagańać!... Przez moją tęsknotę ku Tobie, nie daj im zagańać!... Niech wieki całe będę jeszcze odsunięta od oblicza Twego, lecz nie daj im zagańać!!...

Nagły krzyk targnął powietrzem: wyrwą między wzgórzami pędziła woda z szumem i rykiem w dolinę. Rósł las na zboczu - położyła go jak kosiarz zboże jednym cięciem i leciała tratując powalone pnie. Rozdzieliła się na dwa, na trzy, na cztery ramiona żarłoczne - rozesłała je szeroko, skupiła je znowu, pędząc jedną wielką falą, nieubłagana, straszliwa. Napotkała kępę drzew, porwała je,



straciła, ujęła w górę, miotnęła o ziemię i poniosła na grzbiecie. Przewalały się, ukazując skamieniałym ze zgrozy ludziom to konary, to korzenie, jakoby wołające ratunku. Teraz już pomiędzy grodem a pędzącą falą nie było nic - jeno puste błonie, a na tym błoniu samotna, szczupła postać starej kobiety w zakonnym ubraniu... Ona zaś poczuła, że nogi wrastają jej w ziemię jak głązy, a ciało całe staje się jakby słupem kamiennym - i, podniósłszy krzywą laskę, uczyniła znak krzyża na prawo i lewo - i rozpostarła ramiona, czekając.

Nadleciała pierwsza fala, wirując drzewem wyrwanym, zgrzywiona, schrypła od ryku, zajadła, i - stanęła niby wryta... Nadleciała za nią druga, wskoczyła pierwszej na kark, zezłoszczona, i stanęła również... Pchnęły się za nimi rozjuszony wały, niosły murem sięgającym wyżej głowy i hucząc, kołując - stanęły.

Niby koń spięty ostrogą podniosła woda zapieniony łeb, by niewidzialną zaporę przesadzić i zwalić. Zerwały się, rozhuśtały, rozklekotały i runęły fale... Dopadły z tyłu świeże napastnice, podjudziły wrzącą wodę, wzdęły się, wzmogły - porwały... Wał wodny stanął aż pod niskie chmury i zlał się w jedno z nimi... Wygięła się ściana z pluskotem i świstem, zatrzęsła groźnie w górze ubieloną pianami głową - wyskoczyła jeszcze wyżej, plunęła wodą ku niebu - lecz wyższa jeszcze była niewidzialna tama, zakreślona znakiem krzyża ręką starej kobiety.

Przycichła woda na moment, skupiła się w sobie zdumiona - i w owej ciszy na wpół żywi z lęku ludzie usłyszeli słowa księżnej:

- W imię Boga wszechmogącego, Boga miłosiernego, nie postąpisz piędzi dalej!

I wzniosłszy rozpostarte ramiona do góry, zaczęła iść z wolna ku ścianie, jak gdyby chciała w nią wejść. Rozległ się raptowny szum: woda z łoskotem zwała się na bok, złościąc sobie poprzez pola ujście do dawnego łoża, zawracając coraz szybciej, coraz to potężniej. Malał wał wodny, nikał, aż opadł całkiem. Nad wykopaną przez wściekły nurt wyrwą klęczała księżna w modlitwie, zaś woda z szumem i pluskiem rwała błoniami ku rzece.

# LEGENDA O ŚW. ANDRZEJU

Pozdrowiony bądź Krzyżu, męką Pana uświęcony, członkami Jego, jak klejnotami, zdobiony... Idę ku tobie radośnie, spokojny, przyjmij mię i oddaj Panu... O piękny, o dobry Krzyżu, o umiłowany...

Stojąc w drewnianej, rzeźbionej stalli, ojciec Sylwester odczytywał te słowa z Martyrologium patrona dnia, którym był święty Andrzej Apostoł, wyjęte. Czytał z wolna, nie iżby był nieukiem, lecz że ozdobne litery powikłane były w księdze aż nadto misternie, a dmuchający przez szczeliny okien wiatr chwiał płomieniem zatkniętego za jego plecami łuczywa. Wokoło w ławach siedzieli ojcowie, słuchając czytania w milczeniu. Słowa ślizgały się wedle ich uszu, nie przenikając do wnętrza, jak dźwięki znajome, powszednie. Niektórzy drzemali cicho, radzi ciepłu idącemu od komina. Za wysokimi oknami szafirowe niebo malowało świeżo spadły śnieg, co pokrył grubym kozuchem równinę. Po całodziennym śnieżycy wichur wytrząsał jeszcze nad ziemią ostatek swej złości, a w oddali, za pasmem wzgórz, bezkresne oceanowe roztocza, niestrudzone walką z wichrem, biły brzeg wyżerając skały, hucząc i grmiąc, nierade nastającej nocnej ciszy.

„Panie, nie pozwól, abym żywy zeszedł z tego drzewa... Czas już, czas, by nędzne ciało moje wróciło do ziemi. Dźwigałem długo ciężar ciała mego w utrudzeniu, postach i czuwaniu... Starłem się wedle mych sił opierać jego pokusom, lecz upadałem co krok... Bez Twojej pomocy pochłonęłoby mnie i pożarło... Upraszam Cię więc pokornie, odbierz już ciało ode mnie... Niech je skryje matka ziemia i strzeże do zmartwychwstania... Niech duch mój, wolny nareszcie, wzleci swobodnie ku Tobie”...

Tak w dalszym ciągu odczytywał jednostajnym głosem ojciec Sylwester. Wielki duch polatał nad głowami słuchających, którzy jego skrzydlatego powiewu nie czuli. Zadrzemali w spokojnym bytowaniu, złożywszy ręce na kolanach gestem spokojnej bierności. Minęły czasy, gdy Bóg od wyznawców swoich wymagał służby straszliwej, uniesień i ofiar męczeńskich, gdy trzeba było śpiewać wśród płomieni, nieulekłe stać wśród bestyj... Dzisiaj wystarczy odmówić pacierze i przykazania co główne zachować. Dzisiaj dość ciężkim wydaje się chłód korytarza, gdy na jutrznię z twardego snu zbudzić się trzeba i do zimnej kaplicy podążyć. Sobotnia dyscyplina w refektarzu, obojętnie, bezboleśnie opadająca na grzbiety, dostatecznym jest przymusem. Wystarczy to umartwienie, wystarczy aż nadto. Siedzieli nieruchomo, rzędem, pochylając głowy. Każdego z nich w pewnej chwili wywołała z rodzinnego domu, oderwała od pług, od miecza, od wagi - duszna potrzeba zgruntowania tajni, w której skryta jest przyczyna i racja wszechrzeczy. Odeszli w mury klasztorne, by tam nierozproszoną myślą cel swój osiągać w skupieniu i dumaniu nieomylnym. Lecz oto napięta uwaga rozprężyła się powoli jak łuk zbyt długo nagięty i zatracala się w myśli pamięć o otchłani, w którą zejść zamierzał nieulekły duch. Sprzed oczu ginęła wyznia, na którą dusza zamierzała wzlecieć skrzydłami wybielonymi w zaciszu klasztornym. Roślinne bytowanie ogarniało niespokojnych, na wytężone sumienia schodziło błogie lenistwo umysłu i ducha. Godziny sunęły za godzinami, tygodnie za tygodniami. Lata zatracaly treść, bliźniaczo sobie podobne. Przystawał istnieć, przystawał być zagadką dręczącą, bolesną - czas. Ustom, szepczącym pobożnie codzienne pacierze, w dobrotliwym, przyjemnym nawyku, obce stały się uniesienia, trwogi, owe zmagania, wśród których rozrasta się dusza. Owszem, dusze ich skurczyły się i ścieśniły, stając się raczej podobne duszy zwierzęcia lub drzewa.

Siedzący pośród nich opat klasztoru podniósł głowę ponad rzeźbioną poręcz wysokiego krzesła. Był to mąż w sile wieku, o rozumnej, chłodnej twarzy. Sam nosił imię Andrzeja i do patrona swojego osobliwe miał nabożeństwo, przeto z poczucia obowiązku nasłuchiwał słów gorejących ogniem, któremu żaden odblask z serc słuchaczy nie wtórował.

- Zaprawdę, był to jeden z najprzedniejszych świętych - rzekł z uznaniem, gdy ojciec Sylwester, skończywszy czytanie, zamknął z hałasem księgę na grubą klamrę miedzianą i zszedł ostrożnie z katedry.

- Powiadają - potwierdził ojciec Innocenty - że w grobie tego Apostoła, w szczęśliwym mieście Patras znajdującym się, pokazują się rokrocznie manna i wonna oliwa, z ilości których wróżą, czyli rok będzie urodzajny czy jałowy...

- Ongiś tak było, bo wszakże ciało Apostoła przeniesione zostało z Patras do Konstantynopola...

- Ciało zabrano istotnie, lecz oliwa i manna zostały, o czym obszernie napisał patriarcha Metody...

Ożywili się, radzi rozmowie.

- Wielki to święty, nie większy wszakże chyba od świętego Mikołaja z Myru, który niemowlęciem będąc wstrzymywał się od ssania matczynej piersi w środy i piątki - jako historia zapewnia...

- To inna rzecz, a to inna - odparł żywo ojciec Rafał, któremu nieobyczajnym się zdało stawianie drugiego świętego wyżej opatowego patrona. - Andrzej Apostoł dojrzałym już mężem będąc napotkał Chrystusa Pana, jakoż tedy mógł pościć w wieku niemowlęcym? Nie zliczyłbyś cudów Andrzejoych! Wiadomo, jako raz przeprawiali się ku niemu ludzie, by światło wiary otrzymać, czym rozgniewany szatan wzdał fale morskie i czterdziestu młodzieniaszków zatopił. Lecz Apostoł kazał morzu oddać trupy, a ułożone posłusznie na brzegu przez fale powołał znowu do życia...

- Niektórzy prawią, że wskrzesił ich wtedy nie czterdziestu, ale czternastu...

- Niesłusznie prawią... Nie śpiewamyż w hymnie:

„Quaterdenos ivenes

submersos maris fluetibus

vitae reddidit usibus?”

- Wiatr ucichł pod wieczór, a ninie zrywa się znowu, jakby szatan i dzisiaj chciał łodzie jakowe zatopić...

- Hej, zatopi on niejedną!... Diabelski to brzeg!

- Pono za czasów pogańskich mieszkaly na wyspie dziewice, które czarami zaklinały morze, iżby było łagodniejsze. Teraz zasię nikt morzu niczego nie wzbrania. Trza by tam na skałach relikwie wmurować albo figurę świętego Krzysztofa postawić...

- Myż tu jesteśmy, by trzymać w postrachu złe moce - zauważył z cicha opat.

Rozeszli się, zegar bowiem bił godzinę siódmą. Opat zasiadł w swojej celi przed wielkim pulpitem i, wzięwszy pędzel do ręki, umaczał go w brunatnym tuszu. Naokoło rozwartej księgi stało kilkanaście miseczek z farbami. Niecierpliwie odsunął drewnianą podstawkę służącą do wspierania ręki, pozostawioną przez któregoś z ojców. Jego dłoń nie drżała. Był opanowany, rozumny i silny. Na rozłożonej karcie u góry zrobił kreskę linią, po czym ująwszy lekko pędzelek bobrowy pisał, splatając kunsztowne litery: „Ku chwale wiecznej Boga Najwyższego i Andrzeja Apostoła, doskonałego Jego służy”...

Krzepka dłoń wiodła niezachwianie ostrze pędzla bobrowego przez misterne zawilości inicjałów, gdy myśl, zostawiając oczom pieczę nad rysunkiem, szła gościńcem słyszanych niedawno słów:

„Bez Twej pomocy pochłonęłoby mnie ciało i pożarło... Błagam Cię, Panie, zabierz już ciało ode mnie... Niechaj nie zejde żywy z drzewa krzyża”...

„Pochłonęłoby mnie i pożarło”... Ejże - myślał rozważny opat - zbytnia to chyba była skromność doskonałego służy Bożego. Ciała pokusy są wiotkie i duch męski snadnie sobie z nimi daje radę... Czyż nie opanowałem ich za młodu i żywie od lat bezpieczny?... Czyli istotnie doskonały służy podlegał stawianym przez ciało pokusom?... Dziwi mnie to i zdumiewa... Jakże są one słabe i nietrwałe, jak mało pożądanym owoc ich - grzech! Pogański mędrzec Marek Aureli słuszniejsze miał o tym pojęcie, określając w swych księgach rozmyślań istotę i marność pokusy... Umysł, doszedłszy pewnej wysokości, z pogardą patrzy na to, co pożądanym może się zdać jedynie młodzieniaszkowi...

Zmienił pędzel i umaczał go w złocie, drobnutkim brzeżkiem rozjaśniając brunatność napisu. Dwie świece chygotały przed nim płomieniami, płonąc to żółto, to znowu błękitno. Barwista otęcz drgała naokoło, wsiąkając brzegiem w mrok wypełniający celę. Cela była wysoka, niekształtna, o trzech ścianach półokrągłych, z których wyrastały kolumny, niby drzewa z gęstwi lasu. Była to część rzymskiej budowli, stawianej w czasach, gdy pobliskie miasto Vannes zwane było Dariorigum. Według twierdzenia jednych budowla ta była łaźnią, a według drugich - świątynią bogini Diany. Uczony opat zbadał już tę sprawę i spór rozsądził. Były to termy, owszem, do których przytykała mała świątynka, nie Diany, ale Wenery, bogini miłości i żądy. Za panowania Gradlona, wnuka Meriadaca, przerobiono te mury na klasztor. Ślady epistylionu znaczne były jeszcze wmurowane w ścianę, a tryglify wsiąkały w powagę wyniosłych pilastrów - lizen. Cegły, przesiąknięte wonią i gorącą parą dymiącą z ciał odpoczywających w termach, weszły w skład łuków, które unosić miały duszne modlitwy i nieść je ku niebu. Było to wiele lat wstecz i mało kto o tym wspominał... Teraz, gdy opat barwił złotem szlak cieniutki, za plecami jego uniósł się cień wąły, jakoby westchnienie mary. A on, nie czując obecności niczyjej, snuł dalej swe myśli rozsądne, misternie barwiąc napisy.

Nie ulega wątpliwości - dumal - że w pokusach opisywanych przez pustelników i świętych niemało jest przesady... Nie tak straszne one boje, jako powiadają... Umysł przenikliwy zwalczy je

łatwo ścisłością rozumowania... Bogata wiedzą chłodna myśl mędrca nie wzruszy się żarem pokuszeń ani powierzchowną krasą stworzeń, przez szatana osobliwie wybranych za narzędzie pokusy...

Brat Sylwin zakołatał do drzwi. Opat odwrócił głowę z niechęcią, nierad, że mu pracę przerywają.

- Wasza Przewielebność, jakowaś niewiasta stoi u furty, dopraszając się, izby jej otworzyć...

- Niewiasta?! - obruszył się opat. - Rzeczcież jej, że tu niewiasty nie wchodzą, zaś schronienie może znaleźć w klasztorze Panien Benedyktynek, za wzgórzem...

- Brat furtian już to powiedział, ona wszakże nie odchodzi, twierdząc, że gdyby Wasza Przewielebność wiedziała, kto ona, wnet by ją puścić kazała...

- Choćby była małżonką króla Childeberta, to nic tu po niej w klasztorze...

- Królową ona nie jest, wszakże, Wasza Przewielebność, kto wie, czy nie Księcia Miłościwego córka?...

- Nie zwracajcie mi głowy baśniami - odmruknął opat. Ale brat nie ustępował.

- Ojciec Adaukt ją poznał, któren był w zamku po kweście.

- Nie może być? - zafrasował się opat, zachwiany; tarł głowę, nie wiedząc, co począć. - Wpuśćcież ją do rozmównicy - rzekł w końcu, z żalem spoglądając na zaczęłą stronę księgi. Fałdą habitu starannie wycierał pędzle, gdy brat Sylwin odchodził śpiesznie korytarzem.

- Z nobilów ona, to pewne, zaś ojciec Adaukt... - dosłyszał głos jego opat.

Obtarłszy pędzle, nakrył ostrożnie miseczki, aby kosztowne farby nie wysychały, i przeszedł do rozmównicy. Surowym wzrokiem zmierzył smukłą postać stojącą pośrodku izby. Twarz jej zasłaniał gęsty, czarny kwef. Spod płaszcza ręce białe wysuwały się gestem błagalnym. Uklękła przed opatem, przyciskając do ust fałdę habitu. Różane, długie palce spoczęły na brunatnej szorstkości sukna, przepojonego wieloletnim kurzem. Opat usunął się w bok; krucyfiks zawieszony na ścianie zabłysnął.

- Nie klękaj przed sługą w obecności Pana - rzekł sucho.

Lecz ona nie podniosła głowy, trwając na klęczkach.

- Wysłuchać mnie racz, Wasza Przewielebność - (głos jej był cichy i słodki jak daleki śpiew) - i nie odmawiaj ratunku. Jestem córką księcia Erispoe, pana Armoryki. Uciekłam z zamku, gdyż ojciec mój przymusił mnie chciał do złamania ślubu dozgonnej czystości, oddając w związki małżeńskie...

- Na Boga! Powstańcież, Wasza Dostojność... Uszom się wierzyć nie chce... Córka Miłościwego Księcia w naszych biednych progach... Siadajcie, szlachetna Pani... Dziad wasz, wielki Nomenoe, dobroczyńcą był tego klasztoru... Wierniśmy poddani Miłościwego Księcia Pana... Czego

życzysz sobie, Wasza Dostojność?

- Przytulku, choć na tę noc! Wsłańcy mego ojca szukają mnie wszędzie... Ja zaś przysięgam, iż raczej rzucę się w morze, niżli zatracę dziewictwo... Gdy pogoń ustanie, znajomi rybacy przeprawią mnie na Belle Isle, gdzie znajdę schronienie w klasztorze.

- Rozporządzaj, Wasza Dostojność, nami i tym domkiem naszym - rzekł opat, coraz bardziej sfrasowany.

Powód ucieczki księżniczki godzin był wszelkiej pochwały, lecz gniew porywczego księcia Erispoe mógł klasztorowi dać się srodze odczuć. Wahał się, niepewny, co począć. A że w tej chwili zadzwoniono na wieczerzę, zwrócił się do niespodziewanego gościa:

- Niezwyczajna to rzecz, wszakże racz, Wasza Dostojność przełamać chleb razem z nami.

Zasiedli przy długim stole wybitym cynową blachą, w którym wyrobione były miseczkowate wgłębienia. Brat Rufin, któremu na ten tydzień przypadała gospodarska służba, obchodził stół, do każdej miski nalewając warzachwią gęstą zupę z bobu, kraszoną olejem. Kawał placka jęczmiennego leżał przy każdym nakryciu. Ojciec Innocenty stanął na małym wzniesieniu przed pulpitem, i gdy skończono modlitwę wzywającą błogosławieństwo Boże na posiłek, jął monotonnym głosem odczytywać medytacje, na dzień owy wyznaczone. Ojcowie wyciągali łyżki zza pasków, lecz nie zabierali się do jedzenia ze zwykłą skwapliwością. Krusząc bezmyślnie placek, zerkali cichaczem, rychło przybyła niewiasta odrzuci z lica zasłonę. Ona zaś siedziała z pochyloną skromnie głową, aż nagłym ruchem podjęła długi czarny kwef i powiodła spojrzeniem po twarzach obecnych, zatrzymując wzrok na każdym, póki zmieszany nie utonął oczami w gęstej zupie, dymiącej z miski cynowej. Twarz jej była olśniewająco biała, a źrenice złotożółte jak dwa topazy. W skąpo oświetlonej sali refektarza źrenice te fosforyzowały niby oczy kota. Wydała im się bardzo piękna, piękniejsza nad wszelkie pojęcie. Ojciec Innocenty monotonnym głosem odczytywał medytację, ale mało kto go słyszał. Nie śmiejąc podnieść znów oczu znad stołu, widzieli obraz jej chwycony pod powiekami i wpatrywali się weń w lubym pomieszeniu. Jeden opat nie czekał na chwilę, kiedy gość odrzuci zasłonę; pochylony nad miską cynową, rozmyślał posepnie, jakby uniknąć książęcego gniewu. Równocześnie zaś mądry jego umysł, nigdy nie leniwy, snuł nie piętnastodniowych zjawisk, mających poprzedzić Sąd Ostateczny, które to zjawiska w spisowanej przez się księdze jasno chciał wyłożyć.

„Pierwszego dnia morze wzniesie się czterdzieści łokci wyżej niż najwyższe góry i wstrzyma się, nieruchome... Drugiego zasię opadnie tak nisko, że zginie sprzed oczu... Trzeciego dnia wyjdą z głębi nieznane potwory... Czwartego woda morska zamieni się w ogień...”

Siedząca naprzeciw księżniczka utkwiała uparcie wzrok w jego pochylonej głowie, aż drgnął niecierpliwie, bo ciężar bacznego spojrzenia przeszkodził mu w myślach. Już pomylił mu się dzień dwunasty, w którym spadną gwiazdy, z dniem dziewiątym, dniem zrównania powszechnego gór i dolin. Podniósł oczy, napotkał jej oczy jarzące i opuścił głowę ponownie. Przestał jeść. Dziesiąty dzień splątał mu się w umyśle z piętnastym i szóstym. Już ich nie mógł logicznie rozmieścić. Między straszliwe zjawiska natury mieszała się groźna twarz księcia Erispoe i huczny książęcy dwór, a ponad ten chaos myśli, poprzez skłócone rozmyśły, wykwiatała istotna przyczyna zmieszania: biała

twarz o złotych oczach. Przedziwna, tajemnicza i kusząca. Już w rozegnanych na boki myślach królowała sama jedna. Przyglądał się jej w niemym zadziwieniu. Ciągnęła ku sobie jak głębina wodna oceanu. Nie jestże w niej rozwiązanie dręczących bytu zagadek, nie jestże ona sama najcudniejszą tajemnicą, godną, by nieśmiertelność za jej zbadanie narazić?

Wśród ciszy, która zalegała refektarz, nikt nie zauważył, że ojciec Innocenty przerwał czytanie i utkwivszy oczy w pulpit zamyślił się martwo, jak inni. Trzaskało łuczywo, a zakrzepła dawno zupa przestała dymić z misek. Minuty mijały i ginęły w pustce, gdyż każdy z obecnych nieobecny był, błędząc myślami daleko. Ona jedna tylko, Pokusa, siedziała za stołem zakonnym, bursztynowymi oczami połyskując w cieniu. Biała jej twarz miała blask opalu, a długie palce wyciągały się na stole ruchem pieściwie drapieżnym. Siedziała, wodząc dziwnymi oczyma po wieńcu schylonych głów. Pod strasznym czarem tych oczu brat Rufin uczył, że źrenice napełniają mu się łzami na przypomnienie nagle nie zaznanej rozkoszy domu, ojcostwa, rodziny... Przeciągnął ręce, aż chrzęstnęły stawy, barczysty ojciec Witalis, wspomniawszy znojne, piękne trudy rolne. Z zapomnianych kątów myśli uderzył ojca Sylwestra daleki tętent zwycięskiej gonitwy za wrogiem, rozkosz potyczki rycerskiej i męskiego boju... W oczach ojca Adaukta migotały barwne stroje, wygodny dwór rodzicielski... Wszystkie dobra, porzucone niegdyś dla klasztornego cichego żywota, stanęły im teraz nagle przed oczami, mieniając się, drżąc, barwami tęczowymi grając, coraz cudniejsze, coraz pożądańsze i tęsknoty godne. Szukająca schronienia kobieta zdała się być jednemu słonecznym dniem winobrania, drugiemu sławą wojenną, trzeciemu domem i żoną... Zaś mądry opat o chłodnym umyśle zapatrzył się w twarz jej w głębinie czaszki odbitą - twarz drażniącą, pełną czaru, twarz tej, której poganie stawiali świątynie, i w nagłym osłupieniu zapytywał się, zali istotnie dobrze czyni człowiek, odrzucając precz owoc życia, nie skosztowawszy go wprzód? Zali nie sięgnąć jeszcze do drzewa poznania? Póki czas... póki czas...

Podniósł głowę, by znaleźć odpowiedź w złotych oczach nieznajomej, lecz w tejże chwili gwałtowne kołatanie do drzwi szarpnęło ciszą uroku. Ojcowie drgnęli, zbudzeni. Księga z medytacjami upadła z pulpitu, ojciec Innocenty zmieszany pochylił się po nią.

- Bracie Rufinie, spytaj, kto by tu kołatał - rzekł opat, głosem wyrwanego ze snu.

- Otwórzcie w imię Chrystusa! Jestem Andrzej, sługa Boży - odpowiedział głos za drzwiami.

- Przez litość! - krzyknęła księżniczka. - Nie pozwólcie otwierać, Wasza Przewielebność!! Poznaję ten głos! To wysłańcy mego ojca aż tu przyszli za mną! O, ja nieszczęsna! Nie otwierać! nie otwierać!!

Głos jej miał brzmienie chrapliwe, a szczupła postać gięła się w lęku jak trzcina; długie palce chwyciły powietrze rozpacznie.

- Otwórzcie w imię Chrystusa! - dopominał się pielgrzym za drzwiami, kołacząc coraz zawzięciej.

- Nie otwierać! Śmierć to moja! - jęczała dziko kobieta.

- Nie lza zawierać wrót, gdy wzywa w imię Chrystusa - rzekł opat nieśmiało. - Nie trwóźcie

się tak, Wasza Dostojność, gdyż prawo azylu tu jest, a przeto...

- Nie pozwalam wam otwierać! - zakrzyknęła groźnie. - Ja tu rządzę! Ja tu pani!!

Spojrzał na nią ze zdumieniem i drgnął: olśniewająco biała twarz miała teraz barwy trupie, spalone wargi pociemniały, a żółte oczy stały się nieruchome i zimne jak sówie.

- Święty Andrzeju! - szepnął bezwiednie, strwożony.

- Przyszedłem, nimeś mnie wezwał - odpowiedział zza wrót pielgrzym. - Ocknijcie się, póki czas!!

- Póki czas... póki czas... - szeptał opat zbladłymi wargami.

Odwrócił się ku kobiecie i zimny pot okrył mu czoło. Albowiem nie było jej już w refektarzu. Ojcowie, zbici w gromadę, stali dygocąc z trwogi i żegnając się raz po raz. Raptowny wicher zatrzęsł murami klasztoru, aż ramy okienne szczękały.

Drżącą dłonią przesuwał opat po zbladłej jak chusta twarzy.

- Na Boga! - zawołał nagle - otwierajcie żywo temu, co nas od pokus szatańskich uwolni!!

- Nie ma nikogo u wrót! - krzyknął brat Polikarp.

- Nie może być! Daleko nie odszedł, biegnijcież za nim, prosząc, aby raczył wrócić...

Lecz dwaj ojcowie wrócili po chwili zmieszani.

- Wasza Przewielebność! Śnieg, co w dzień upadł, leży podle furty gładki nie ruszony... Nie masz na nim śladu stopy ni pielgrzyma, ni niewiasty... Nie przychodził tutaj nikt...



# ŚWIĘCI JOZAFAT I BARLAAM

Awenir, potężny władca Sagali, przechadzał się z wolna po pałacowym tarasie z doradcą swoim i powiernikiem, Barlaamem. Dwaj niewolnicy stąpając lekko jak cienie, osłaniali głowę króla wielkimi wachlarzami z piór w złoto oprawnych. Na stopniach tarasu siedzieli w kuczki grajkowie, snując pieśń dawną, pochodzącą z kraju Brahmów. Grali na pięciostrunnych magudi i sześciostunnych sarungach, a lśniący pot okrywał brązowe członki. Od płomiennego nieba bił żar, choć wieczór się zbliżał, i urwiste skały na przeciwnym brzegu rzeki płonęły krwawą purpurą, a obrzeżały się złotem. Na gorącej czerwieni tych skał pracował usilnie tłum ludzi i król przystanął, by śledzić z uwagą ich ruchy.

Od wielu obrotów miesiąca patrzył w wolnych chwilach mądry król z wyżyny swojego tarasu na pracę tę, ważną i żmudną. Z ciekawością baczył, jak skazani na ciężkie roboty chrześcijanie kuli w żywym cieple granitowych gór długie, wąskie szpary, po czym ściągali pod górę paliwo i na szczycie skały rozkładali wielki ogień. Nocami widne były one stosy płonące na górach w dalekich siedzibach Kuszanów i hen, po dziedziny niezwykniętej niegdyś dynastii Ulanoyów.

Gdy ognie wygasły, pięli się znowu cisi pracownicy, obuci w sandały z poczwórnej skóry bawolej, i na rozpalony kamień lali wodę w wykute poprzednio szczeliny. Po czym ryse, rozsadaną ulatniającą się straszliwą siłą wody, rozpierali ostrymi klinami, aż potężny słup kamienny odrywał się od podstawy i z hukiem, niby odtracony Tytan, spadał ku łęgom nadbrzeżnym. Tam już czekali kapłani, a obchodząc głaz wkoło, znaczyli go czterokroć krwią ofiarną byka, by ducha skały ubłagać i zwalonego olbrzyma uczynić życzliwym, rękoma rzeźbiarskim podatnym, ludzkim poczynaniom powolnym. Wnet przystępowali co najbieglejsi rzeźbiarze, wśród huku młotów i obłoków pyłu ciosając w głazie ozdobną głowicę, równając flanki, na szerokiej płaszczyźnie przodowej kując napisy ku wieczystej chwale zgasłego władcy Sagali, króla Archirusa, syna Gondafara a ojca Awenira, który oby wiecznie żył.

Więcej niżli sześć miesięcy trwało ciosanie ogromnego głazu, a miało ich być siedemdziesiąt dwa, tyle lat bowiem panowania liczył zmarły król. Gdy rzeźbiarze skończyli swą pracę, wielkim wysiłkiem czterystu par ramion podkładano pod kamień mocną pleć z bambusów, związanych tęgo palmowym łykiem moczonym, czterysta par ramion chwyciło za przypięte do tej tratwy bambusowej liny i szarpało się długo w daremnym wysiłku, zanim głaz zadrżał i posunął się po ziemi. W niezmiernym trudzie uciągnięto go czasem przez dzień dziesięć piędzi, czasem zaledwie dwie piędzie. Nad bystrymi falami rzek wraz z krzykiem ptactwa wodnego wznosił się świszczący chór zmęczonych płuc i trzaskanie batogów dozorców. Tak sunął ów słup kamienny, strojny w napisy ku chwale króla Archirusa, przez wiele tygodni, aż wyoranym w ziemi ciężkim szlakiem docierał skraju szerokiej drogi królewskiej. Tam ciemniały zawczasu wykopane przepaściste doły, i gdy głaz dotknął stopami brzegów jamy, puszczano przepojone krwawym potem liny, by przełożyć je ku przeciwnej stronie, i padając z wyczerpania, rżąc w straszliwym wysiłku, dźwigać z wolna słup kamienny, ażby stanął prostopadle - zarysował się wyniosłym obeliskiem na tle nieba, przewyższył drzewa rzeźbioną głowicą i z szelestem osunął się w jamę, w której, otoczony ziemią po kolana, tkwiłby już na wieki wieczne.

Król Awenir, gładząc malowaną na szkarłatny kolor brodę, którą przebiegał lekki wiew

wachlarzy - patrzył uparcie na tłum szarych ludzi, pozornie stojących na miejscu, w istocie ciągnących szósty z rzędu głaz wytartym w ziemi wężem. Bose ich nogi grzęzły w pyłe czerwonym. Co dwa obroty klepsydry puszczały liny, by chwilę odpocząć; wtedy jedni padali bezsilnie, przywierając moką pierś do rozdartej piersi ziemi - inni zaś stali, chwiejąc się i nieprzytomnie przecierając mgłą zasłone oczy. Wnet krzyk dozorców wzywał ich do dalszej pracy i karnie, skwapliwie ujmowali znowu liny dłońmi szerniałymi od nabiegu żył.

- Mozolny to trud - zauważył obojętnie powiernik królewski, Barlaam.

- Każda rzecz wielka potrzebuje trudu - odparł z wolna król Awenir, który nie tylko władcą był, ale i mędrce. - Trudu i niemałych ofiar. Nędzne robactwo chrześcijańskie, z poczucia wszelkiej godności wyzute, niechże przynajmniej w ten sposób, wbrew woli, spełni czyn godny człowieka. Ściągnięte przez nich głazy, głosząc nieśmiertelną chwałę króla Archirusa, dziedzica Seleucydów, trwać będą przez czasy, urągając wiekom. Jestli zaś na świecie rzecz godniejsza pogoni i trudu niżli uwieczniona wielkość? Rozbłysnąć sławą i umocnić ją przez wieki, przekazując pamięć czynu, co nie miał sobie równego; rozgłosem dumy wstrząsnąć wyobraźnią ludów...

- O, panie mój dobrotliwy, żyj wiecznie! - rzekł Barlaam. - Zaiste, tak jest, jak mówić raczyłeś. Lecz gdy siedemdziesiąty drugi słup stanie stróżować nad drogą, zaczniemy kuć chwałę twoją nie w słupach kamiennych, ale w samych górach żywych. Czymże są owe pomniki, z takim mozolem stawiane? Wieluż władców stawiało podobne!... Dla twojej chwały, panie mój - nie dosyć; trzeba nam stworzyć rzecz wielką, nie mającą równej sobie; przekujemy szczyty gór...

- Nieśmiertelnej sławy Gondofares, król Sagali, miał myśli twoim podobne, Barlaamie. Pragnął wznieść dla siebie pałac, który by wszystkie budowle istniejące na świecie przewyższył, niepodobny żadnej z nich, ni wykonaniem, ni kształtem. Zebrawszy skarby ogromne, wysłał powiernika swego, roztropnego Abbanesa, by szukał po krajach dalekich godnego budowniczego. Lecz Abbanesa oszukał Hebrajczyk pewien, za budowniczego się podający, którego zwano Tomaszem, i pałac wzniesiony nie został.

- Żyj wiecznie, najdobrotliwszy królu mój i władco! Jakże lekkomyślnie postąpił roztropny Abbanes, powierzając rzekomemu budowniczemu tak ogromną pracę!

- Lekkomyślnie zaprawdę. Należy jednak dodać, że zasnawszy w podróży miał sen, w którym ujrzał sędziwego Hebrajczyka, stojącego z kielnią w dłoni, i głos usłyszał mówiący: „Ten ci jest budowniczy ponad wszystkich lepszy”. Nie dziw więc żaden, że gdy w dwa dni później zgłosił się także sam Hebrajczyk, budowniczym być się mieniąc - wiódł go Abbanes szczęśliwy do króla Gondofaresa, ani przypuszczając podejścia... Król Gondofares powierzył skarb niezmierny budowniczemu, zwanemu Tomaszem, i polecając pośpieszać z robotą, ruszył na boje zwycięskie z plemieniem scytyjskim Kszatrapów. Zaś Tomasz rozdał skarb królewski między najnędzniejszych niewolników państwa, między jeńców lub życia niegodne kaleki, a rozdawszy chodził wśród ludu głosząc naukę Nazarejczyka Chrystusa, którego jakoby był uczniem. Wymową, a może czarami, opętał ludzi niemało. Gdy po dwu latach niezwykły dziad mój, król Gondofares, powrócił z wyprawy - nie znalazł śladu pałacu, skarb był roztrwoniony, a w kraju dotychczas spokojnym, bujnie wzeszedł przeklęty posiew chrześcijaństwa!

- Hebrajczyk uciekł zapewne przed powrotem króla?

- Nie, miły Barlaamie, Hebrajczyk nie uciekł. Czekał, owszem, na króla, stojąc na placu pod budowę przeznaczonym, „Witaj, wielki władco! - rzekł. - Za skarb, który mi oddałeś. zbudowałem gmach nad gmachy, nie w tym jednakże, ale w innym świecie; nie na tym placu, ale ponad obłokami. Gdy dusza twa ciało opuści, ujrzysz moje dzieło i błogosławić mi będziesz przez wieczność”.

- Żyj wiecznie, najcnotliwszy panie mój i królu! W jaki sposób ukarano zuchwałego Hebrajczyka za zbrodnię, popartą szyderstwem? Boć żaden człowiek żyjący pałacu nad obłokami nie wzniesie...

- Hebrajczyk odszedł cało, miły mój Barlaamie. Albowiem, gdy go wiedziono na męki weszła pierwsza małżonka króla Gondofaresa, prawiąc, iż widziała we śnie pałac ów, przez Hebrajczyka Tomasza wzniesiony. „Gmach ten ma tysiąc siedemset siedem sal - rzekła. - Ściany nie są z marmuru, cegły ni kamienia, ale z koralu i pereł. Największa zaś sala ma ściany z diamentów. Lśnią one niby łązy zaschłe. Dniem i nocą w komnatach panuje jakowaś jasność słodka, choć kaganków ani świeczników płonących nie widać. Woń cudowna, podobna woni puszczy wiosną, napełnia cały gmach.” Gdy tak mówiła, zatrwożył się król Gondofares, nie wiedząc, co jest w tej sprawie prawdą, a co złudą, i puścił Hebrajczyka wolno... Słyszano, że poszedł na południe, szerząc wszędzie chrześcijaństwo, aż w odległym państwie Koromandelu włócznią przebity zginął. Niektórzy znów powiadają, że magiem będąc zginąć nie mógł i dotąd żyje.

- Gdy siedemdziesiąty drugi kamień ku czci najdostojniejszego króla Archirusa ściągnięty i obrobiony zostanie, zbudujemy, o najsprawiedliwszy z władców, pomnik niezrównany, nie szukając obcych budowniczych po dalekich lądach.

- Tak jest, zbudujemy, Barlaamie. Nie będziemy ślali posłów na dwór Vasudewy ani w żelazne granice świętego imperium rzymskiego. Z własnej głębi obmyślimy wiecznotrwały pomnik, który by zadziwił wszystkie ludy świata, a dzieje nasze głosił. Razem go stworzymy, miły mój Barlaamie... O, jakżem codziennie wdzięczny bogom, że zmuszony przez długie, przydługie lata panowania wspaniałego ojca mego, króla Archirusa, pędzić życie mędrca i wędrowca, nauczyłem się kosztować słodczy przyjaźni, zazwyczaj władcom nie znanej! Przyjacielu mój, Barlaamie! Tyś jest filarem mego panowania. Przenikliwy twój umysł wspomagał mój umysł w wielu zawitych kolejach. Rydwan twój był zawsze przy moim rydwanie w walce zaciętej z Szasztanem, synem Nahapana, i w walce z Satawahaną, synem drapieżnego Kanhy. Razem doprowadziliśmy tę krainę ku dawnej świetności. Czasy nasze pamiętne się staną i ludy lata od nich liczyć będą, niby od panowania Vikramy lub od panowania Saki. Rządy moje dobrotliwe są jako rządy Asoki, bohaterskie jako rządy Rudramana, syna Dżajadama. Połowa stąd zasługi i chwały dla ciebie, Barlaamie, boś jest odbiciem moim sprawiedliwym...

Tak mówił władca Sagali, Awenir, król i mędrzec, przechadzając się po tarasie, kiedy nagły zmrok wieczorem obsuwał się na dyszącą dziennym żarem ziemię.

Gdy dziewiąty słup kamienny przeciągano coraz to głębszym wawozem, powrócił król Awenir z dalekiej podróży do domu, a patrząc na bogaty swój dwór, oczekujący przed bramami miasta, zapytał zdziwiony:

- Gdzie Barlaam?

Po czym, nogę uwolnioną ze złocistego strzemia stawiając na zgiętych nisko karkach niewolników, powtórzył niecierpliwie:

- Gdzie jest sprawiedliwy Barlaam, prawa ręka moja? Zali nie wie o moim powrocie?

A nie słysząc odpowiedzi, zmarszczył groźnie brwi.

- Chcę znać prawdę o Barlaamie! Gdzie jest i czemu nie wita mnie z wami?

Lecz oni ciągle milczeli, schyleni kornie w pokłonie, aż rozgniewany król zawołał:

- Wszystkich pod topór pošlę, źli, niewierni słudzy, jeśli mi nie powiecie prawdy o Barlaamie! Żywli jeszcze czy zmarł?

Natenczas sędziwy Gotamiputa, wódz hufców rycerskich, padł twarzą u stóp królewskich, mówiąc:

- Żyj wiecznie, najszlachetniejszy synu słońca, panie nasz! Żywie Barlaam, ale nie masz go pomiędzy nami. Nie żądaj prawdy o nim, który niegodny jest łaski i pamięci twojej...

Zamyślił się mądry król.

- Zbrodnię jakąś popełnił i lęka się gniewu mojego - rzekł. - O nierozsądny! Idźcież co żywo rzec mu, że miłuję go dosyć, by przebaczyć każdą zbrodnię. Niechaj przychodzi co rychlej. Nie lubę mi sława i panowanie, gdy ich z Barlaamem nie dzielę.

- Barlaam chrześcijaninem został, wielki królu - wyszeptał Gotamiputa, całując sandały złociste.

- Na głowę twą, skłamałeś! - rzekł król w osłupieniu.

- O, panie życia naszego, żyj wiecznie! Czyż śmiałyby wargi moje kłamać w twym obliczu?! Barlaam chrześcijaninem został, przed ostatnią porą dżdżystą. Powiadają, że opętał go stary niewolnik, którego, zobaczywszy konającego na drodze, Barlaam wnieść kazał do swojego domu. Niewolnik umarł, zaś Barlaam, wdziawszy jego szaty, poszedł z dobrowoli kuć skały na górze. Racz sam spojrzeć, najdostojniejszy nasz władco, na niewolników ciągnących kamień przy drodze, a poznasz Barlaama wśród nich.

Więc król wyteżył wzrok w stronę strudzonego tłumu, a rozpoznawszy wyniosłą postać przyjaciela, zakrył lica krajem purpurowej szaty i zapłakał gorzko.

Odjął ręce od twarzy, mówiąc:

- Biada temu, kto wycisnął łzy królewskie! Idźcie i sprowadźcie tu Barlaama, niegdyś powiernika mego.

Lecz gdy przyszedł Barlaam, dawny druh królewski, zlany potem, w szarej, nikczemnej opończy, opuścił króla Awenira gniew i rzekł z wielkim żalem:

- Tyżeś to, miły mój Barlaamie! Na wszystkie bogi gór świętych i dolin! Jakież straszliwe czary ciebie obłąkały? Zali doświadczyć chciałeś miłość moją? Bacz, byś struny nie przeciągnął!... Zaprawdę, zbyt długo trwał ten dziwny żart. Spiesz przywdziać szaty godowe i chodź cieszyć się wraz z nami z mojego powrotu.

Barlaam pochylił się nisko.

- Nie żart to, o wielki królu, umiłowany mój panie - odparł. - Chrześcijaninem zostałem istotnie. Uwierzyłem w Boga - Człowieka, Chrystusa Nazareńskiego, i miłuję Go ponad wszystko w świecie.

- Miłujesz Go więcej niż mnie? - zapytał król z bólem.

- Tak jest, o panie. Miłuję Go więcej nawet niżli ciebie.

Wtedy Awenir zasłonił sobie lica po raz wtóry.

- O Barlaamie! - zawołał - wśród wszystkich bogów, których czczą bramini, wśród wszystkich bogów Hellady i tych, których czcili Partowie, pradziadowie nasi, nie masz jednego, którego bym nad ciebie przełożył - ty zaś rzucasz mnie dla obcego boga niewolników, którego przed rokiem nie znałeś!

- Miłować Go będziesz i ty, panie, gdy Go poznasz...

- Zamilknij! Zabraniam mówić o nim w mojej obecności! Nie chcę nic wiedzieć o tym nowym bogu, nie chcę patrzeć na twą hańbę! Miłowałem cię, Barlaamie, jako nie miłują władcy. Gdybyś zechciał, byłbym oddał ci córkę za żonę. Podzieliłbym się koroną. Przebaczyłbym każdą winę... Lecz tego ci nie przebaczę! Zdradziłeś samego siebie. Poniżyłeś się. Wolejbym cię martwym widział!... Idź daleko z moich oczu. Nie chcę, byś pracował blisko mnie, pośród nędznego tłumu niewolników. Idź precz, głęboko w pustynię, tak głęboko, bym nigdy o tobie nie słyszał. Niechaj zapomnę co rychlej, że byłeś!...

- Dziękuję ci, panie mój najdobrotliwszy. Obdarzasz mnie po królewsku. Jakimże darem jest wolna pustynia, w której mi mieszkać pozwalasz! Tam urzeczywistnię sen o prawdziwej wielkości, który roiliśmy razem. Gdybyś pozwolił mi mówić!... Czym są te głazy, te słupy rzeźbione! Dziecinna igraszka, śmieszne kopce mrówek leśnych! Ludzie je wznieśli i ludzie obalą. Czas je rozkruszy na proch... Nie poniżyłem się, królu, lecz wzrosłem. Wzrosłem poznawszy, że to jedynie jest wielkie, co wieczne. A cóż ziemskiego jest wiecznym?! Zali ten kamień jest wieczny? zali te mury, przez Aleksandra Macedończyka wzniesione, a już spękane - są wieczne? Nie lepiej w pogoni za chwałą oderwać się od nich najdalej i ducha zarzucić w przestworza? Dosięgnąć i posiąść pałace zaziemskie, podobne wzniesionemu przez Hebrajczyka Tomasza?!... - O, jak piękna jest pustynia! W miarę jak ona ogarnia, świat maleje, człowiek rośnie, sięga nieba. Zamieszkać w grocie skalistej, w przeźroczystym mroku gwiazd. Gdy ciszy nic wkoło nie przerwie, prócz stękania lwa lub dalekiego

skowytu szakala, rozmyślać będę o Bogu Przedwiecznym i o tobie, panie, abys Go zrozumiał. A kiedyś Bóg mój, który jest Prawdą, przyjdzie do ciebie. Jeśli ty się od Niego odwrócisz, pozna Go i ukocha syn twój jedyny. Jozafat. Bóg mój jest Prawdą, która cały świat ogarnie. Żegnam cię, miłościwy dobroczyńco mój i królu. Niech Bóg Przedwieczny czuwa nad krokami twymi i rozjaśni mroki twoje. Idę już, panie...

Gdy kroki Barlaama ucichły, zwrócił się król Awenir do stojących w milczeniu dostojników państwa swego.

- Słyszeliście wszystko - rzekł. - Tedy wiecie, że gniew mój zacięży nad głową tego, który by przy Jozafacie wspomniał Chrystusa Nazareńskiego, Hebrajczyka Tomasza albo też Barlaama. Śmiercią karany będzie, który by dopuścił chrześcijanina przed oblicze królewicza. Chrześcijan pracujących przy słupach kamiennych zastąpić należy co rychlej jeńcami, chrześcijanie zaś niech rąbią drzewo w puszczy oddalanej... I jeszcze wiedzcie: gniew mój spadnie i na tego, który by przede mną o Barlaamie, dawnym doradcy moim, wspomniał.

Minęło wiele lat i trzydziesty szósty z rzędu słup kamienny, strojny w napisy ku chwale króla Archirusa, stanął wzdłuż drogi królewskiej, zaś długa broda króla Awenira stała się pod czerwienią farby biała jak śnieg spadły w górach. Zdarzyło się wtedy, że królewicz Jozafat miał sen, który napełnił duszę jego niepokojem, zaś kapłani i magowie nie umieli snu tego wyjaśnić. I zdarzyło się, że raz, gdy miesiąc wielki, srebrzysty wypłynął spoza dachu świata i czarodziejskim światłem oblał krainę Sagali, do królewiczowej komnaty wszedł z nagłą człek stary, o długiej brodzie i spalonej twarzy.

- Jestem Barlaam z pustyni, którego niegdyś miłował dobrotliwy król Awenir - rzekł do Jozafata. - Imię twoje, królewiczu, znaczy „Sprawiedliwy Sąd”. Słuszna tedy, abys oczy tumanem niewiedzy zamglone przetaił i ujrzał Sprawiedliwość i Prawdę istotne. Ja, który znałem cię dzieckiem, otworzę ci oczy w imię Boga chrześcijańskiego, Jezusa Nazareńskiego.

- Nie słyszałem nigdy imienia twojego, choć prawisz, że znałeś mnie dzieckiem - odrzekł królewicz zdziwiony. - Nie słyszałem również nic o Jezusie Nazareńskim. Nieznacznym to musi być bóg, skoro imienia jego nigdy nie spotkałem.

- Opowiem o Nim - rzekł Barlaam - gdy ci sen wyłożę. Opowiadaj twój sen, królewiczu.

- Sen mój był dziwny, zaiste. Widziałem we śnie człowieka, który nie był mną, lecz czułem, cokolwiek on czuł, jak gdyby niewidzialne więzy łączyły mnie z nim. Człowiek ten chodził beztrąsko nad urwistym skrajem góry, gdy z ciemnej puszczy wypadł k'niemu jednorożec. A człowiek, którego lęk ścisnął lękiem moje serce, obsunął się nogą w ucieczce i leciał na dno przepaści. Sądziłem, że zginął, ale on w trwodze śmiertelnej uchwycił ręką krzak głogu i na nim zawisnął. O, jakże straszny był los nieszczęśliwego. Wątki krzak giał się i trzeszczał, a co gorsza, odkryte jego korzenie podgryzały dwa szczury - jeden czarny, jeden biały. Widziałem ostre ich zęby, przecinające miękką tkankę drzewną w cierpliwym, ciągłym wysiłku. Gdy człowiek, oblany zimnym potem, daremnie szukał dla stóp oparcia w otchłani - ujrzał nagle spływające po krzaku krople miodu dobywające się z pszczelnej barci skalnej. I zapomniawszy o trwodze, jął zlizywać miód, śmiejąc się jak dziecko. Czułem w ustach słodycz miodu, jakobym sam go smakował. A w tejże chwili oba szczury dokonały

swojej pracy i człowiek opadł w głąb otchłani... Taki był mój sen, stary wędrowcze z pustyni. Wzywam cię, w imię wszystkich bogów, byś go wytłumaczył.

- W Imię Jedynego Wszechmogącego Boga Prawdy wytłumaczę ci twój sen. Jest on tak prosty i przejrzysty jak woda źródłana: Człowiek, którego widziałeś, przedstawia ród ludzki - jest tobą i każdym, który nie zna Prawdy. Jednorożec - to śmierć, która spotyka każdego, a otchłań to wieczność. Krzak głogu - to życie krótkie i znikome, które szczur czarny nocy i szczur biały dnia podgryzają powolnie, ale nieustannie. Miód - to uciechy i rozkosze życia; człowiek nieopatrzny raduje się nimi, nie dbając o przepaść, w którą runie za chwil parę... Widziałeś we śnie obraz ludzkości obłąkanej i szalonej - królewiczu, którego imię oznacza „Sprawiedliwy Sąd”.

- Nie pojmuję dobrze tego, co mi mówisz, ale ze słów twoich bije coś, co mnie zniewala. Kto ci tę siłę nadał, stary pustelniku?

- Bóg mój, który jest Bogiem Prawdy, Jezus Chrystus... On daje siłę słabym, radość smutnym, a odejmuje lęk przed śmiercią i cierpieniem.

- Powiedz mi tedy wszystko, co wiesz o Nim.

Przeto Barlaam z pustyni jął opowiadać królewiczowi o Bogu Jedynym i mówił całą noc. Czuwające na tarasie straże widziały przez rzeźbione otwory okienne tajemną ową rozmowę i dziwiły się zasłuchaniu królewicza i światłu nad głową starego wędrowca.

Nazajutrz, skoro tylko świt zaróżowił niebo, odszedł Barlaam na pustynię, zaś królewicz Jozafat tak rzekł do ojca swego, króla Awenira:

- Dostojny, dobrotliwy królu mój i ojcze! Barlaam z pustyni był dziś w nocy u mnie i odkrył mi Boga Prawdy, Boga Wszechmogącego, Jedynego Pana nieba i ziemi. Wyznawcą Jego zostałem. Pozwól, bym opowiedział ci o nim, byśmy Go razem chwalili w weselu.

Lecz król Awenir zakrzyknął:

- Biada mi! Oto Jezus Nazareński, wróg, którym pogardzam, wszedł znowu do domu mego! Niebaczne są słowa twoje, Jozafacie, bo wiedz, że piętnaście lat temu, gdy Barlaam uchodził w pustynię, rzekłem, iż raczej ujrzę ciebie martwym niżli chrześcijaninem.

A królewicz na to:

- Królu mój i panie! Ciało moje do ciebie należy i czyn z nim według ojcowskiej twej woli. Zauważ jednak, że niełatwo jest nastraszyć wyznawcę Chrystusa. Gdyż Chrystus odejmuje miłośnikom swoim przyrodzony ludziom lęk przed śmiercią, cierpieniem lub utratą bogactw. Czymże więc zagrozić możesz?

- Zejdź z moich oczu! - odparł król z rozpaczą. - Na wszystkie bogi Indyj i Iranu! Nie rozleję własnej krwi...

- Więc pozwól mi iść na pustynię do Barlaama, dobrotliwy ojcze. Okaż mi tym łaskę swoją.

Jestem jak człowiek, który umierał z pragnienia, a ukazano mu nagle źródło wody żywej. Pragnę pić ją do sytości, pragnę się w niej zanurzyć. Pozwól mi iść na pustynię...

Ale stary król opanował już swój żal i okazując twarz spokojną rzekł:

- Jakże cię puszcze, synu, na pustynię, skoro jedynakiem jesteś i rządzić masz po mnie dziedzictwem? Zostaw mi tydzień czasu do namysłu. Za tydzień oznajmię ci królewskie moje postanowienie. Przez ten czas nie staraj się widzieć z Barlaamem i nie opuszczaj swoich komnat.

Po czym król Awenir zwołał na Radę dostojników państwa swego i zasiadłszy na wysokim tronie, rzeźbionym w kości słoniowej i złocie, tak zaczął:

- Szlachetni Kszatriowie! Królewicz Jozafat został chrześcijaninem za sprawą Barlaama, niegdyś powiernika mego, i chce iść za nim na pustynię. Nazywają mnie ludy dobrotliwym, w istocie zaś jestem słaby, nie umiem siłą odwieść królewicza od tego zamiaru. Kazałem mu czekać tydzień... Radźcie, jako przez tydzień uleczyć syna mojego z obłędu.

- Królewicz jest młody - odparł sędziwy Gotamiputa - i snadno przyjdzie odprowadzić umysł jego w inną stronę... O, królu sprawiedliwy, żyj wiecznie! Racz wysłuchać myśli mojej. O dwa dni drogi puszcza od Sagali mieszka mag pewien, którego nazywają Nachor. Posiada on tajemnicę odmieniania swojej twarzy na podobieństwo każdego człowieka. Sprowadzimy go, by się podał za Barlaama. Rzekniesz królewiczowi, że Barlaam, schwytany, będzie publicznie bronił wiary swojej. Zaś Nachor, zrazu broniąc, przed groźbami zaprze się Chrystusa i bogom ofiarę złoży. Co zobaczywszy, królewicz odejdzie z pogardą w sercu, uleczoney.

- Nagrodzę cię po królewsku, sędziwy Gotamiputo - odparł uradowany król. - Poślij natychmiast gońców po maga Nachora.

- Synu mój - rzekł nazajutrz król do Jozafata. - Barlaam z pustyni, który cię swoim obłędem zaraził, jest w moim ręku i za chwil parę będzie bronił swojej wiary wobec zebranych mędrców i kapłanów. Pójdź, posłuchamy, co prawi, a może i ja, usłyszawszy go, uwierzę w naukę Chrystusa.

Gdy, wszedłszy, zasiedli na wysokich tronach, wystąpił Nachor na środek komnaty i skłonił się nisko, unikając wzroku Jozafata, ten zaś rzekł:

- Szata jest Barlaama i broda, i rysy, a jednak nie zdajesz mi się być Barlaamem, jeno obcym, nieznanym człowiekiem.

- O, królewiczu, żyj wiecznie! - odpowiedział Nachor. - Jam to jest Barlaam z pustyni, który byłem u ciebie onegdajszej nocy; czyż mnie nie poznajesz?

- Gdybyś był Barlaamem, nie mówiłbyś do śmiertelnego człowieka: „żyj wiecznie”, gdyż wiecznym jest tylko Bóg - odparł surowo Jozafat. - Mów swą rzecz, ale pamiętaj, że biada temu, kto by oszukać pragnął syna królewskiego!

Wtedy najstarszy z kapłanów, złożywszy pokłon przed królem, jał mówić o chrześcijanach, że trucicielami są radości życia. Że czczą bezpłodność, a miłują nędzę. Odrzekają się najpiękniejszych



darów bogów, a burzą państwa i nie szanują monarchów. Są umniejszycielami życia i tchórzami.

Gdy skończył, powstał Nachor, aby odpowiedzieć, lecz oto włosy mu nagle stanęły na głowie, wzrok się zaciemnił, a język uchylił się woli, i miast tego, co chciał rzec, jął opowiadać naukę Chrystusa z uniesieniem i miłością wielką. I zrozumieli wszyscy, że kapłan był w błędzie, i że przez usta Nachora brzmi prawda.

I gdy milczeli w osłupieniu, upadł fałszywy Barlaam na posadzkę i jęcząc wołał:

- Oszukałem cię, synu królewski! Jestem mag Nachor, który miałem w oczach twoich zelżyć i wyprzeć się Chrystusa Nazareńskiego! Moc dziwna splątała mi wargi, że nie wiem, o czym mówiły. Naucz mnie, proszę, tego Boga, którego głosiłem, nie znając...

Gdy stroskany król Awenir zwołał dostojników państwa na nową naradę, wystąpił uczony Szandragupta, mówiąc:

- O, królu niezwycięzony i sprawiedliwy, żyj wiecznie! Nie uczonymi dysputy odwróci się serce młodzieńca. Najmędrsze słowa nie ulecą go z obłądu. Królewicz jest młody i krew ma gorącą; trzeba przeto rozbudzić w piersi jego pożądanie. Ono zabije pragnienie pustyni i rozważania smutne o wieczności. Kapłan Theodas, znający wiedzę tajemną, niechaj wywoła i zaklnie demony pożądliwości, przyobleczone w najcudniejsze kształty ziemi. Nie było dotąd żywego człowieka, który by się ich czarowi straszemu oparł.

W nocy, kiedy spał Jozafat, śniąc o szerokiej pustyni, zbudziło go nagle granie słodkie niby woń magnolii. Otworzył oczy i zdumiał się, widząc komnatę pełną tęczowych płomyków, które łączyły się i znów rozdzielały. Patrzył na nie z ciekawością, one zaś rosły i przybierały kształty ludzkie, aż stały się podobne gronu urodziwych dziewcząt, płasających nago po rannej kąpieli nad rzeką. Mleczne ich ciała miały giętkość młodych łodyg, a przeświecały jak koncha perłowa. Ciemne oczy, zamglone obietnicami rozkoszy, zdały się tkliwe jak oczy gazeli, a usta nalane ciepłą, młodą krwią drżały pragnieniem pieśzcoty. Ująwszy się kołem za ręce, śpiewały o rozkoszy gajów, nabrzmiałych siłą bujną, życiodajną, o pięknie rui wiosennych i gonitwach na mchu leśnym.

Królewicz siadł na posłaniu, patrząc na radosny korowód uważnie. I jak gdyby nagle posiadał drugi wzrok, począł widzieć na wskroś nich. Pod tym spojrzeniem, ciepłe, lube ciała zjawisk jęły się wikłać i stawać niby dym mgławcy, spoza którego przeglądała próżnia. Na pozór jędrne, pulsujące żywą krwią, pożądające uścisku rozkoszy, jawiły się omamieniem, złudą, która kryła pustkę. Ciemne oczy, zamglone obietnicami miłości, tkliwe jak oczy gazeli, zdały się teraz pustymi jamami, przez które sączyła się nicość. Ramiona opadły bezsilnie, zwiotczałe, a wskroś oparu kołujących ciał ujrzął królewicz, daleko, daleko, zalaną światłem miesięcznym pustynię, wielką, poważną, surową, i wyciągnął ku niej dłoń...

Nazajutrz, przenikliwy Gunadhya, z rodu Satakarnich, tak rzekł na nowej naradzie:

- Żyj wiecznie, niezwycięzony, sprawiedliwy królu! Królewicz oczami mędrca przeniknął nasłane demony, że uszły strwożone i słabe. Zaprawdę, nieroztropnie było posyłać młodemu bezcielesne zjawy. Człowieka człowiek najłatwiej uwiedzie. Dżanala, córka Kaniszy, jest piękna jak

słońce powstające z gór. Nie zna dotychczas mężczyzny, albowiem miłuje skrycie królewicza. Ochłostana była kiedyś, iż całowała ślady jego stopy w gaju. Dobrotliwy królu! Kobieta żywa sprawi więcej niżli sto demonów.

Twardo spał królewicz Jozafat, gdy zbudził go nagle cichy rzewny płacz. Wsparł się na wezglowiu, pytając:

- Kto płacze?

Lecz odpowiedzi nie było, więc spytał raz wtóry:

- Ktoś jest, który płaczesz?

- Jam to jest, panie, Dżanala, córka kapłana Kaniszy.

- Czego tu żadasz? - spytał zdumiony królewicz.

- Niczego, boski mój panie. Wprowadzono mnie tu, nie wiem czemu, przed wieczorem i skryłam się za kotarą.

- Czemuś to uczyniła, zamiast ukazać mi się od razu.

- Chciałam ci się wpierw napatrzeć, albowiem miłuję cię bardzo.

- A dlaczego płaczesz?

- Bo miłuję cię, panie, więcej niżli życie.

A gdy królewicz nie odpowiadał, zaczęła mówić z lękiem i rozpaczą:

- Nie wypędzaj mnie stąd, panie. Winna jestem, że cię zbudziła. Ale nie wypędzaj mnie. Pozwól pozostać w bliskości twojej do świtu. Nie zbliżaj się, jeśli nie chcesz... Tyś jest życiem moim. Oczy moje tęsknią za tobą od zmiernych do zmiernych. Serce moje na twój widok szarpie się jak ptak złowiony. Gdy przejeżdżasz przed świątynią, patrzę na ciebie skryta za filarem. Potem zasłaniam oczy i chronię się w mroki, by nic więcej dnia tego nie ujrzeć i zasnąć z obrazem twoim pod powiekami...

- Za cóż mnie tak miłujesz? - spytał w zadumie królewicz.

- Za to, żeś jest, panie. Miłuję każde słowo twoje, każdy oddech twój. Niewolnicą twoją jestem, sługą korną, cieniem. Nie pragnę niczego, wiedząc, żeś jest syn królewski. Zbyt szczęścia dla mnie, że przemawiasz do mnie, żeś w pobliżu ciebie. O, gdyby mi bogowie dali umrzeć przy tobie, zanim świt nadejdzie!

- Biedne dziecko! - rzekł królewicz. - Nic ci nie mogę dać za twoją miłość. Umiłowałem Chrystusa i wszelkie sprawy człowiecze stały mi się obojętne i dalekie.

- Czemuż to panie? Wybacz mej śmiałości!... Skąd wargi moje stały się dosyć zuchwałe, by przemawiać w twym obliczu? Prochem wszak jestem, prochem, którym gardzisz...

- Jakże bym mógł gardzić tobą, siostró moja! - rzekł królewicz, kładąc rękę na jej ciemnej głowie. - Gardzić duszą, którą Chrystus Pan odkupił?! Jesteś dla mnie piękna i cenna ponad wszystkie skarby. Wszakże Zbawiciel życie swoje dla ciebie położył. Prochem zaś jesteśmy oboje...

- Więc ośmielę się mówić, panie... Nie potępił Bóg twój, Chrystus, spraw człowieczych. W domu sąsiada mej matki jest dwóch niewolników chrześcijan. Nie obce im małżeństwo, nie wzbroniona miłość. Wiem od nich, że Prorok z Nazaretu błogosławił godom między niewiastą a mężem...

- Tak jest zaprawdę. Ale powolna to droga. Niech sobie inni miłują Boga, miłując zarazem żony i dzieci, i dom. Niech dzielą Bóstwo ze światem. Dla mnie to za mało. Chcę oddać ciało z duszą mojemu Chrystusowi i nic nie chcę znać innego poza Nim. Gdyż nie przystoi synowi królewskiemu dać się w czymkolwiek wyprzedzić. Na to jestem królewiczem, bym innym we wszystkim przewodził. I w gonitwie za chwałą wieczną ubiec się nie dam. Nie chcę powolnej wędrówki z juką doczesności i przystankami ciągłymi. Jak goniec chyży, niosący wieść pilną, minę gospody przydrożne, nęcące świeżością i chłodem, by spocząć dopiero u celu...

- Czy nie żal ci, panie, niczego?

- Nie, nie żałuję niczego. Gardzę ciałem moim, tak znikomym, tak nietrwałym, które samo w sobie nosi koniec swój. Pod gładką, młodą skórą przyczaja się trupia głowa, ten kształt ponury, który straszy dzieci. Czuję ją. Widzę szkielet swój, który jest we mnie... Chciałabyś mnie objąć? Bacz, że lada chwila mogę się stać trupem. Zgniłe ciało sączyć będzie woń okropną, pustymi oczodołami wyjrzy ku tobie robactwo. Czy będziesz jeszcze tego ciała pragnąć, będziesz je miłować? Czy nie odstąpisz z odrazą? A wszakże nieunikniony to koniec każdego ciała. Nie każdy się wzbogaca, lecz każdy umiera. Nie każdego spotyka szczęście, lecz każdego śmierć. Długo starał się ojciec mój ukryć tę prawdę przede mną, lecz ukryć nie zdołał. Skoro zaś koniec podobny musi nastąpić, cóż znaczy, jeśli nastąpi za tydzień, miesiąc lub rok? Jakaż w tym różnica?

- Nie pojmuję dobrze panie, tego, co powiadasz, lecz wiem, że pragnę być z tobą, żywym czy umarłym. Pragnę umrzeć w cieniu twoim. Nie żyć mi z dala od ciebie!

- Możesz być towarzyszką wieczną chwały mojej. O, duszo - siostró! Wejdz za mną na drogę biegu doskonałego, biegu ściętego, ku świętości wiekuistej. Miła współzawodniczko moja! Niechże cię ujrzę u progu świata zbawionego. Idź teraz, idź w pokoju!

- Odejdę, panie. Wielbię ciebie i miłuję bezgranicznie, nieskończenie. Pójdę za twym Bogiem, panie. Czekać będę, gdzie rozkażesz. Zali - skoro ciebie spotkam na drodze tej, której jeszcze nie pojmuję - będziesz mnie miłował?

- Tak jest, towarzyszeko moja. Ukocham cię wtedy miłością pełną, doskonałą... Idź, nie zachwytyj mi czasu, mnie śpieszno. Czas mija, chwila ucieka, a cel jakże jest odległy!... O, jakże śpieszyć trzeba mnie i tobie!... Idź już, śliczna siostró moja...

# W PUSZCZY

Tkwiące prostopadle w wodzie długie cienie olch, przedłużające w głąb aż ku trzewiom ziemi wyniosłość i tajnię lasu, zakołysały się nagle, złamały, drgnęły, spłynęły rozbite na tysięczne części. Nad gładką powierzchnią czarnej wody wynurzyła się krótka, krągła głowa starego bobra, przywódcy żeremia. Rozejrzawszy się bacznie dokoła, podbił się do brzegu tęgimi rzutami łuskowatego ogona. Wylądował, sunąc bezszelestnie ku gromadzie bobrów, ścinających cierpliwie długimi, mocnymi zębami trzy spore drzewa nadbrzeżne. Pracowały już od paru dni niby najbieglejsi drwale, zacinając wprzód drzewo od strony wody głęboko, wgryzając się potem drugim podcięciem z przeciwnej strony, o pięć cali wyżej. Drzewa chwiały się już i trzeszczały. Zbadawszy stan robót, stary bóbr wpuścił się cicho z powrotem do wody i pożegłował ku przecinającej rzekę tamie. Reszta mieszkańców żeremia uwijała się tam gorliwie, przeplatając wkopane mocno w muł pale długimi prętami wikliny, uszczelniając szpary gliną i kamykami, wydobywanymi z dna. Tylko bańki powietrzne, pękające z cicha na powierzchni wody, zdradzały obecność drobnych budowniczych.

Zakonnik, który z wygodnego rozwidlenia olchy z ciekawością śledził żmudną a mądrą pracę stworzeń leśnych, drgnął nagle i oderwał oczy od żeremia, bo tuż prawie pod jego stopami długim, kasztanowatym węzem wychynęła wydra. Spojrzała w niego beztrwożnie żółtym przenikliwym okiem i znikła w jamie nadbrzeżnej. W głębi wody kumkały niezliczone chóry żabie. Milkły zgodnie, by za chwilę podjąć znowu swe nawoływanie, dźwięcznie stukając w szklany pułap wody. W szuwarach gwaro było od wrzawy ptactwa wodnego. Z dala, na przeciwnym brzegu, stękały przewalające się w wilgoci mulistej łosie... Rozległ się trzask i jedna z podcinanych olch runęła w wodę, która szesała, zniosła wnet w jedną stronę cienkie jej gałązki niby rozpuszczone włosy dziwożony. Ruchliwa społeczność bobrowa pokryła zwalone drzewo.

Ojciec Andrzej patrzył na nie zadumany. Smutna gorycz zbyt mądrego w swym doświadczeniu uśmiechu zasępiła jego łagodną twarz, okoloną siwiejącą brodą... Na każdym kroku mając przed oczyma tak cudowne wzory ładu, pracy, dostosowania się i współżycia, czemuż człowiek jeden w nieposkromionej chciwości i pysze staje się zbójem drapieżnym i postrachem świata, wnoszącym trwogę w struchlałe, ufne niegdyś, serce przyrody? Człowiek! Sam jeden jest zły na świecie. Nawet walka o byt, okrutne prawo materii, nieodłączne od istnienia, zabarwione jest w świecie zwierzęcym mądrością i spokojem. Nie jest zbrodnią lub igraszką, ani zemstą, lecz koniecznością życiową. Któryż zwierzę zabija bez potrzeby? Któryż jest upośledzony, pozbawiony możliwości obrony? Przeciw ostrym zębom żarłocznego wilka uzbraja się lękliwy szarak w ściągłość skoków, czujność nieomylną słuchów. Zwinna ryba wymyka się przemyślnej wydrze. Ćma nocna czyni się podobną liściu, by omylić pościg sowy. Nawet najsłabsze stworzenie zna radosny hymn zwycięstwa, gdy, przechytrymi zabiegami umknąwszy szczęśliwie zagłady, spocznie w bezpiecznej kryjówce... A czym się ochroni poddany niewolnik przed niehumanym biczem pana? Wydany jest na łup i bezbronny. Wojny, jeńcy...

Zatrząsał się cały w zielonej głębinie niewinnej puszczy, wspomniawszy drogi okropne, wysadzone - miast drzewami - ludźmi wbitymi na pal, twarze niehumanie, zsiniałe, wykrzywione parodniową męką straszliwej agonii, z rojem much brzęczących wkoło... O Boże!...

Przesunął dłonią po oczach z rozpaczą i zapatrzył się znów w las, biorąc w strudzone serce cichość wielką jego głuszy. Była to cichość dostojna puszczy nieprzejrzanej, ciągnącej się dziesiątki

nił wszerek i wzdłuż. Odwieczne bory pokrywały równinę bezkresną, senną i wilgotną. Zwalone kłody olbrzymie porastały w mchy dziwaczne, podobne lasom bajecznym, skarłałym. Paproć sięgała ramienia człowieka, gdy w cieniu misternie rzeźbionych jej liści, wśród czerni jagód, giętkie pędy widłaków płątały zdradziecko nogi. Ciemniały pod wieczną kopułą gałęzi nieruchome tafle rzek, co niegdyś, pradawno, spływały bystro do Dniepru, teraz zaś ledwo sunęły lub spały, urwane, ślepe, zarosłe, nie śpieszące się ni dokąd. Trzęsawiska ogłuchłe, bajora rude, rzesą porośnięte, zjeżone cudacznie splątanymi korzeniami czarnej olchy.

Ojciec Andrzej Bobola znał dobrze ten kraj. Poznał wszystkie jego szlaki. Spłynął je łodzią na wiosnę, schodził zimą po lodzie, przebrnął latem po suchych kępach i kłodach, w bagno przez smolarzy zwalonych. Dziesięć lat już minęło, jak w borach apostołował. Z zacisznej katedry profesorskiej, od ulubionych studiów i roztrząsań naukowych oderwały go w te zapadłe knieje posłuszeństwo i ciekawość zarazem. Dziś dobrowolnie nie odszedłby stąd za nic. Z uśmiechem wspominał nieraz pierwsze miesiące swego tu pobytu; niezmierne zdumienie i zgrozę uczonego męża, gdy o parę godzin drogi od Pińska natknął się na pogan istotnych, zupełnych, choć niby kiedyś ochrzczonych, nie różniących się niczym od dzikusów, których równocześnie otoczeni glorią misyjną ojcowie - koledzy nawracali na dalekich archipelagach.

Ludzie ci, w latach niedostatku, gdy nie obrodziły bedłki lub pożar w puszczy przepłoszył zwierzynę, stający się kanibalami - czcili słońce, miesiąc i ogień, żaby, węże i padalce, w tajemnej głębi puszczy kłaniali się drzewom odwiecznym. Świętym był dla nich las - żywiciel, świętymi rzeki - karmicielki. Obwieszeni strakami kołtunów, nosili łapcie z kory, odzież ze skóry, i wojowali drewnianym oszczepem. Żelaza nie dotykali, brzydząc się nim i powiadając, że ziemia rozpruta lemieszem stalowym przestaje rodzić, zagniewana. Wózki ich były bez okucia ni obręczy, czółna w jednym kłocu smalone, siodła łyżane. Zabijali starych i chorych, będących ciężarem, topili niemowlęta - córki jak szczeniaki. Mówili mową ruską, z rzadka, w ważnych jeno chwilach używając mowy litewskiej, dawnej, zapomnianej, przez książąt i bojarów jako pogańskiej srogo zakazanej.

Gdy misjonarz wszedł pierwszy raz do numy wkopanej w ziemię na wzgórzu, gdzie nie podmakało - ciemnej, bez okna, nędzniejszej zaiste od bobrowego gonu, kobieta, obracająca ciężkie żarna, nuciła litewski przyspiew, powtarzając go niby obrzęd uroczysty:

- „Mano Girnales, Ding one wiena malu...”

Zapytana, co by te słowa znaczyły, spojrzała z lękiem i zmiłkła. Ilekroć potem dotknął pytaniem zabronionej, przecież ciągle żywej mowy, czuł zawierające się przed nim jedyne ścieżki, prowadzące w poufałość i bliskość tych ludzi. Postanowił się jej nauczyć, w przenikliwym swym rozumie sądząc, że korzystniej będzie, miast niszczyć (jak to czynili panowie litewscy), przyswoić ją i orężem apostołstwa uczynić. Zbierał więc starannie pojedyncze słowa, podchwytyjąc znaczenie ich, aż ogarnął całą mowę. Zdumiewał się, widząc jej dostojność, bogactwo i głęboką starożytność. Raz ją poznawszy, obaczył się władcą wszystkich dusz w puszczy żyjących. Gdy wchodził w obejście, witając pozdrowieniem Bożym w zaginionym narzeczu ojców, widział się owym półludziom niby wysłaniec starych bogów, wielki, nieodparty, przenikający myśli.

A wraz początkowa ciekawość i zamiłowanie uczonego zmieniały się w ojcowską tkliwość, gdy pod ciepłym dobrych słów, nigdy nie słyszanych, w leśnych tych stworach budziły się dusze

człowiecze, rozkwitwały ku Bogu wdzięczne serca, niby kwiaty. Tkliwość przechodziła w zapal święty, w uniesienie, w miłość gorącą, żarłoczną.

Wszystkich rozbudzić! uczłowieczyć! Wszystkich ogarnąć! Smolarzy czarnych od dymu, z kształtu ledwo do ludzi podobnych, rybaków ustawicznie nad wodą żyjących, karmiących się rybą surową, nędznych rolników, drewnianą sochą zaprzęzoną w żonę i dziewczkę nałożną orzących szmat wykarczowanego z trudem piachu... Zrazu z przewodnikiem, potem sam brodził po puszczy, szukając nowych poddanych dla Pana nad pany, a że umiłował ich serdecznie, przeto znajdował bez trudu słowa trafiające do serca ludzi, do których nikt dotąd jak do ludzi nie przemawiał.

Wzdychano nieraz w domach Towarzystwa Jezusowego z żalu, że taki uczyony profesor, mistrz świętej teologii, świętny kaznodzieja, lingwista, mąż szlachetnie urodzony, którego w legacji choćby do najprzedniejszych słać i nie powstydzic się - trawi wiek i umiejętność w puszczy poleskiej. Nie lepiej by odwołać go na godniejsze stanowisko, wraz innego posyłając? Lecz wymowa tysięcy dusz przeobrażonych zwała te względy. „Venator animarum” - mówiono z podziwem. Pod wpływem jednego człowieka całe Polesie, całe Podlasie, czyli Podlachia przyjęły po raz drugi wiarę świętą. Nie biernie, powierzchownie, jak za pierwszym razem, lecz ochotnie, całym sercem szczłowieczonym.

W zbożnej swej pracy ojciec Andrzej nie ustawał, pomimo że od kilku lat rozgorzała wkoło wojna, najstraszniejsza, jaką pamiętał kraj. Nawet w puszczy nikt nie był bezpieczny, chyba gdzieś w błotach, z dala od gościńców. Wojna to była bezlitosna, okrutna, owoc dzikiej pomsty i ciemnoty jednych, zaślepienia i pogardy drugich, zaborczości trzecich. Zbrojne gromady, flankowe podjazdy większych sił, walczących na północy pod Wilnem i na południu pod Lwowem, zmieniały się ustawicznie, depcząc sobie po piętach. Władzy żadnej nie było z dawna. Luźne watahy kozackie, czambuły tatarskie, oddziały moskiewskie wpadały, rabując, paląc i mordując tych, którzy jeszcze zostali przy życiu. Że nie było już „panów” ni dworów szlacheckich, Kozacy i Moskwa z tym większą srogością tępili księży katolickich, niszczyli nieliczne kościoły. W owym to czasie zginęli zamordowani okrutnie na swoich placówkach księża zakonnicy: Rafałowicz, Wiechowicz, Butkiewicz, Hryczyna i wielu innych. Na ogromnej połaci kraju ojciec Andrzej pozostał sam jeden. Chroniła go dotąd miłość ludzka, lecz koło nienawiści stawało się coraz ciaśniejsze, nieprzyjaciele tropili coraz zawzięciej, i jasnym było, że lada dzień go pochwyca. Więc w przeczuciu niewątpliwym końca pracował coraz gorliwiej, rad rozdzielić się, pomnożyć i ustokrotnie, wszędzie być, przemawiać do wszystkich dusz naraz, nie zostawić odłogiem ni jednej...

A ninie siedział beczynnienie! Zgorszony własnym lenistwem porwał się z miejsca tak nagle, że zdziwione bobry z pluskiem hulnęły do wody. Z niepokojem spojrział w górę, ku niewidzialnemu słońcu. Iść musi co prędzej do Peredily, gdzie oczekują nań ludzie. Chrzcic jednych, spowiadać drugich... Iść trzeba!

Ruszył drogą ułożoną z pni, skacząc z jednego bala, nużającego się w chlupoczącej mazi, na drugi. Stado dzików, leżących podle, zerwało się z fukiem i kłapaniem. Przeszedł mimo, lecz uszedłszy parę stajań, stanął jak wryty. W lesie grzmiały głosy, tupotały, ślizgając się po dylach ruchomych, kopyta. Ojciec Andrzej wypatrywał suchszej kępy, na którą można by uskoczyć i skryć się za drzewo - gdy twarz mu się rozjaśniła; rozpoznał mazowiecką mowę. Stanął oczekując swoich. Zbliźali się bardzo powoli, klnąc i dogadując, bo konie grzęzły po brzuchy w topieli, gdy miejscami

brakło położonych bali. Wreszcie wynurzyli się z gąszczu. Był to zacny poczet pański, dobrze uzbrojony. Przodem jechał mąż barczysty, z gniewnego lica do dzika podobny. Ojciec Andrzej poznał w nim od razu pana Rafała Żeglickiego, starostę turowskiego.

- Laudetur... - rzekł radośnie, stając naprzeciwko.

Szlachcic zdumiony zdarł konia.

- Na Boga! cud osobliwszy! Ojciec Bobola żyw! Oto fortunne spotkanie! Pojedziesz wielebność z nami... Michał! sam tu konia dawaj! - huknął w tył ku ludziom.

- Bóg zapłać, nic mi po koniu, gdy w przeciwną stronę droga... Okrutnie rad widzę waszmość pana...

- W przeciwną stronę?! - przerwał starosta. - Chyba po śmierć oczywistą... Nie wieszcie, ojczyzna, jako hultajstwo inkursję nową zgotowało, a Zieleniecki z Popeńką ciągną spod Janowa, nie przepuszczając nikomu?

- Słyszałem, owszem. Ano, wola Boża.

- Wolą Bożą jest cenny żywot salwować, jadąc nie mieszkając z nami...

- Najpokorniej dziękuję, waszmości. A skąd Bóg prowadzi?

- Zebrałem pacholców niezgorszych i doskoczyłem w te strony, gdzie substancję znaczną miałem, zobaczyć, co z nią. Daremna była fatyga, bo z krescencji ni znaku, chudoby idem, budynki spalone, zaś chłopcy zbiegły do lasu. Zapłakawszy nad tak żalosnym zniszczeniem fortuny, wracam co rychlej, by mnie plugawa czerń nie ogarnęła. Nec Hercules contra plures... Nie żałuję wszakże ekspedycji, skorom wielebnego ojca spotkał...

- A co słyhać de publicis?...

- Źle słyhać. Nie darmo łośńskiego roku trzy były zaćmienia, zaś jesienią widomie ujrano na niebie kształt człowieka, strzelającego z łuku do krzyża. Jedna strzała trafiła, druga się ochynęła... Choć z Moskwą rozejm podpisaliśmy w Niemieży, choć Szwedy słabną, a elektor jeno się na boki ogląda, z kim nowy pakt zawrzeć, diabli nadali Rakoczego, którego z niemałą potęgą już Małopolskę zajął... Kozacy z nim... Nie wiedzieć, kto sroższy: Węgrzyni czy Kozacy? Straszno słyhać, jako idą nikogo nie żywiąc, nawet umarłych z grobów wywlekając... Ludzi na pół piłą rzną, w kotłach od piwa warzą, na rożnach pieką, nie folgując wiekowi, płci ani kondycji... Małopolska jeden smentarz...

- Boże! Boże! czyż mało nieszczęść?! Co Ci zawinił nieszczęsny ten kraj!

- Kto zawinił? Król! - odparł starosta z przekonaniem. - Nikt inny jeno Casimirus za wszelkie calamitates odpowiedzialność ponosi... Adwersarz szlachty, wróg narodu i wolności...

- Na Boga! toćże nie król ściągnął Rakoczego!

- Owszem. Któż zjadliwie sprowokował Radziejowskiego, którego spokojny człek był, skąd najazd szwedzki, zaś Szwedy zjudziły Siedmiogród... Casimirus! Kanimir! Posłuchaj, ojcze, jak uciészne rymy o nim krążą, instar Modlitwy Pańskiej ułożone:

„Ojcze nasz królu polski Kaźmierzu,  
który się przejeżdżasz w niedobrym pierzu.  
Święć się imię twoje w Szwecyej,  
a Marii Ludwiki we Francyej,  
bądź wola twoja jako Wandalii była,  
gdzie było mało chleba, a ludzi siła...”

- Wybacz, waszmość panie, w puszczy przebywając, znajomość rymów straciłem - przerwał zakonnik z niechęcią. - Król winien, być może, wszakże czy nie lepiej wobec tak desperackich i ekstremaryjnych ewenementów uraz przepomnieć, razem przykładając ręki pomocnej dla wycięgnięcia Ojczyzny miłej z opresji?

- Nie znasz, ojcze, aktualnych koniunktur. Najgorszy mi wróg to Casimirus! Wroga wyzieniem prędzej czy później z Rzeczypospolitej, lecz swobód raz uronionych nie odzyskamy! Królowa kabałę potężną planuje, wodząc króla za nos jak Cygan niedźwiedzia. Stronnicy jej na sejmikach już malitiose poczynają, w poniżenie jakoweś praecipites chcąc nas strącić, swobody nasze, bez obrony zostające, opprimere... Bronić się trza, z innymi województwami vires nasze łącząc... - wołał krzykliwie oratorskim głosem; opamiętawszy się jednak, że miast powolnego tłumu panów braci słuchają go jeno drzewa i siwiejący ubłocony zakonnik, urwał w pół zdania. - Resztę opowiem po drodze; siadajcie, ojcze wielebny, na konia...

- Raz jeszcze pokornie dziękuję; Bóg niech nagrodzi wspaniałomyślność waścina, ja wszakże jechać nie mogę, potrzebnym tu będąc...

- Szaleństwo czyste! Nic ojciec nie zdziałasz, a życie postradasz... Tak srogiego hultajstwa dotąd nie widziano!... Męczą okrutnie... Wynajdą choćby pod ziemią...

- Bóg zapłać waszmości; ostanę.

- Jak wola - mruknął pan Żeglicki urażony, ruszając koniem naprzód. - Ostawajcie, ojcze, w zdrowiu... Laudetur...

- In saecula saeculorum...

Mijali go dwójkami, z wolna. Gdy przeszli, ruszył w swą drogę. Było mu ciężko, nieznośnie ciężko na sercu. Sam nie wiedział, skąd ten ucisk - od słów usłyszanych czy od tego, ku czemu szedł. Litosna puszcza rozesała nad jego głową gęste podniebie zielone, przesłaniając oczom dymy wsi podpalonych świeżo przez najeźdźców, dymy gęste, wysokie a bliskie, wynoszące się nad lasem,



obejmujące już prawie pół nieba.

O zmroku doszedł w obejście znajomego smolarza, gdzie go witano radośnie. Znużony był srodze, przeto odmówiwszy z nimi pacierze, legł na barłogu, nie tykając jadła. Lecz powietrze izby, pełne dymu, smrodu skór źle wyprawionych i niechlujnych ciał, dusiło go. Wziął cicho skórę łosia, na której leżał, i wyszedł legnąć na dworze przed chatą. Komary z jęklwym brzękiem obsiadły mu twarz i ręce. Odpędzał je machinalnie, nie czując prawie ukąszeń, mniej dotkliwych niż rozsadzające głowę myśli. Z goryczą wspominał każde słowo starosty turowskiego. Na Boga! czyż jest siła zdolna wstrząsnąć ogółem szlacheckim, zmusić do zapomnienia własnych prerogatyw i przywilejów, skoro tyle lat wojny, nieszczęść, hańby i klęsk najstraszliwszych nie zdołały tego uczynić?! - A wraz za tym przyszła myśl: zali nie lepiej, nie pożyteczniej, miast iść tutaj na śmierć pewną, wrócić do kraju i sumienia budzić? Dość siedział w puszczy! Tam teraz pole do pracy! Do Warszawy! Głosem natchnionym Skargi poruszyć ludzi i poprowadzić za sobą! Wesprzeć ojczyznę! Niewątpliwie, stokroć lepiej... Jeszcze zdąży... jeszcze czas...

A ludzie w Peredile czekają... czekają... Zginą bez Sakramentów, opuszczeni, daremnie go wyglądając...

Wśród męki dusznej ani spostrzegł, kiedy sen ciężki, sen - widun, zwarł jego oczy zmęczone. Dziwny sen...

Oto w tajni niewiadomości, w głębokiej bezedni słyszy uśpiony zakonnik głos nawołujący. Wzywają go po imieniu. Wypływa z głębi ku górze, ku wołającemu. Oczy przymyka ze zgrozą: trupy... trupy... pogorzel...

Głos woła:

- Dość pokory, zakonniku! Dość służby bezpiecznej wśród lasów! Rycerzowys syn! wstań! chwyć korda! Widzisz czern? Pałą domy, hańbią nieletnie dziewczęta, obcinają piersi matkom, dziateczki niewinne, lnianowłose dżgają pikami... Weź szabli! Nie przystoiż ona Boboli raczej niż różaniec?! Na czele chorągwi! Ratować! Bronić!... Pokora - nিকczemna rzecz, gdy wróg dom podpala! Lękliwość kryje twoja suknia!

- Och, och! - jęczy śpiący w żalu.

- Nie chcesz?! Więc patrz i słuchaj: grzmi tętent kopyt na drodze. Lecą hajdamaki, wyjąc dziko, pochyleni w wysokich kulbakach. Dojrzeli starego, bezbronnego człowieka, idącego drogą. Idzie modlący... Gonia z wrzaskiem radosnym... Widzisz ich twarze bydłce? Nie skrzy się w nich myśl człowiecza... Patrz! już dognali, otoczyli, obcieli mu palce, wyłupili oko, odrabali stopę, wloką go za nogi... Patrz pilno, co z nim uczynią...

- Nie chcę patrzeć na mękę nieszczęśliwego...

- Patrz, owszem! Nie odrywaj oczu... Zdzierają pasami skórę w kształt ornatu, żywym ogniem palą boki obnażone ze skóry, plecy i piersi posypują plewą, niby złotym haftem na czerwieni ran. Garściami wtlaczają plewę w drgające mięśnie i żyły... Przekleństwo tym okrutnikom! Niechaj ich

piekło pochłonie!

- Niech im wybaczy Bóg! Okrucieństwo ich jest jako dzieci, które obrywają członki muchom i chrabąszczom. Z niewiedzy jest, z instynktu krwiożerczego, a nie ze zła świadomego...

- Jakżeś pobłażliwy, mądry teologu! Jakże pełen szczytnej wyrozumiałości! Czy pozostaniesz takim? Spójrz! spójrz! Podnoszą skatowanego; patrz na twarz, niepodobną już do ludzkiej, odrąbany nos, obcięte wargi - maskara pocieszenie potworna, wydarty język zwisa z rozdartego gardła, oko wylupione... Któż to ten człowiek, czy wiesz?!...

- .....

- To ty, teologu!

- To ja?!...

- Nie wierzysz? O! nie wierzysz? Patrz pilnie; oto na skroni znamię brunatne... sięgnij ręką do czoła - nie twoje? Patrz na to oko żywe jeszcze, jedyny ślad doskonałości ciała człowieka w straszliwej larwie oblicza... nie twoje to oko?...

- Moje...

- Patrz na brodę szpakowatą, dotknij swojej!...

- Tak, to ja... poznaję...

- To ty! to ty! Nie lepiej było chlubnie zginąć w walce. Ojczyźnie korzyść przynosząc? Ostrzeżeniem ci ten sen. Uciekaj! Znak to dany dla ocalenia twego. Jeszcze zdążysz! Uciekaj, dnia nie czekając...

- Nie przystoi nam ucieczka.

- Cóż zarobisz, pozostając? Patrz! patrz! Schwycili trzpień bezkształtny, krwawy, wieszając za nogi u belki. Żyje jeszcze, dźwiga się, oko otwiera, patrzy wokół - wołałby, gdyby miał język. Drga konwulsyjnie pień ciała. Patrz: oprawcy skaczą dokoła ze śmiechem: „Lach tańczy! Lach tańczy!” Płasają wkoło podrygującego w śmiesznej agonii potwora, spływającego szkarłatnym ornatem ran...

- Przyjmuję, Panie, tę śmierć...

- Szalony jesteś! Uciekaj! Przyjacieli to rzecze. Wiele dusz czeka twego mądrego słowa, pobożny łowco, venator animarum... Stracą zbawienie wieczne, gdy ty dasz się zarznąć bezmyślnie. Dla kogo? Myślisz, że zrobiła męka twoja wrażenie na katach? Śmieją się, odchodzą ze śmiechem. Sam jesteś i konasz... konasz... konać będziesz długo sam...

- Chrystus jest ze mną...

- Także jesteś tego pewien? A cóż z tamtymi duszami? Pomrą, nie zaznawszy światła, które tak

umiejętnie im podawałeś. Wszak wiesz, że nikt cię nie zastąpi... Nikt! Jesteś jedyny, niezastąpiony...

- Nieprawda! Znajdzie się stu równie pożytecznych. Więcej uczynię dla tych dusz przez śmierć moją niż przez życie.

- Kto ci to mówił? Jakżeś pyszny, teologu! Przenikasz wyroki Boże?! Bacz, byś nie zgrzeszył zbyt dużym dufaniem w swój rozum...

- Nie zatrwożysz mnie ty, który się mienisz przyjacielem, a kusicielem jesteś i wrogiem. Spójrz ty teraz, wzywam cię: spójrz na umęczonego człowieka! Skonał... Patrz na smugę zorzy! Oto wędruje po niej w światłość dusza jego... O Panie! Panie! wzięłaś ją do chwały swojej!...

Ocknął się, klęczący na wilgotnej ziemi, zalany łzami, wpatrzony we wschodzące słońce. Ogarnął szybko odzież i przeżegnawszy się ruszył szparko ku wsi Peredile.

# SZALEŃCY BOŻY

Młody rycerz, Donato Bongiovanni d'Arezzo, na szelest chrześliwy jedwabiu odwrócił z pośpiechem głowę. Przecucie go nie zawiodło. Czcigodna Ortolana Scifi z rodu Fiumich zasiadła w stallach, kładąc przed sobą na pulpicie wielki, ciężki modlitewnik. Trzy jej córki szły ku ołtarzowi, niosąc do święcenia palmy. Ta, której czekał, szła pierwsza. Donato zapatrzył się w nagłym olśnieniu na widok świeżego cudu jej urody. Jak gdyby widząc pierwszy lub ostatni raz, chłonał ją oczami, od brzegu złotolitej sukni, wzdłuż smukłej kibici aż ku głowie, co wykwiatała z ramion niby kwiat. Złożywszy na ołtarzu palmę, wracała do stalli, zwrócona twarzą ku niemu. Jak zwykle miała dumnie podniesioną głowę, a spuszczone skromnie oczy. Długie rzęsy rzucały cienie na policzki. Drobne usta, dziecinne, a zarazem dostojne, zamykała pieczęć skupionego zamyślenia. Ukłękła przy siostrach pobożnie. Urzeczony wzrok rycerza przywarł do jej rąk splecionych przy twarzy. Jestże w kościele druga, równie uwielbienia i zachwytu godna, porównaną być bodaj mogąca? Jestże druga w całym świecie?... Nie ma - ale cóż mu z tego? Żal gryzący, gorzki, przypomniawszy wnet myślom beznadziejne szaleństwo miłości. Nie otrzyma nigdy ręki pięknej Klary Scifi - obiecał ją z dawna ojciec Petrowi Mazancolli, i zrękowiny pono rychło odprawione być mają... Cóż stąd, że ją umiłował jak Tristan Izoldę, cóż stąd, że nie było dlań poza nią życia ni radości? Favorino Scifi, pan na Sasso Rosso, cenił jego ród, waleczne czyny, i rad w domu swoim widział, ale postanowienia nie zmieniał. „Klara przyrzeczona - mawiał; - toć bierz Beatrycę, jeśli nie wolisz czekać na Agnieszkę. Dziewczyna rychło lat dojdzie, a gładsza bodaj od starszych”... Ale uparty Donato miłował tylko Klarę, pragnął tylko Klary, i teraz, miotany żalem i zazdrością, spoglądał to na nią, to na stojącego nie opodal wśród rycerzy szczęśliwego Petra Mazancolli. Urodziwy był, barczysty i wszystkiemu rad. Chwilami rzucał na przyrzeczoną wzrok spokojnego posiadacza. Cieszyło go przyszłe małżeństwo. Taka żona ozdobą być może nawet książęcego dworu... Gdy czasu turnieju zasiądzie w babieńcu, zaćmi urodą wszystkie dookoła.

- Ale ona go nie miłuje... nie miłuje - powtarzał sobie Donato z niejaką cierpką pociechą. - Nie miłuje równie Petra Mazancolli, jak i jego, Donata. Nie miłuje nikogo. Zapewne jest zbyt dumna, by miłować kogokolwiek. Podda się woli ojcowej, lecz pozostanie wyniosła i obca, jak jest. Milczące jej usta nie rozchylą się dla słów tkliwych, cichych, od których dusza topnieje, a serce czyni się drżące jak złowiony ptak... Nie będzie go miłowała...

Oderwał z trudem oczy od zamyślanej twarzy, bo ludzie wstawali z miejsc, by z rąk celebranta - którym był sam biskup Gwido - odebrać święcone palmy. Kościół zakwitł, jak wiosną, gałęziami palm, oliwek, wierzby i bukszpanu... Ona jedna nie powstała. W zadumie głębokiej, oderwana od spraw świata, nie widziała, nie zauważyła... Sędziwy biskup spojrzawszy ze zdziwieniem na pozostawioną na ołtarzu więź zieleni, tkwiącą w złocistym ujęciu, sztytym w herby panów na Sasso Rosso, i przeniósł wzrok na dziewczynę. Uśmiechnął się dobrotliwie, podając jej zapomnianą własność. Spłonęła nagłym rumieńcem. Petro Mazancolli przybliżył się, podając przyrzeczonej swojej wodę święconą na palcach, bo już wychodzono z kościoła. Przyjęła ją, nie patrząc na niego, przesunęła się koło Donata - nie patrząc również. Gdy wyszła spod cienia portyku na światło, złocista jej suknia rozświetliła się w słońcu, zaślniła, zmieniła ją całą w jeden punkt słoneczny, jasny, migotliwy.

Donato zatrzymał go pod powiekami i poszedł, nie wiedząc dobrze, dokąd idzie. To było jego

życie obecne, życie niegodne rycerza - krzyżowca! W głowie i sercu obraz pięknej dziewczki, w dłoniach próżniacza omdłałość, kroki bezwolne, bezpańskie. Dzień wydłużał się w rozpacznej jałowości nudy. Każdy dzień wydłużać się będzie podobnie, dopóki nie potrafi zgarnąć struchlałych sił i wyrwać się stąd... Oddać się na usługi jednego księcia, przeciw drugiemu! Któremu? - mniejsza! Byle iść! Lecz kiedy to zdoła uczynić?

Gdy zmrok zapadł, kąsająca jak zły pies tęsknota pędziła go z kąta w kąt bez odpoczynku, dopóki po długim kluczeniu i wyklętych manowcach nie wyszedł przez wrota miejskie, zwane Bramą Starą, pod obronny zamek Scifich, gdzie snuł się wokoło murów tam i sam, niby włóczęga. Srogie boje z poganami, uciążliwe pochody pustynne wydały mu się - wspomniane - igraszką, wobec tych zapasów z samym sobą. Noc zeszła na świt, pogasły światła w grodzie, a on tkwił jeszcze pod murem, wzywając ją myślą. Szukał w pamięci słów godnych, by ją nimi nazwać w szepcie modlitewnym, lecz nic piękniejszego niżli jej własne imię nie wynalazł: Klara - Jasna... Jakąż przedziwną domyślnością wiedzeni byli rodzice, dając niemowlęciu to imię właśnie, nie inne... O Klaro! Jasności duszy!...

Ocknął się z zamyśleń, postłyszawszy poza murem stukot mozolnie odsuwanej belki. Ledwo widoczna, kryła się w murze w tym miejscu mała, zardzewiała furta, do wycieczek czasu obłączenia używana. Odsuwano belki, którymi założona była, jak zwykle, od wewnątrz. Donato cofnął się w cień drzew, czekając. Jasnym było, że wartownik dojrzał jego uparte krążenie i chciał nieznanego włóczęgę pochwycić. Teraz szczękały od lat wielu nie otwierane wrzeciędzie; przez uchyloną furkę wyjrzała głowa w wielkim czarnym czepcu. Cofnął się śpiesznie w cień głębszy, poznawszy damę Bonę Guelfucci, duegnę Klary. Jejmość niemłoda i przysadzista wysunęła się ostrożnie z furty i stała chwilę nieruchomo, rozglądając się wokoło. Cofnęła się, snadź uspokojona, ale nie zamknęła furty. Chrząstliwy szelest jedwabiu i... serce zamarło w piersi rycerza, bo oto z wąskiego obramienia wyszła - Klara. Donato pomyślał, że tęsknota jego wywołała widziadło, podobne tym, jakie w Ziemi Świętej wzrok utrudzonych wojowników mamia. Przymknął oczy i otworzył znowu: zjawa nie była snem. Klara Scifi stała o kilkanaście kroków od niego w pełnym blasku miesiąca. Suknia, ta sama, którą miała w kościele, lśniła jak drogocenny, zatrzymany w biegu strumień. Z głowy zrzuciła białą podwikę i złote jej włosy błyszcząły z dala jak srebrne. Obłąkana szczęściem myśl, że Klara zeszła dla niego, błysnęła w duszy Donata i zgasła. Nie wiedziała o nim. Nie sądziła, by ją ktokolwiek podglądał. Stała z podniesioną głową, nie spuszczać oczu jaśniejących wyrazem natężonego zachwytu. Wyniosłe usta rozchyłały się radośnie.

Bona Guelfucci zamknęła z trudem furkę i obie zaczęły schodzić w dolinę. Donato oderwał się od pnia i szedł za nimi niepostrzeżony. Piersi rozsadał mu szloch i zły śmiech zarazem. Trząśł nim w furii bezlitosnego szyderstwa: oto - Klara! Jasna - dumna!... Dokąd idzie?... Do kochanka! Dość przecie spojrzeć w jej twarz... Uśmiech bolesnej rozkoszy na wargach, płonące oczy... Śpieszy się... ach, jakże się śpieszy, prawie że zbiega ze wzgórze!... Nurza się w chłodnej mgłę doliny, pokrywającej winnice. Płyną nad mgłą barki jej i jasna głowa. Do kogo?... Do kogo?!...

Śpiesz się! śpiesz! Kogokolwiek pragniesz widzieć, ujrzysz go ostatni raz. - Zmacał pugnał przy boku.

Zeszli z winnic w pola oliwne, cieniste i biegł teraz prawie równolegle z nimi. Bona Guelfucci z trudem zdążała za Klarą, sapiąc i potykając się. Donato po ruchach ramion jej i głowy wnosił, że

plakała cichym, urywanym szlochem. On nie plakał. Oczy miał suche, zapiekłe nienawiścią gardło, skulone drapieżne ręce. ...Tego, do którego szła, jakże musiała miłować! Lotne jej nogi niosły ją ponad kamienistą ścieżyną jak skrzydła. Zebrał się w sobie, by nie zastąpić jej drogi i nie krzyknąć: Stój!... Musi wytrzymać, zobaczyć... Tamtego wpierw... Dłoń ścisnęła znów puginał niby rękę jedyne go przyjaciela, brata.

Teraz z ogrodów oliwnych weszli pod sklepienie lasu, w głuchą, ciemną tajnię gąszczu. Wysilał wzrok, aby nie stracić jej z oczu. Chwilami przez kopułę drzew padało światło miesiąca i piękna jej suknia lśniła wówczas jak kryształowy wodospad. Szli długo, aż poprzez drzewa zamajaczyła jasna, odkryta polana. Na polanie stała niezmiernie stara kaplica, pono przed pięciu wiekami za czasów papieża Liberiusza stawiana, pod wezwaniem Matki Boskiej Anielskiej będąca. O parę kroków od kaplicy wznosił się szałas sklecony z gałęzi przysypanych liśćmi i ziemią. Przed szałasem stał młody mężczyzna z odkrytą głową, w ciemnym, prostackim odzieniu. Do tego człowieka śpieszyła, wymknąwszy się nocą z ojcowskiego kasztelu, urodzona Klara Scifi...

Żebrak! Syn Bernardona!... Do niego?!...

Donato zachłysnął się zdumieniem. Widział tego szaleńca onegdaj. Szedł ulicą grodu śpiewając pod nosem, a dzieciaki ciskały za nim błotem i krowieńcem. „Dobrze, dobrze robicie, bo nie ma na świecie większego łotra niż ja” - mówił i śpiewał dalej.

- Do niego?!...

Stał przed szałasem czekając. Miesiąc oświecał wyraziście jego młodą głowę, smukłą szyję wychylającą się z niezgrabnych, grubych fałd odzieży. Twarz miał radosną, weselną i promienne oczy.

Ona szła ku niemu, przycisnąwszy obie dłonie do serca. Szła wolno, podobna w świetle czarodziejskiemu zjawisku, z promieni utworzonemu. Donato zasłonił sobie twarz z cichym skowytem rozpacz. Po co czekać dłużej? Dość już widział... Czekał jednak, ukryty za drzewem, i patrzył. Nie ujdą mu przecież ani go ręka nie zawiedzie... Rozległ się płacz: Klara żegnała duegnę. Przysadzista jejmość zawróciła z łkaniem i zniknęła w lesie. Oni poszli do kaplicy, której drzwi się przed nimi otwarły. Oświetlona była jasno, ubrana kwieciem i ziele. Brat Sylwester, brat Juniper i brat Rufin czekali na idących u progu.

Teraz Donato wyszedł spoza drzewa i ruszył śmiało naprzód. Lecz oni nie myśleli drzwi zawierać. Nie spostrzegli jego obecności, szelest kroków biorąc widno za kroki zwierza leśnego, zwabionego światłem. Nie odwrócił żaden głowy, by spojrzeć uważnie w ciemność. I Donato, zawiedziony miłośnik Klary Scifi, stał parę kroków zaledwie od niej, okryty płaszczem cienia i nienawiści zarazem. Czekał... Czekał w męce. W szumie napelniającym oszalałą głowę nie słyszał, co mówił Francesco, syn Bernardona, do Klary ani co mu odpowiadała ona. Co po słowach? Mniejsza o nie. Bezmierna szczęśliwość, miłość wzajemna, wielka, doskonała, biła z ich oczu, drgała na ustach, gdy Klara składała ślubowanie. Naraz wstała, szybkim ruchem zrzuciła kosztowną suknię z genueńskiej lamy i naciągnęła szorstką brunatną opończę, którą jej podał brat Rufin.

- Zrobimy piękne antypedium z twojej ślubnej sukni, Klaro - rzekł Francesco, a ona skinęła

głową z uśmiechem.

Wyjęła z uszu długie zausznicze, zdjęła z palców pierścienie, manele z przegubu rąk, kosztowny kanak z szyi i pas kamieniami drogimi sadzony; złożyła je w ręce brata Leona, by posąg Matki Bożej ozdobił, i opasała się sznurem konopnym. Teraz podniosła ręce, wysuwające się z ciężkich rękawów opończy jak dwa białe kwiaty, rozplotła kosy i strząsnęła. Sypki, promienny płaszcz oblał jej plecy; odrzuciła w tył głowę, czekając. Francesco, Szaleniec Boży, podszedł. W ręku miał długie nożyce. Czekwała cierpliwie, gdy tępe ostrze ślizgało się w niewprawnym ręku po giętkich promieniach włosów. Powoli osuwały się z płynnym szelestem, zostawiając złote nici na szorstkim suknie ubrania. Już osunęły się wszystkie. Obwiązała ciasno skronie prostą, czarną chustą... Francesco podjął snop włosów.

- Jakże są piękne i miękkie - rzekł - lśnią jak złoto i jedwab. Złożymy je na ołtarzu... Będzie to najpiękniejszy twój podarek, Klaro...

Uśmiechnęła się do niego radośnie.

- Zapalcie, bracia moi, pochodnie. Odprowadzimy pannom benedyktynek w Isola Romanesca najmilszą siostrę naszą...

Donato stał bez ruchu, wypuściwszy od dawna pugi. Nie drgnął, gdy wyszli śpiewając - nie odwrócił głowy, kiedy ginęli w oddali...

Świt zbudził go z odrętwienia. Na posadzce pustej kaplicy błyszcząły gdzieś długie jasne nici. Rosa ranna osiadła na nich jak rząd pereł. Wsunął się na klęczkach, aby pozbierać ostrożnie złote włosy siostry Klary.

# SŁUDZY NIEUŻYTECZNI JESTEŚMY

Świątobliwy eremita Pachomiusz mieszkał w samotni pustynnej od kilkudziesięciu lat, ciesząc się powszechną opinią świętości. Z miasta odległego o parę dni drogi schodzili się doń ludzie, nie zważając na odległość. Prosimi o radę, modlitwę albo naukę. Nikt nie opuszczał Pachomiusza zawiedziony, i stary pustelnik, zawsze jednako cierpliwy, wyrozumiały, łagodny wobec skruchy, nieustępliwy w stosunku do grzechu, mądry, wyzbyty wszelkich potrzeb i zbytecznych pragnień, czuł się doskonale szczęśliwy, wypełniony niezmaconym pokojem. Nocą spał w grocie okryty skórą barania, w dzień grzał stare ciało na słońcu pod skałą i myślał o rzeczach niebieskich.

W czasie takich rozważań, nawiedzających człowieka tym częściej, im bliższym czuje się wieczności, nasza kiedyś Pachomiusza myśl, z ludzkiej ciekawości poczęta, której starzec - choć wiedział, że płocha - oddalić od siebie nie umiał. Mianowicie: do którego też świętego on, Pachomiusz, jest podobny? Przy którym z Apostołów, uczniów Pana, męczenników albo świętych pustelników wskaże mu Pan miejsce w raju?

Dumał, porównywał, zastanawiał się i przymierzał, aż niespodziewanie, o świtaniu, pojawił się przed nim Anioł.

- Pachomiuszu - rzekł Boży posłaniec - nie męcz próżno głowy. W oczach Pana naszego równy jesteś Kulawemu Mikronowi mieszkającemu w grocie na skraju pustyni.

Wionął skrzydłami i zniknął, zostawiając starca mocno zadziwionym, nigdy bowiem w mowach ludzi licznie pustelnię odwiedzających nie padło imię Mikrona. A wszakże musiał to być człowiek znaczny, nie byle jaki. Może przeor klasztoru o tak surowej regule, że woń świętości znana tylko Bogu nie przeniknęła przez mury? Może należy do pobożnych przepisywaczy świętych ksiąg trawiących całe życie nad pulpitem? Może jest uczonym przekładającym prawo Boże na język ludzkich ustaw? Może hojnym jałmużnikiem? Ciekawość staruszka rosła w miarę tych rozważań: na koniec, niezdolny jej pohamować, postanowił pójść do grodu, odszukać i poznać człowieka, co mu był w zasłudze równy.

Szedł długo, zmęczył się srodze, co gorsza nie mógł znaleźć swego rówiennika. Obchodził wszystkie klasztory, pytając braci furtianów o ojca zwanego Kulawym Mikronem. Nie słyszeli nigdy o takim. Obchodził szkoły filozofów i szkoły retorów, i szkoły mówców, pytając odźwiernych o uczonego profesora przezywanego Kulawym Mikronem. Nie znali. Zniechęcony już zamierzał wracać, gdy nagi wyrostek grzebiący w śmietniku, posłyszawszy pytanie starca, zawołał:

- Znam Kulawego Mikrona! Grywa do tańca w gospodzie przybramnej.

Nie do wiary zdało się Pachomiuszowi, niemniej ruszył ku wskazanej gospodzie. Biły z niej odory wina, zjełczałego tłuszczu i wrzawa zdająca się wykluczać obecność myśli o Bogu w tym miejscu. Na wewnętrznym dziedzińcu tańczono. Obdarty grajek z potężnie czerwonym nosem przebierał po strunach gęśli. To był właśnie Kulawy Mikron. Pachomiusz poprosił, by go przywołano, a gdy grajek wysunął się z bramy zdziwiony, pustelnik objął go uściskiem braterskim.

- Racz mi powiedzieć, Mikronie - szepnął - jaką drogą osiągnąłeś swoją wielką świętość i



czemu ją tak ukrywasz?

A widząc, że grajek nic nie rozumie i patrzy nań z osłupieniem, opowiedział zdarzenie z Aniołem.

Mikron począł się śmiać serdecznie, aż łzy ocierał z oczu.

- Dobrze z ciebie zadrwiono, staruszk - rzekł uspokoiwszy się nieco. - Ja i świętość! Przedni żart... Wiedz, że nie ma w okolicy gorszego gałgana, pijaczyny i próżniaka ode mnie...

- Anioł nie mógł drwić ani mylić się - zapewnił Pachomiusz zawstydzony i zmieszany.

- Nie wiem, bom nie stykał się nigdy z Aniołami, a co do świętości, zaraz ci dowiodę: To fraszka, zem pijak i leń. Ja do niedawna byłem rozbójnikiem. Przewodziłem bandzie wisielców mnie podobnych i napadałem podróżnych na gościńcu. Zabijałem ich, kiedy usiłowali się bronić. Do tych dłoni przyschła krew ludzi, którzy mi nic złego nie uczynili, a ja im zabrałem życie... Zwano mnie Makron, czyli wielki, mocny, i każdy wędrowiec drżał przed spotkaniem z Makronem. Taki byłem... Aż zdarzyło się, że złamałem nogę i długo chorowałem. Towarzysze mnie odbiegli, innego sobie przywódcę obrali, gniłem na barłogu sam. Żywiła mnie z litości stara kobieta. Syna jej kiedyś w bójce zatłukłem, a ona mnie żywiła... Zrazum klął wszystko i wszystkich, potem zacząłem dumać nad swoim życiem... Niespore były dumania. Wstałem kulawy, ale odmieniony. Przezwałem się Mikron - mały, najlichszy. Pokutowałem ciężko, rozgrzeszenie otrzymałem. Nawet do klasztoru chcieli mnie wziąć, ale gdzie bym ja w zamknięciu wytrzymał! Ot, kołaczę się po świecie, Pana naszego za zbrodnie ustawicznie przepraszając. Do pracy już się nie nadam, kaleka. Grywam do tańca ludziom. Lubię patrzeć, jak się weselą, i wina popić lubię też... Już teraz wszystko wiesz o mnie, staruszk... Ładny święty, nie ma co!

- Mikron! Gdzieś polazł, próżniaku! - rozległo się wołanie z bramy.

Grajek pokuśtykał szybko z powrotem, a Pachomiusz odszedł do swojej pustelni rozmyślając o dziwnym zdarzeniu i aż do śmierci nie przestał o nim myśleć.

# PUSZCZA ŚWIĘTEGO ŚWIRADA

Brat Andrzej przewiskiem Żórawek, pochodzący z rycerskiego rodu Świradów, i druh jego, brat Benedykt, przybyli tutaj przed laty. Obaj młodzieńcami będąc postanowili poświęcić swoje życie Bogu. Zdało im się, że najgodniej tę służbę wypełnią, gdy za przykładem tylu świętych mężów czczonych przez Kościół, owych Hieronimów, Antonich, Pawłów, Pachomiuszy, staną się pustelnikami, obcymi światu i wszystkim pokusom jego. Gdzie ludzie się kupią, tam wrzawa, niepokój i grzech. Gdzie pustka - tam harmonia wszystkiego, co rośnie i żyje, jak w dniu stworzenia, gdy Pan uznał swe dzieło za dobre.

Ród Świradów posiadał nieobeszłe smugi borów, ciągnące się od Przełęczu Dukielskiej pod Trenczyn. W owe puszcze Żórawek powiódł przyjaciela. Szli najpierw w górę rzeki Wisłok, potem ku źródłom pierwszego napotkanego potoku. Szukali sposobnego miejsca, by erem założyć. Przebredzali, bo i tu było pięknie, i tam szumnie. Szukając poznali szmat kraju. Zaszli na wzgórze, gdzie stoją olbrzymki zamienione w kamień. Ludzie mieszkający w dolinie zwali je Prządkami. Powiadali - i na pewno tak być musiało - że plemię Obrzych, czyli wielkoludów, mieszkało na onym wzgórzu. Gdy w dolinie jęto budować pierwszy kościół na tej ziemi, wielkoludy uciekły precz w Tatry. Pięć córek Obra wróciło się z drogi po kądziel i już nie zdążyły zbiec. Dźwięk dzwonów świeżo ukończonego kościoła uderzył w nie i rażone ty głosem skamieniały. W dzień zdawały się skałą zwyczajną, nie bardzo do człeka podobną, w księżycowe noce, gdy blask je oświetlił, przysięgłbyś, że ozywają, poczynają schodzić z góry... Dziwna była okolica. W sercu puszczy trafiały się bagienne oka, gdzie woda błyskała tęczowo niby polana oliwą. Lecz skądby oliwa w boru? Taka woda śmierdziała i żadne stworzenie nie przychodziło tu do wodopoju.

Miejsce, które nareszcie obaj przyjaciele obrali, było dalekie od skamieniałych olbrzymek i tłustych bagien. Na szczycie wzgórza porosłego starodrzewiem wznosiła się skała ucięta pionowo. Woda spływająca z wierzchołka wydrążyła w ścianie skalnej wnękę. W tej wnęcie wzniesli swój szałas. Obrócony był na południe ku węgierskiej stronie, osłonięty od wiatrów północnych wznoszącą się nad nim skałą. Łagodny spadek wiódł w dół, ku rzece. Dobre było to miejsce. Trochę wadziła pustelnikom bliskość Przełęczu Dukielskiej. Ważny kupiecki szlak z Węgier do Polski. Skrzypią wozy wiozące w jedną stronę wino i korzenie, w drugą jantar i skórki bobrowe. Gdzie skrzyp ładownych wozów słyhać, pewnikiem płaczą się zbóje. Tego bali się pustelnicy. Lecz że poza tym miejsce było bardzo dobre, a od przełęczu dzielił je głęboki wąwóz - zostali.

Dwudziesty rok szedł, jak tutaj osiedli. Dobrze im się żyło. Wbrew obawom, ni kupcy, ni zbóje ze szlaku nie zachodzili w poblizze eremu. Natomiast rychle zwiedziła się ludność z dolin i nuż odwiedzać pustelników, prosząc o modlitwę, o radę, to o rozsądzenie sporów. Juźci nikt nie szedł do eremu z pustymi rękami. Przynosili w węzełku a to garść soli, to krupy hreczane czy jagły, to omastę. Bór dawał jagody, grzyby, orzechy. Można było żyć, Boga chwając i trosk nie znając.

Benedykt i Andrzej przywiązali się do swej pustelni. Jesienią, gdy dęły srogie wiatry, aż łamały się z trzaskiem drzewa w borze, spoglądali z wdzięcznością na skałę osłaniającą ich chatę. Gdy w dolinie rzeka wezbrana rwała brzeg, podmywając całe płaty gaju, cieszyli się, że na wzgórzu powódź im nie straszna. Radowała ich każda pora. Wiosna, bo któż by nie radował się wiosną? Lato, że ciepłe i piękne niby odbłask raj. Jesień, że płodna, błogosławieństwa pełna. Zima, że miło

siedzieć przy ogniu, kiedy na dworze zawieja. Nie mieli nijakich wrogów. Wszelki zwierz leśny oswoił się dawno z nimi. Ryś czatował na łąnię z młodymi, łup ponętniejszy niż dwóch siwiejących brodaczy w opończach cuchnących dymem. Miś, kudłacz ponury, przychodził grzać się przy ogniu, w lata, gdy swoją gawrę rozwalił za wcześnie, a w marcu ścisnęły mrozy. Nic nie mąciło błogiego spokoju, chyba opowieści ludzkie. Ludzie ciągnący z dala przynosili oprócz strawy swoje troski, żale i gadki, od których włosy stawały na głowie. O walkach wielmożów mordujących wzajemnie swoich poddanych, o zbójcach i ich swawolach. Gadatliwe staruchy opowiadały, jak dziewczki rodzą kryjomo, dziecko niewinne zaduszą i nikt o tym nie wie, aż ktoś trupka na polu wyorze. Wtedy winną topią w rzece. To o żonie, co męża otruła złym ziele, albo o mężu, co żonę zabił toporem. Podpalił ktoś chatę na złość sąsiadowi, a tam dzieci czworo. Spaliły się niebożątka. Rzadko, rzadko coś opowiadano. Raczej samo zło, nieszczęście, zbrodnie. Obaj pustelnicy słuchali żalów ze współczuciem, pocieszali narzekających, gadali do nich pobożnie i mądrze o poddaniu się woli Bożej, a odprawiawszy wieśniaków klękali, by podziękować Panu za to, że pozwolił im obu wznieść się wysoko nad owe obrzydliwości i nigdy się z nimi nie stykać.

Nie nawiedzały ich pokusy, jakim podlegali pono wielcy święci pustelnicy. Andrzej Żórawek, Słowak, i Benedykt, Polak, odczuwali z tego powodu żywe zadowolenie. Lata mijały im tak cicho i spokojnie, że mniemali nieraz być już w przedsionku szczęśliwej wieczności, u progu Nieba. Jeden krok, i gdy chwila przez Pana naznaczona przyjdzie, odbiją się od ziemi, jak się podrywają do lotu bociany, i lekko wkroczą w dziedzinę zbawionych.

Listopad onego roku przyniósł wczesne mrozy. Tuż przed świętym Marcinem spadły duże śniegi. Dęby i graby nie zrzuciły jeszcze liści, więc ciężar śniegu wiele drzew połamał, młodsze przygiął aż do ziemi. Wiatr tętnił górą jak tabun spłoszonych koni, huczał niby rwąca rzeka. Ani zimno, ani wiatr nie dokuczały zbytnio pustelnikom, bo w starannie ogaconym eremie było ciepło. Na palenisku z kamieni dopalał się ogień, przysypany na noc popiołem. Odmówiwszy pacierze wieczorne bracia legli spać na barłogu. Żórawek od ściany, Benedykt z brzegu. Zwyczajnie, jak co dzień, od lat...

...Żórawek ocknął się pierwszy. Obudziło go wołanie. Ludzki krzyk żałośliwy, jakby wołający o ratunek. Słysząc go było wyraźnie mimo szumu wichury. Zdumiał się pustelnik, gdyż podobna rzecz nie zdarzyła się nigdy przez te dwadzieścia lat z górą, co tutaj mieszkali. Pomyślał, że trzeba iść odkrzyknąć wołającemu, żywnie jednak mu się nie chciało wychodzić z ciepłej kleci na ziąb. Poczekam, aż się odezwie znowu - postanowił. Sen, wiadomo, obłudy na człowieka naprowadza. Może mu się przesłyszało? Wiatr nieraz skowyczy jak zwierzę lub człowiek... Tak postanowił. Lecz wprędce wołanie rozległo się znowu. Tym razem wydało się zbudzonemu, że słyszy swoje imię: „Andrzeju! Andrzeju!”...

- Jakże mogę wstać, kiedy Benedykt uwalił się i śpi? - sarknął Żórawek ze złością i jął budzić towarzysza. Twardo spał, trzeba było go mocno tarmosić.

- Wstawaj! - krzyczał Andrzej. - Wstawaj! Jakiś człowiek woła o pomoc już dawno!

- Kaj tam dawno! - mruknął Benedykt zdradzając się, że nie spał, tylko udawał śpiącego, w nadziei, że Świrad sam pójdzie.

- Wstawaj duchem! - nalegał Żórawek.
- Czemu zaś sam nie bieżysz?
- Tobie się należy iść, boś z brzegu.
- Jakoś ścichło... Poczekajmy...
- Jeśli jeszcze raz zawoła, pójdziemy.

Usiedli na barłogu, słuchając. Węgłe błyszcząły spod popiołu niby czujne oczy. Nigdy chata, w której tyle lat przeżyli, nie wydała im się bardziej zaciszna, bezpieczna, swoja, a dujawica hulająca na dworze bardziej odrażająca. Obaj zapragnęli dusznie, by głos nie odezwał się więcej. Lecz on zabrzmiał znowu, dalszy, cichszy, choć wyraźny. „Benedykcie!” - posłyszał Benedykt. „Andrzeju!” - zrozumiał Żórawek. Nie było rady. Z niechęcią wzuli chodaki i wyszli. Miało się na pełnię, wiatr rozgonił chmury, śnieg świat rozwidnił, więc noc była jasna. Bracia rozglądali się wkoło, hukali, nikt nie odpowiadał, tylko wiatr wstrząsał koronami drzew. Co z którego spadła okiść, przeżyło się i strzelało w górę jak dusza, z której rozgrzeszenie zdjęło ciężar grzechów. Przyjaciele zeszli w dół, skręcili w lewo, w prawo. Nie było nikogo. Już mieli zawrócić do chaty, gdy Żórawek pochylił się i krzyknął. Na świeżo spadłym śniegu ujrzał ludzki ślad. Ślad bosych stóp snadź poranionych, bo krew została na tropie.

Zafrasowali się obaj, zdjął ich luty żal, że bliźni, ranny bliźni, przyszedł pod ich dom, wzywał pomocy, oni zaś lenili się powstać z ciepłego barłogu. Wstyd, wstyd, palący wstyd. Bez słowa poszli wzdłuż śladu, dogonić nieznajomego. Co ino wołał, nie może być przecież daleko. Brnęli w śniegu, zapadając weń po kolana, choć człowiek, za którym szli, odciskał swój ślad na powierzchni. Zbyt przejęci, by się temu dziwić, wyrywali nogi z puchu, sapali ze zmęczenia, patrzyli jak urzeczeni na krew barwiącą każdziutki ślad. Wyszędłszy na otwartą polanę, ujrzeli na koniec, którego szukali. Nie był oddalony więcej niż o strzelenie z łuku. Po ubiorze znać, że nietutejszy. Słusznego wzrostu, choć zgięty niby pod ciężarem. Pustelnicy poznali Go od razu i dziw, że trupem z żalu nie upadli.

On to był bowiem, Pan i Król. On, któremu ślubowali wiernie służyć. On ich wołał w zimną noc. Jego zaniedbali z bydlęcej gnuśności.

I pojęli, że jeśli Go teraz nie dościgną, przebaczenia nie uproszą, lepiej im było nie żyć wcale, lepiej się było nie rodzić.

Biegli prosto, a raczej usiłowali biec, bo nogi im grzęzły w śniegu. Zgubili chodaki, stąpali boso jak On. Poranili stopy na przymarzniętych kałużach, krwawili jak On. Dobywali ostatnich sił, a odległość się nie zmniejszała, choć On zdawał się kroczyć powoli niby człowiek znużony. Prawda, że drogę miał lżejszą, bo wszystko usuwało się przed Nim lub słało pod stopy, im zaś bór utrudniał ścieżkę. Pazurzaste wykroty chwytaly idących, spróchniałe kłody zagradały przejście. Świerczki zakopane w śniegu wiązały nogi jak paści. Bracia zapadali się po biodra w zawiane doły, potykali się o kłujące jałowce. Tchu im brakło z utrudzenia, padali na twarze w śnieg, lecz trwoga, że pozostaną odtrąceni na wieki jak owe Prządki zamienione w kamień, dodawała sił do dalszego biegu. Chcieli w rozpacz wołać: Panie! Panie! - lecz z zaschłych ust głosu wydobyć nie mogli.

On jednak widno posłyszał, bo zwolnił pochodu i dopadli Go wreszcie przy rzece. Rzeka wzdęta była, groźna. On zstąpił z brzegu i szedł po wodzie, jak niegdyś. Ocknęła się w Świradzie stara krew rycerska, skoczył w toń, uchwycił kraj szaty Pana. Benedykt chciał skoczyć za nim, lecz lęk go zdjął przed wodą. Spojrzał w bok, gdzie brzeg zdawał się mniej stromy, i w tym okamgnieniu tamci znikli mu sprzed oczu. Darmo wypatrywał, krzyczał, szlochał. Nie widział nic, tylko czarną wodę, biały śnieg i mroźne niebo...

Upadł na brzegu i leżał sam jeden, i nie było nikogo, co by go pocieszył. Księżyc zaszedł, ściemniło się znowu. Wiatr natoczył zwały chmur, śnieg padał z nawrotem. Padał, zasypywał ślady. Zagrzebany w śniegu Benedykt rozpamiętywał zdarzenie, usiłując zrozumieć, co zaszło. Rano powlókł się na odrętwiałych nogach nie pod górę do pustelni, ale w dół ku ludziom. Tam został do końca życia i służył. Pielęgnował chorych, kaleki i starców. Wspomagał swą pracą ubogich. Służył niestrudzenie, wciąż żywiąc nadzieję, że wśród krwawiących ran nędzarzy odnajdzie ślad Pana.

Po latach Kościół wyniósł na ołtarze obu pustelników, patronów ziemi słowackiej. Pamięć ludowa, strażniczka wierna, zachowała wspomnienie tych dziejów, miejsce, gdzie stała pustelnia, zowiąc po dziś dzień Puszczą Świętego Świrada.

# PAN CZEKA

Brat Paschalis był zawsze krzywy, jak gdyby się octu napił; znacznie młodszy od niego brat Piotr promieniał pogodą. Niebieskie oczy, pyzate policzki wyrażały radość z życia, ze świata, ze wszystkiego, na co spozrzał. Cieszyło go, że dzień jest upalny, że żywiczne wonie biją z boru niby z zamorskiej szkatuły, że wiewiórka rozcapierzywszy ogon śmiga z chojara na chojar, że gościniec przed nimi szeroki jak wygon, miękki stopom, bo piaszczysty, biegnie z Oświęcimia pono aż do samego Krakowa. Chwilami otwierał skore do śmiechu usta, by coś o tych sprawach rzec, lecz spojrzawszy na towarzysza zawierał je bezgłośnie. Uczony, lecz zgryźliwy skryba przyganiłby mu niechybnie.

Kroczyli obaj na spotkanie prowincjała, którym był sam przesławny ojciec Jacek z rodu Odrowążów. Naprzeciw zapowiedzianego gościa przeor wysłał tych dwu braci tak odmiennych, pewno, by pokazać, że Boże sieci garną jednako szczupaka czy płoć; steraną świecką mądrość, równie jak duszyczki proste, do ziela polnego podobne.

Uszli szmat drogi, siedli wytchnąć na przykopie. Brat Piotr zebrawszy odwagę pytał brata Paschalisa, czy prawda, co gadają w klasztorze, że się z prowincjałem znajomił?

- Znajomiłem się - przytwierdził skryba. - Obaj jeszcze gołowąsami byliśmy. Ostatni raz tom go widział roku Pańskiego 1217...

- Musi bardzo dawno, ale nie poradzę obliczyć - wyznał brat Piotr.

- Trzydzieści siedem lat temu.

- Oj, to dawno, przedawno... Raczcie coś opowiedzieć o nim, bracie Paschalisie.

Skryba niechętnie wdawał się w rozmowy. Powoływał się rad na regułę, ostrzegającą przed zbędną gadaniną. Tym razem jednak ustąpił, jak gdyby sama myśl o mającym przybyć prowincjale pobudzała do wynurzeń.

- Kiedym go znał - zaczął - mniszy żywot ani mu postać w głowie. Z łuku szyc, koniem toczyć, z oszczepem w knieję iść - to owszem... Potem się w jeden odwieczerz odmienił...

- Laboga!

- Powiem, jak było: biskup krakowski Iwo, Jacka stryjec - nieboszczyk już; ninie biskupem Prandota, też krewniak Jackowy; onże Iwo zebrał paru otroków, co mu się wydali zdatniejsi, i za granicę powiózł, żeby tam wiedzy nabrali... Był wśród nich Jacek i jego stryjeczny, Czesław, i ja... Oni - Odrowąże, ja - ze Śreniawitów...

- Wielki ród; Śreniawy - zauważył Piotr z szacunkiem.

- Niepodły, niepodły - przyznał z zadowoleniem Paschalis. - Ruszyliśmy wonczas w świat. Oczy my wytrzeszczali na obce dziwy, grody, stroje, mowy... Biskup nas zrazu osadził w paryskiej

Akademii; potem, że mu się nauczanie zdało nadto świeckie, zabrał nas do Bolonii, a stamtąd do Rzymu...

- Laboga! Do Rzymu! Szczęśliwiście, bracie... Tyli świat obaczyć! Ja byłem w Brzeziu, bom się tam urodził, i nasz klasztor znam...

- W Rzymie u Świętej Sabiny - ciągnął narrator - widziałem ostatni raz Jacka i Czesława... Pospołu z nimi stałem, Dominikowego kazania słuchając...

- Hej, bracie! Toście i naszego świętego patriarchę Dominika widzieli?!

- Jako ciebie widzę...

- Prawda, co o nim gadali, że gwiazdę na czole nosił?

- Gwiazdym nie widział, ale w licu miał jasność, jakiej żaden z żyjących nie miewa... Tłum słuchał kazania, a każdy dyszał od lęku...

- Laboga! Taki był groźny?

- Groźny on ta nie był... Owieczki by nie uderzył... Ludzie się lękali, bo każdemu się zdawało, że Dominik na niego szczególnie patrzy i na wskroś przegląda... Co w duszy szpetne, co skryte - wyjawia. Nie dziw, że niejeden pod ziemię by się skrył... Różności kazał Dominik. Że kto obojętny na nędzę bliźniego, sam mając dobra do zbytku, piekłu będzie wydany... Że heretyki (strach, wiele heretyków lęgnie się we Francji a w Italii) odeszły od Kościoła z racji zgorszenia, jakie katolicy dają... Że srożej będą sądzeni oni gorszycciele niż odstępcy... Takież powiadał, że młodzi, choć w świeckim stanie zostając, winni się uczyć a uczyć, bo wstyd i grzech wiary swojej, świętej wiary nie znać... a do tego nauka potrzebna. Najbardziej nalegał na społeczne miłowanie. Prawdą, że Boga obraża, kto bliźniego nie miłuje, że modlitwa bez miłości próżna i bezpożyteczna jest... Że o każdego bliźniego, choćby był zbrodniarzem, trzeba się troszczyć jak o rodzzonego brata... Tyle lat, tyle lat, a wszystko to pomnę, jakbym słyszał wczora... Siedzi w głowie, zapamiętane... cóż, kiedy nie wykonane...

Umilkł, zwiesił głowę.

- Co dalej było? - dopytywał błagalnie brat Piotr.

- ...Kiedy Dominik skończył, dopieroż jęto cisnąć się ku niemu. Nie tylko Italczyki. Pielgrzymi z Niemiec, Moraw, Czech, Węgier i nasi... Odrowąże przepchali się do nóg Dominikowych i nuż z płaczem prosić, żeby obu zaraz do swojego zakonu brał... On ich do piersi przycisnął jak matka... I poszli z nim...

- Wy też? - domyślił się Piotr.

Skryba poruszył głowę opryskliwie.

- Bynajmniej. Wcalem nie podszedł... Stałem z boku i patrzałem...

Brat Piotr ze zdziwienia zapomniał o nieśmiałości.

- Dlaczego? - wybąkał. - Nie chcieliście?

- Za głupią, żeby pojąć - odburknął Paschalis. - Nie chciałem?... Może i chciałem, jeno się uląłem... Uląłem, że będzie za ciężko, że nie wydołę... Potem, nie wydołać, wstyd... Dominik wiele wymagał. Zdało mi się wtedy, że nadto wymaga... Bogu się ze wszystkim oddać; sobie umrzeć, Bogu żyć... Ustawicznie pracować, wczasu nie znać, modlić się, pościć, na deskach spać, za grzeszników pokutować... Uląłem się... Do Krakowa z biskupem nie wróciłem, jeno do Paryża poszedłem, bo mi się tam podobało... Przygnał mnie Pan Bóg do zakonu dopiero w trzydzieści lat później. Com się przez te pół kopy roków po świecie nawłóczył, nic dla duszy nie zyskując!... Dobrze, że mnie włóczęgę, obiboka, przeor zechciał przyjąć na popychadło klasztorne...

- Co też gadacie, bracie Paschalisie! - oburzył się szczerze Piotr. - Wszyscy was szanują. Księgi przepisujecie... Sam ojciec przeor powiada, że nikt tak pięknie nie przepisuje jak wy...

Paschalis uśmiechnął się gorzko.

- Tobie, coś nieuk, przepisywanie zda się wielką rzeczą. Mnie na więcej było stać... Ej, życia się nie odrobi! Poszczyściło się Odrowążom... Dobrą obrali drogę...

- Powiadają - szepnął Piotr z oczami rozszerzonymi z przejęcia - że ojciec prowincjał wiele cudów czyni?

- Siła o tym mówią - przytaknął Paschalis. - Może to i prawda? Dominik czynił cuda, podobnie i Jacek... Pan nasz zaszczyca tych, co Mu zawierzyli... Ja nie uczynię nigdy najmniejszego cudu, bom nie zawierzył.

- U nas na wsi - przypomniał sobie Piotr - powiadają o Jackowym cudzie z pierogami...

Skryba zachnął się zgorszony.

- Brednie prawisz, bracie! Jacek, wielki uczony, luminarz Kościoła, pierogami by się bawił? Nie takie ma rzeczy na głowie!

- Jaż nie wymyśliłem, jeno tak powiadają...

- Pierogi! - powtarzał Paschalis szyderczo. - Mnie powiadali, że zmarłego wskrzesił... Że w Kijowie czasu najazdu Tatarów do Jacka, unoszącego z Kościoła Najświętszy Sakrament, Matka Boska przemówiła: Syna zabierasz, a mnie tu zostawiasz? Jacek miał odrzec: Matko, nie uradzę, bo twój posąg bardzo ciężki... Zmógł się jednak, objął ramieniem kamienną figurę z ołtarza i ona zdała mu się lekka, leciutka... Wyniósł bezpiecznie oboje, Matkę Boską i Pana naszego... Słyszałem też, że kiedy powracał, ksiązę krakowski wyszedł naprzeciw niego, jak my dzisiaj, i klęknął na drodze... Pyta go Jacek: Komu taką cześć oddajesz? Przecież nie mnie, prostemu zakonnikowi? Leszek zasie: Nie tobie, lecz Matce Bożej, którą nad tobą widzę w majestacie... Powtarzam, co słyszałem, może to ludzkie wymysły?



- Laboga, laboga, oczu na niego nie poważę się podnieść... Z asystą pewnikiem jedzie? Może kolasą, jak biskup? Może wierzchem?

Brat Paschalis wyraził przypuszczenie, że księżę krakowski wyśle ojca prowincjała bryką kowaną, dodając poczet zbrojnych dla splendoru i bezpieczeństwa. Nim ruszyli w dalszą drogę, brat Piotr ofiarował się wejść na drzewo i z wierzchołka spojrzeć, czy nadjeżdżających nie widno.

- Żebyś się jeno nie opsnał, nie zleciał - przestrzegał skryba. - Nim nogę postawisz, próbuj gałęzi, czy mocna...

Brat Piotr roześmiał się szczerze.

- A dyć, bracie, ja od dziecka znajomy po drzewach łązić... Mnie uczyć nie trzeba...

Podwinął poły habitu, sznur mocniej przewiązał i sprawnie niczym bartnik, piął się na pień starej sosny. Po chwili z wysoka doleciał jego zawiedziony głos:

- Daleko widno, daleko, ale nikt nie jedzie... Piechty ktoś ku nam zdąża... widzi mi się, że baba pewnie na jagody wyszła...

- Bryki ani konnych nie widać?

- Gościniec pusty całkiem... Oj, pięknie tu, bracie! Drzewa się wełnią jak zboże za wiatrem, a droga bieży prościuchno, jakby w niebo szła... Wiecie, co rzekę, bracie Paschalisie? Siednijcie sobie pod drzewem, a ja dam pozór na drogę. Obaczę, że jadą, zawołam...

Kopista zgodził się chętnie.

- Bacz jeno, byś nie prześlepił - rzucił jeszcze w górę.

- Nie bójta się, będę baczył.

Umilkli obaj. Myśli ich krążyły wokół oczekiwanego. Dumki Piotrka ze zbożnym lękiem i podziwem, Paschalisa z goryczą. Ot, Hiacynthus zaszedł wysoko... Nie byle godność uzyskał... A jaki ma posłuch w narodzie! Czemu to nie jemu, Paschalisowi, przypadło? Niegdyś równi byli sobie... Ba, samże on nie chciał. Ociągał się, Pan nasz nie lubi, widno, ociągania. Przyłożysz rękę do pług, już nie obracaj się wstecz, bo ci Pan umknie sprzed oczu...

Drgnął, bo Pietrek spuszczał się szybko z drzewa.

- Bracie Paschalisie! - krzyczał - to nie baba szła! To ktoś z naszego zakonu! O, czarny płaszcz widać! O, biała suknia migoce! Już nas zoczył! Ręką kiwa!

- Rany boskie! To on! To Jacek!

- Zwyczajnie idzie, jak każdy! - dziwował się Piotrek biegnąc.

Ojciec Jacek Odrowąż - gdyż on to był istotnie - miał krzepką postawę, siwiejącą głowę i uśmiech promienny. Wetknął kij podróżny w piasek koleiny, roztworzył ramiona i przycisnął do serca obu braci. Chcieli mu paść do nóg, całować ręce - nie zezwolił. Witał jak synów rodzonych, pytał, jak się zowią?

- Znamy się skądś, bracie Paschalisie - zauważył. - Pomóżże mojej pamięci... Już wiem! Tyś jest Jarek ze Śreniawy!

- Wasza Wielebność raczy sobie przypominać? - dziwił się skryba.

- Jarek... Druh miły... Tyle lat... Jakbym młodość obaczył... Gadaj, co się z tobą działo?

- Nic godnego uwagi Waszej Wielebności - zapewnił sztywno Paschalis.

- Przestań wielebnować! Braćmi sobie byliśmy i znowu braćmi jesteśmy... Tę samą suknię nosimy...

- Podobna ona, ale nie ta sama. Gdzie mnie do was? Wy - prowincjał, ja - lichota, co do śmierci lichotą zostanie...

- Brednie gadasz, Jarek. Gorzkość w tobie wezbrała. Odrzucim ją wnet, a ninie sępa nie stawiaj, bom szczęśliwy, że cię zdrowego oglądam...

Tyle dobroci drżało w jego głosie, że zawistnik odtajał.

- Bóg wam zapłać, ojcie - szepnął. - I jam rad...

Ruszyli we trzech powrotną drogą ku klasztorowi. Jacek pośrodku, tamci dwaj po bokach. Brat Piotr przyzostawał nieco z tyłu. Zapytywany, mamrotał niezrozumiale. Brat Paschalis objaśnił, że młodzik załkł się Jackowych cudów, o jakich co ino gadali...

Odrowąż wybuchnął śmiechem.

- Załkł się! - powtarzał. - Załkł się, że cud uczynię! Może na jego oczach w misia się przekocę?! Bogać mi! Braciszku, ja cudów nie czynię... Dobrze mnie widać opisali w Oświęcimiu... Jeden mnie ma za pyszałka, drugi za odmieńca.

Nieco ośmielony brat Piotr odzyskał głos.

- W Brzeziu powiadają - wyznał - gadkę o cudach Waszej Wielmożności, jeno powtórzyć nie śmiem, bo brat Paschalis się gniewał...

- Nie jestem wielmożnością, braciszku. Mów mi: ojcie. Jakaż to gadka?

- Powiadają, sam wiele razy słyszałem... Głód uchodzi, kiedy Jacek z pierogami przychodzi...

Prowincjał zmarszczył wyraziste brwi.

- ...pierogi, pierogi- powtórzył z namysłem. - Czekajże... O, ten cud iście uczyniłem, wielki cud... Słuchajcie jeno. Któregoś roku, przedawno, wędrowałem w zapusty sam, jako i dzisiaj. Podle Gdowa zaszedłem do babuleńki jednej, bardzo starej, samotnej, najuboższej we wsi. Od młodości Pan nasz darzył ją ubóstwem. Głodowała, chleb z rzadka i tylko jesienią jedząc. Wiosną - polewka z lebiody, latem - jagody i grzyby, zimą - suszki i rzepę... Tak żyła... Spowiadałem babuleńkę, zaczem ona pyta: Czy w niebie dadzą jej pieroga? Nuż opowiadać, że kiedyś widziała bogaczy jedzących pierogi i strasznie pragnęła spróbować choć raz. Ale nigdy nie skosztowała... Żali się, żali, wciąż o tych pierogach gada. Luto mi się stało, że ot, dusza ludzka, nieśmiertelna i dostojna, Najświętszą Krwią odkupiona, przeżyła wiek w takim poniżeniu, aż nagroda niebieska w pierog się dla niej oblekła, raptem słyszę: rumor okrutny na dworze. Wytknąłem głowę: pochodnie dymią, woźnice z batów palą, komornik ksiązęcy Gozdawa w kilkoro sań kopie się przez zasy. Krzyknąłem, poznał mnie, stanął. Pozdrowiłem go Bożym Imieniem i pytam: „Nie maszże, bracie pierogów?” Zdziwił się, lecz powiada: „Mam. Zapusty są, to są i pierogi”. „Dajże mi ich parę, Matka Boska ci zapłaci”. Pacholek prędko wyciągnął spod słomy. Tłuste były, jeszcze ciepłe bo leżały w saganie okrytym kozuchem. Zaniósłem je babce. „Naści, biedoto, jedz, Pan Bóg ci je zesłał”... Już więcej babuleńki nie widziałem, bo się zabrałem z komornikiem do Krakowa. Ani mi w głowie powstało, że ludzie z tego cud pierogowy wymyślą...

Śmiał się z własnego opowiadania, z rozczarowanej miny brata Piotra. Brat Paschalis skrzywił się po swojemu.

- Ofuknąłem - mówił - brata Piotra, kiedy o tych pierogach zaczął gadać. Ojciec Jacek - powiadam - ma większe rzeczy na głowie. Dziwno mi teraz. To już nie ma w zakonie nikogo innego, co by po wsiowych ludziach chodził i starowiny wspomagał - jeno sam prowincjał? Miara powinna być. Kto wielki rozumem, znaczeniem, nauką, winien wielkich spraw doglądać. Chudzina - niech się małymi zajmuje. Was, ojczy, książęta słuchają, biskupi się radzą, siła ważnych rzeczy możecie uczynić. Nie grzech to marnować czas na zajęcia lada jakie?...

- Zawsze byłeś spórny, Jarek, i spórny zostałeś. Miara, powiadasz? Kto zna swoją miarę, swoją sprawiedliwą miarę? Nikt z nas jej nie zna, krom Pana. On wie. On stawia przed nami robotę na naszą miarę. Zły robotnik, co przebiera w robocie zadanej przez Pana...

- Nie będę spórny - ustąpił Paschalis. Z Kijowa idziecie, ojczy?

- Wracalem przez Kijów, byłem dalej, u Tatarów...

- U Tatarów?!!

Prowincjał zaśmiał się znowu z przerażenia obu braci.

- U tych diabłów wcielonych?! - powtarzał Paschalis.

- U tych biesów, co nam kraj zniszczyły?! - wtórował Piotr.

- U tych samych. Dwa lata z nimi byłem i znowu tam pójdę, ino klasztory nasze poodwiedzam..

- Na mękę Chrystusa Pana, po co ojciec tam szedł, śmierci szukać?

- Dla męki Chrystusa Pana szedłem, żeby ich nawracać...

- Nawracać ten pomiot diabelski?

- Przystoiż taka mowa zakonnikowi?!

- Oni są przeklęci!

- Kto ich przeklął?

Brat Paschalis poczuł się zakłopotany.

- Sam Pan Bóg... - rzekł niepewnie.

- Pan nie ma w nienawiści nic z tego, co stworzył - odparł z mocą Jacek. - Pan czeka, byśmy tym poganom zanieśli Dobrą Nowinę!

- My?! - zawołał z rozdrażnieniem Paschalis. - Dlaczegoż my?! Tyle krzywdy, tyle zbrodni! Wspomnieć nie można bez grozy... Pomordowane dzieciątka i matki ciężarne, panienki w jasyr pognane... Z pamięci tego zbyć nie lza! Jeszcze łyzy nie oschły, jeszcze mogiły murawą nie prośły, jeszcze pogorzele czernieją... Dosyć, zadosyć, że człowiek chrześcijaninem będąc, pomsty na okrutnikach nie szuka!

Prowincjał potrząsnął głową.

- Zadosyć, prawisz? Pan chce od nas więcej! Krew pomordowanych nie może być próżno wylana! Nasi bracia sandomierscy klęczą przed tronem Bożym modląc się, by ich męczeństwo wydało owoce!

- Laboga! - wykrzyknął brat Piotr jak olśniony. Paschalis nie ustępował.

- Bóg nie zażąda tego od nas, cośmy tyle wycierpieli!

- Ej, bracie miły, ja sędzę przeciwnie, że to jest zadanie, jakie Pan przed nami stawia... Dopuścił, by tu przyszli, pozwolił nas zdeptać, zniszczyć, byśmy się do powinności chrześcijańskiej poczuli! Mamyż czekać, aż przyjdą obcy z Niemiec, Francji czy Italii i za nas tę pracę odrobiją? Jedną robotę rzucić, bo zbyt mała, drugą, bo za wielka?...

- Nie przegadam was, ojcze - westchnął Paschalis. - W onej wyprawie siła ludzi mieliście ze sobą?

- Sam byłem jako i teraz.

- Sam! I oni... słuchali was?...

- Niełacno było słuchać - odparł prowincjał wesoło - bom się dopiero ich języka uczył. Trudna jest tatarska mowa, staremu z ledwością do głowy wchodzi. Ale pojął i gadam niezgorzej. Przyjaciół dobrych sobie pozyskałem, mam do czego wracać. Da Bóg, obsięję tę rolę...

- Znów sami pójdziecie?

- Towarzysza jednego wziąłbym może, bo...

Nie dokończył, gdyż brat Piotr rymnął mu do nóg jak długi.

- Ojczy! - błagał. - Raczcie mnie zabrać ze sobą!

Odrową nachylił się czule.

- Wezmę cię chętnie, synaczku, jeżeli przeor pozwoli... Teraz zaś się pośpieszajmy, bo się na kompletę spóźnim...

Ruszyli zwawo naprzód. Brat Piotr promieniał i mimo woli wyprzedzał pozostałych. Spostrzegłszy to, cofał się zmieszany, pełnym uwielbienia wzrokiem patrząc na prowincjała. Brat Paschalis osowiały nadażał pół kroku z tyłu.

- Ubiegł mnie ten prostak - mrucał. - Przecie też chciałem... Chciałem... Ostałem jak wtedy...